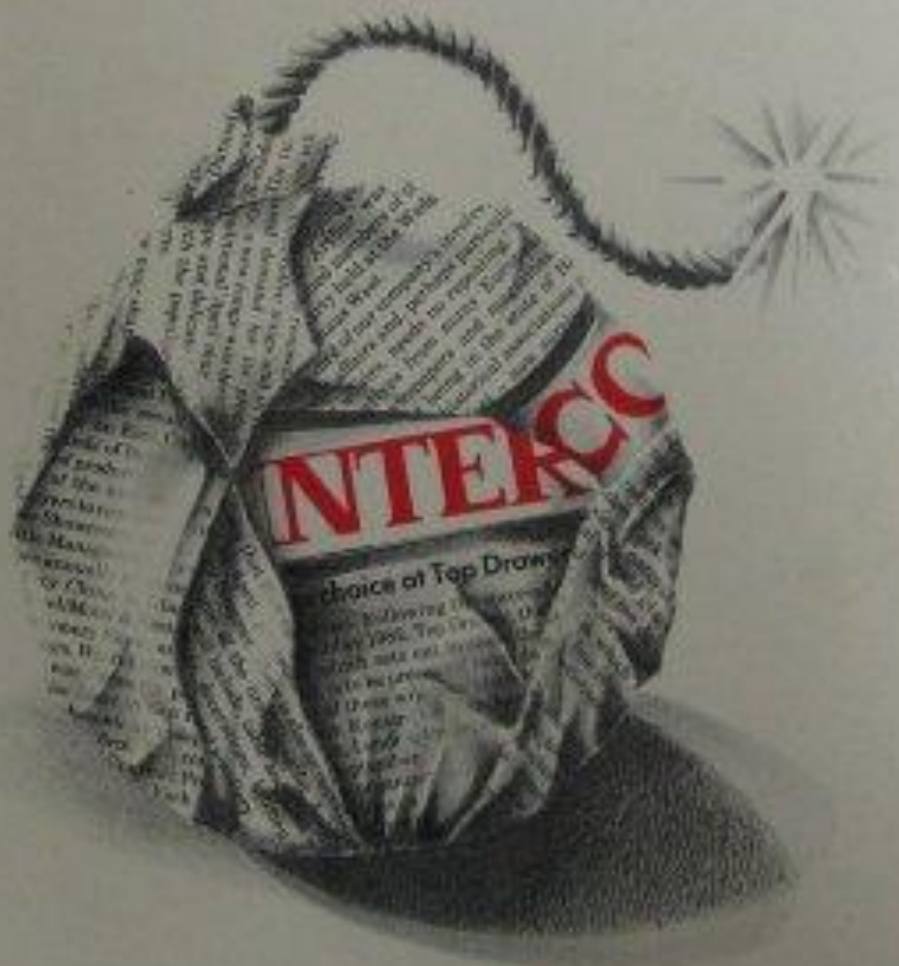


ERIC AMBLER

AFERA INTERKOMU



"Bez wątplenia najlepszy autor thrillerów,
jakiego mamy" GRAHAM GREENE

Eric Ambler

Afera Interkomu

Przełożył Tomasz Kłoszewski

Tytuł oryginału: The Dunfermline Affair

Wprowadzenie

31 maja zeszłego roku na genewskim lotnisku Cointrin zaginął mężczyzna, który sam siebie nazywał Charlesem Latimerem. Jak dotychczas, wszystkie próby odnalezienia go zawiodły.

Z powodu szczególnego zbiegu okoliczności zaginięcie zgłoszone zostało po dwóch tygodniach.

Wiele mówiono o tak długiej zwłoce i o trudnościach, jakich przysporzyła policji i służbom bezpieczeństwa. W rzeczywistości nie miała większego znaczenia. Wszelkie dowody znajdujące się w naszym posiadaniu sugerują, że nawet zwłoka jednego dnia miałaby ten sam skutek. W kilka godzin od chwili opuszczenia lotniska Charles Latimer był nie do odnalezienia.

Mimo iż jego dom znajdował się na Majorce, większość z trzech miesięcy poprzedzających zniknięcie spędził w Szwajcarii. Pojechał tam, by zebrać materiały do książki zamówionej przez jego amerykańskiego wydawcę i opracować jej rękopis. Do pomocy w Genewie zatrudnił sekretarkę, pannę Deladoey.

To ona wszczęła w końcu alarm.

Fakt, iż nie uczyniła tego wcześniej, jest w pełni zrozumiały. Latimer powiedział jej, że wyjeżdża do Evere w Belgii, by przeprowadzić wywiad z wyższym oficerem pracującym w NATO. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nie po raz pierwszy wyruszał ze swej genewskiej bazy w sprawach pisanej przez siebie książki. Wcześniej przeprowadzał wywiady w Monachium, Bonn, Bale, Bernie i Luksemburgu. Evere leży w pobliżu Brukseli. Bilet lotniczy i hotel w Brukseli panna Deladoey zarezerwowała poprzez biuro podróży.

Nie powiedział jej, jak długo może być nieobecny, a i ona nie pytała się o to. Ani nikt inny. Zawsze gdy wybierał się w jedną ze swych podróży, zatrzymywał swój genewski pokój i pozostawiał w nim większość bagaży. W tym wypadku zabrał ze sobą tylko jedną walizkę. Panna Deladoey przypuszczała, iż nie będzie go przez dwa lub trzy dni. Pozostawiona jej do przepisania w czasie jego nieobecności partia rękopisu potwierdziła to przypuszczenie.

Kiedy upłynęło osiem dni bez słowa od niego, poczuła się na tyle zaniepokojona, że wysłała telegram do Brukseli, zapytując kiedy wraca. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Upłynęło dalszych sześć dni, w czasie których jej niepokój zwiększył fakt niewypłacenia dwutygodniowych poborów. Poprosiła o radę starszego recepcjonistę hotelu, w którym Latimer mieszkał w Genewie.

Chociaż z innych przyczyn, ale i jemu udzielił się jej niepokój. Był zarówno recepcjonistą, jak i kasjerem, i oceniał gości zatrzymujących się na dłużej w hotelu po sposobie regulowania cotygodniowych rachunków. Latimer zawsze płacił punktualnie, w dniu otrzymania rachunku, czekiem Crédit Suisse... Według kasjera, podobne niedopatrzenie było całkowicie sprzeczne z charakterem tak punktualnego człowieka. Tylko choroba lub wypadek mogły to wytłumaczyć, a z tych dwóch powodów choroba wydawała się bardziej prawdopodobna - Latimer nie był już młody. Po konsultacji z dyrektorem kasjer upoważnił pannę Deladoey do przeprowadzenia rozmowy telefonicznej z Brukselą.

Tylko kilka minut zajęło ustalenie, iż Latimer nie przebywa ani nie przebywał w brukselskim hotelu.

Mysłąc, że mogła nastąpić pomyłka co do nazwy hotelu, sprawdziła ją w biurze podróży. Powiedziano jej, że nie zaszła żadna pomyłka. Kontynuując swe dochodzenie dowiedziała się, iż Latimer nie odleciał do Brukseli samolotem Sabeny, na który miał rezerwację. Jego nazwisko było na liście pasażerów, lecz on sam nie zgłosił się na samolot. Czy przypadkiem nie odleciał późniejszym połączeniem Sabeny lub innych linii lotniczych? Lub może udał się w innym kierunku niż Bruksela? Odpowiedzi na te pytania zajęły kilka godzin, ale wszystkie były przeczące.

Poinformowała o tym kasjera, który ponownie skonsultował się z dyrektorem. Rankiem, piętnastego dnia od zaginięcia, powiadomiono o wszystkim policję.

W kantonie Genewy policyjne czynności dotyczące osób zaginionych są dokładne i wszechstronne. Wypełnia się szczegółowy formularz, sprawdza szpitale i kostnice, przesłuchuje krewnych. Do sąsiednich posterunków oraz do policji w innych kantonach wysyła się dalekopisy, zbiera wywiady w miejscach, gdzie osoba zaginiona widziana była po raz ostatni, a także, jeżeli zaginiony jest obcokrajowcem, powiadamia się odpowiedni konsulat.

W sprawie Latimera niemożliwe było natychmiastowe przesłuchanie krewnych. Nie był żonaty, a starszy brat, jedyna żyjąca osoba z bliskiej rodziny, przebywał - jak się okazało - na wycieczkowym rejsie gdzieś na Karaibach. Kiedy jednak ustalono, iż ostatnim miejscem, w którym widziano Latimera, było lotnisko, szereg osób zostało tam przesłuchanych. W efekcie historię prawie natychmiast podchwyciła prasa.

Charles Latimer Lewison w ankiecie Who's who określił siebie jako historyka. I był nim bez wątplenia jako autor książek, między innymi na temat Związku Hanzeatyckiego, rozwoju bankowości w siedemnastym wieku i Programu Gotajskiego z 1875. Był wykładowcą uniwersyteckim w Anglii oraz autorem biografii osiemnastowiecznego

ekonomisty Johna Law, uważanej przez niektórych za najlepszą pracę na ten temat. Mimo to jego sława, z wyjątkiem pewnej części świata akademickiego, nie opierała się na żadnym z tych dokonań. Jej źródłem były powieści kryminalne, które pisywał pod pseudonimem Charlesa Latimera. Było ich ponad dwadzieścia, a co najmniej trzy - Zakrwawiona łopata, Ramiona mordercy i Nie wbijaj gwoździ - zostały uznane za klasykę gatunku. Jego prace z dziedziny historii można było czytać tylko po angielsku i miały ograniczony rozgłos. Jego powieści kryminalne zostały przetłumaczone na wiele języków i uzyskały rozgłos światowy. Nie tylko zapewniły mu opinię mistrza sensacji, ale i dochody, dzięki którym mógł wygodnie mieszkać na Majorce. Gdy zaginął, zapewniły mu prasę. Wszyscy dziennikarze pośpiesznie donieśli, że jego zniknięcie było tak dziwne i tajemnicze jak jego powieści.

Czy zniknął umyślnie? Jeśli tak, to dlaczego i w jaki sposób? Czy został uprowadzony? Jeśli tak, to dlaczego i w jaki sposób? Czy żył, czy był martwy? Żywy czy martwy, gdzie był?

Takie pytania zadawały gazety. Takie też pytania zadawała policja.

Pewne odpowiedzi zaczynały nadchodzić, ale ponieważ przynosiły tylko kolejne pytania, nie były zadowalające.

Zostało na przykład ustalone, że Latimer nie był umówiony na wywiad z wyższym oficerem NATO w Ewre. Okłamał więc pannę Deladoey, nie chcąc, by wiedziała, dokąd naprawdę jedzie.

Dlaczego? Cóż takiego należało utrzymać w tajemnicy przed sezonową sekretarką? Co powiedziała by jej wiadomość o prawdziwym celu podróży? I dlaczego, jeśli chciał zachować w tajemnicy swą wyprawę, nie powrócił w taki sam dyskretny sposób? Wszystko wskazywało na to, że zamierzał powrócić. Co spowodowało zmianę jego planów? Czy ktoś zmienił jego plany?

To panna Deladoey, zmęczona godzinami policyjnych przesłuchań, podsunęła myśl, że odpowiedź można by znaleźć w niedokończonej książce, którą pisał zaginiony. Dlaczego, spytała, nikt nie przeczytał maszynopisu leżącego na jego biurku w hotelu?

Początkowo policja była skłonna odrzucić tę sugestię. Zakładali, co można łatwo zrozumieć, że chodzi tu o powieść kryminalną. Kiedy przekonali się, iż tak nie jest, i przeczytali ją, reakcja była natychmiastowa. Panna Deladoey poddana została dalszym, bardziej dociekliwym przesłuchaniom. Nie tylko przez policję. W sprawę wdali się teraz przedstawiciele szwajcarskiej federalnej służby bezpieczeństwa. Dwudziestego piątego czerwca, dziesięć dni po zgłoszeniu zaginięcia, sekretarkę odwiedził urzędnik bezpieczeństwa, który chciał wiedzieć, czy jakiegokolwiek kopie rękopisu Latimera pozostają

jeszcze w jej posiadaniu. Oddała mu dwie odbitki maszynopisu, otrzymując od niego pokwitowanie.

Nie spytała, dlaczego potrzebne są mu kopie. Gdyby to uczyniła, otrzymałaby odpowiedź, że rękopis zakwalifikowany został jako tajny i że wydane zostało polecenie, by skonfiskować wszelkie kopie tego dokumentu. Przypuszczała, że potrzebne są im dodatkowe kopie, ponieważ uznali, iż niewygodnie jest posiadać tylko jedną.

Nie przyszło jej więc na myśl, by wspomnieć o tym, że istnieją także bruliony rękopisów. Nie powiedziała też o pudełku nagranych taśm, znajdującym się w jej sekretarzyku. W końcu przedmioty te stanowiły własność pana Latimera.

A może były teraz jej własnością?

Tego samego dnia napisała do wydawców Latimera, donosząc im o taśmach i o brulionach rękopisów znajdujących się w posiadaniu jej i pana Teodora Cartera. Poinformowała ich także o należnych jej, teraz już trzytygodniowych poborach.

Myślę, że wydawało się jej, iż posiadanie nagrań stawia ją w nienajgorszej pozycji przetargowej. Jeśli tak, to szybko została wyprowadzona z błędu. W tym czasie wydawcy nawiązali już bezpośredni kontakt z Teodorem Carterem. Skoro pan Carter stanowił element umowy o książkę zawartej między nimi a Latimerem, zwrócenie się do niego było dla nich oczywiste. Razem z trzytygodniową pensją panna Deladoey otrzymała krótki wykład na temat praw autorskich.

Pan Carter stanowczo zrazu sprzeciwił się publikacji rękopisu Latimera nie zredagowanego i bez skrótów.

Trudno nie podzielać jego obiekcji. Charles Latimer czasami puszczał wodze swego raczej złośliwego poczucia humoru, a jego rozmyślne wtrącanie w oryginalny tekst ubocznych komentarzy pana Cartera, jak i osobistej korespondencji nie przeznaczonej do publikacji, jest trudne do zaakceptowania. Niewątpliwie Latimer bawił się prywatnie kosztem pana Cartera.

Decyzji pana Cartera, by wycofać swe zastrzeżenia co do zachowania obraźliwych fragmentów, należy się uznanie. Odwołano się do jego zawodowej opinii, a on zareagował w sposób w pełni profesjonalny. Argument, którym się posłużono, był, jak mi się wydaje, nieodparty.

Dwuczęściowy rękopis, który policja i ludzie ze służb bezpieczeństwa przeczytali i szybko utajnili, był drugą wersją powieści. Rękopis, z którym panna Deladoey tak niechętnie się rozstała, był brudnopisem wersji pierwszej. Podzielony był na rozdziały, ale brakowało mu uporządkowania. Kilka rozdziałów, głównie „rekonstrukcje fabularne”, było

zredagowanych całkiem przyzwoicie. Reszta była zbiorem różnych materiałów - listów, spisanych nagrań magnetofonowych, wywiadów i oświadczeń - ułożonych w porządku chronologicznym i obszernie pokreślonych niebieskim długopisem Latimera. To właśnie przez zwrócenie uwagi na fragmenty, które Latimer usunął ze względu na swe bezpieczeństwo, pan Carter uzyskał w końcu dowody potrzebne nie tylko do rozwikłania tajemnicy zniknięcia, ale i do rekonstrukcji całej tej historii.

Pierwsza wersja była więc w pewnym sensie ostateczna.

Wycofując swe zastrzeżenia, pan Carter postawił tylko jeden warunek. Pewne nazwiska, powiedział, muszą zostać zmienione, „by chronić winnych”.

Dwie takie zmiany zostały dokonane.

Reszta pozostała niezmienną, by mówiła sama za siebie.

ERIC AMBLER

Część pierwsza

KONSORCJUM

Rozdział I

TEODOR CARTER spisane z taśmy magnetofonowej

W porządku, moja droga Nicole, otrzymałaś Ust pana Latimera. Czy też może nazywa siebie Lewisonem? Jakkolwiek z tym jest, oto co mu chcę powiedzieć.

Drogi panie Jaktambądz.

Otrzymałem pański nudziarski list, nie pamiętam z jaką datą. Pyta pan, czy nie byłbym tak „łaskawy”, by współpracować w przygotowaniu do druku książki zawierającej pełną i autentyczną relację z tak zwanej afery Interkomu. Następnie, po kolejnej porcji głupstw, wskazuje pan, że jeśli będę grzeczny, to może coś z tego będę później miał. Honorarium, jak to pan nazywa.

To miłe. Nie myślę się chyba podejrzewając, że list skrobnał panu prawnik? To się czuje. Szczególnie podoba mi się słowo „łaskawy”.

Panie Ważny, dość tej gadaniny, dobra?

Wiem dobrze, że potrzebna panu moja współpraca. Ponieważ byłem i jestem najbardziej poszkodowaną ofiarą afery Interkomu (dlaczego „tak zwanej” - jak inaczej by ją pan nazwał?) i ponieważ byłem człowiekiem, na którym wszystko się skupiło, teraz zaś jestem jedynym żyjącym facetem, który może i ma ochotę mówić, więc zupełnie jasne, że bez mojego współdziałania nie ma pan żadnej szansy.

Gada pan o pełnej i autentycznej wersji. Niech się pan nie oszukuje, panie Ważny. Nie myśl pan, że można ją zdobyć myszkując po czasopismach i gawędząc mile z chłopcami ze szwajcarskiego wywiadu. Nie można. Mam ciągle mnóstwo zakulisowych, nigdy dotąd nie publikowanych informacji, a parę upiorów przekonało mnie, bym je zachował dla siebie. Nie zna ich pan nawet w części. Są być może rzeczy, o których nawet teraz nie będę mógł mówić. Ale gdzie wchodzi w grę informacja o aferze Interkomu, jestem, i dobrze jest o tym pamiętać, jedynym i jedynym wiarygodnym źródłem.

To nie znaczy, panie Jaktambądz, że jestem gotów zrobić z siebie wiarygodny tyłek.

Dlaczego do cholery mam być łaskawy?

Może jest pan znakomitym autorem powieści kryminalnych, ale czyżby umknęło pańskiej uwadze, że jestem doświadczonym redaktorem, dziennikarzem agencyjnym i

pisarzem potrafiącym poprawić to, co inni sknócili? Niech się pan nie da nabrać na to, że pracowałem dla Interkomu. Nie dał się nabrać włoski wydawca, który zwrócił się do mnie z propozycją, abym to ja napisał pełną i autentyczną wersję dla potrzeb publikacji książkowej. Fakt ten nie miał też wpływu na amerykańskiego wydawcę pisma ilustrowanego, który specjalnie odbył podróż z Paryża, sugerując, bym napisał dla nich trzyczęściowy artykuł.

Dlaczego nie przyjąłem tych ofert? Dlatego, że nie były wystarczająco dobre. To, co proponował Włoch za prawa autorskie na cały świat, nie wystarczyłoby, żeby kupić środki uspokajające na czas pisania. Amerykanom chodziło o to, bym za tysiąc dolców i nazwisko na stronie tytułowej wygadał się przed jednym z ich mdłych chłopaczków do wszystkiego. Powiedziałem im, gdzie mogą to sobie wsadzić.

Nie jestem w potrzebie panie Ważny i nie interesują mnie żadne bzdury o honorarium. Jeśli chce pan współpracy ze mną, to pan będzie musiał być łaskawy.

Oto co rozumiem przez bycie łaskawym.

Przestaniemy mówić o współpracy - właściwym słowem jest współautorstwo. Przestaniemy mówić o honorarium - warunki to 50 procent zysków, wszelkich zysków.

Przyjmij pan to lub nie.

Myślę, że przyjmie pan, bo jeżeli nie, to nic nie powiem, a jeśli nie będę mówił, to pańska relacja będzie tak pełna i autentyczna jak rozporek pańskiej niezamężnej ciotki. Co więcej - a mam nadzieję, że przyjmie pan to w dobrej wierze panie Ważny, bo mimo że nie znamy się jeszcze osobiście, to nie wątpię, że nasza przyjaźń może być piękna - znam się dostatecznie na obowiązującym tu i gdzie indziej prawie o zniesławieniu, ochronie autora, o przekręcaniu faktów i naruszaniu prywatności, aby sprawić wystarczające kłopoty, jeśli moje imię zostanie użyte samowolnie. Nie jest to groźba, ale może to być obietnica.

Założmy więc, że będziemy współautorami. Pisze pan, że planuje stworzyć, używając pańskiej miódopłynnej prozy - popraw ten cytat Nicole - „chronologiczną relację składającą się z części ciowo ze spisanych i zredagowanych taśm magnetofonowych, zawierających oświadczenia ważnych świadków, którzy chcą być rozpoznani, częściowo zaś z rekonstrukcji fabularnych opartych na świadectwach uzyskanych od osób zamieszanych w sprawę i innych, którzy z różnych przyczyn muszą pozostać anonimowi.” Innymi słowy, praca za pomocą nożyc i kleju.

W tej sprawie mam parę słów do powiedzenia.

Jak się już pan prawdopodobnie zorientował, jedynym ważnym świadkiem, który ma ochotę zostać rozpoznany, jestem ja. To znaczy, że będę miał do wykonania niezły kawał roboty, i wyjaśnia przy okazji, dlaczego żądam połowy zysków. Ale, panie Ważny, mogę

mieć ochotę na wyjście z ukrycia, zdecydowanie jednak nie mam ochoty, aby mnie poprawiano. Lepiej, żeby pan to zrozumiał od razu. Nic co powiem lub napiszę, nie będzie ograniczone, skrócone, przycięte, przeredagowane, zreorganizowane, zmienione czy „poprawione” przez pana lub kogokolwiek innego. Nie proszę, by moje nazwisko zabłysło w świetle reflektorów jako jednego z autorów i nie interesuje mnie rekonstrukcja fabularna (Chryste, co za wyrażenie) ani wszelkie układy, jakie może zawrzeć pan z innymi świadkami (jeśli pan ich znajdzie). Obstawiam przy tym, by wszystko, co powiem lub napiszę, poszło w niezmienionej formie, bez zmian czy przekręcania i by zostało przypisane w należyty sposób mojemu autorstwu: Teodor Carter.

Przyniesiesz mi jeszcze drinka, kochanie? Nowa butelka powinna być w szafce przy schodach.

Przepraszam cię, Nicole. Zapomniałem wyłączyć. Jest tu Val.

Dobrze więc, panie Jaktambądz. Jak tylko otrzymam od pana list potwierdzający zgodę na warunki i zastrzeżenia, jakie tu przedstawiłem w ogólnych zarysach, oraz kopię pańskiego kontraktu z wydawcą i czek na 50 procent zaliczki (może być w dolarach albo frankach szwajcarskich), robimy interes. Wydawca może kon-trasygnować nasze listowne porozumienie.

Prawda, jeszcze jedna sprawa. Pod żadnymi pozorami, panie Jaktambądz, nie chcę mieć do czynienia, pośrednio lub bezpośrednio, z żadną ze wspomnianych osób, które nie mogą lub nie chcą być zidentyfikowane. Ta działka należy całkowicie do pana. Jestem strachliwy? Jasne. Miałem już tyle kontaktów z tymi knotami, że wystarczy mi na całe życie. A jeśli chce pan rady, to spotykaj się pan z nimi tylko w biały dzień w publicznych miejscach, gdzie dookoła jest dużo ludzi i policjant w zasięgu wzroku. Będzie pan miał wystarczająco dużo kłopotów z tymi „fabularnymi rekonstrukcjami”. Nie chce pan chyba skończyć na tym, że pana samego trzeba będzie rekonstruować.

Droga Nicole, wyczyść ostatni akapit. Nie chcę, by dostał I gęziej skórki. Pó)źniej wygładź tą trochę, zakończ „pańskim oddanym” i zrób dodatkową kopię. Nie, poczekaj. Najpierw zrób kopię dla mnie, abym mógł to zobaczyć. W końcu to interes.

CHARLES LATIMER

Drogi panie Carter.

Dziękuję za pański list. Wydal mi się nadzwyczaj zajmujący, jakkolwiek mam nadzieję, iż nie spodziewa się pan, abym przyjął poważnie wszystkie zawarte w nim propozycje.

Wydaje się pan preferować bezpośredni, wcale nie niedorze-! czyny sposób załatwiania interesów. Piszę „wydaje się”, ponieważ, co zrozumiałe, napomnienia by trzymać się faktów i zerwać z gadulstwem, często znaczą coś zupełnie przeciwnego, niż można by z pozoru sądzić. Prostotę sławią zazwyczaj ludzie najbardziej przebiegli. Niemniej jednak przyjmę to, co wydaje się być pańskim stanowiskiem, i będę pisał otwarcie.

Wśród osób mających za sobą szczególnie przykre doświadczenia istnieje tendencja do wyolbrzymiania niebezpieczeństw, które stały się ich udziałem, i przeświadczenie, że tylko one są uprawnione do mówienia o nich. Jako doświadczony dziennikarz powinien być pan tego świadom, a co za tym idzie, powinien potrafić j pan dostrzec to u siebie.

Mówi pan, że jest pan najbardziej poszkodowaną ofiarą afery Interkomu i jedynym żyjącym aktorem tej gry. Drogi panie Carter, był pan tylko nieznacznie poszkodowany i nigdy nie grał pan pierwszych skrzypiec. Wydawało się tylko, że tak było, ponieważ stał pan na niedużym czubku góry lodowej wystającym nad powierzchnią. Tak naprawdę nie wie pan, co pana dotknęło. Tylko 1 wydaje się panu, że pan wie. Są dwa sposoby na określenie pańskiej roli w tej aferze: jako niewinnego przechodnia zamieszanego w napad na bank lub jako ofiary psikusy spletanego przez zupełnie obcych ludzi.

Nie rozumie pan teraz, o czym mówię, nieprawdaż? To zrozumiałe. Pański ogląd tego, co nazywa pan aferą Interkomu, jest j bardzo ograniczony. Wszystko co pan wie, to tyle co przydarzyło się panu samemu. Nie wie pan dlaczego i co dokładnie się stało. Ja wiem dlaczego, a zaczynam - ponieważ podejmuję pewną dozę zachodu i ryzyka - odkrywać, w jaki sposób. Jest więcej wiarygodnych źródeł, panie Carter.

Nie zdziwiła mnie zupełnie wiadomość, że rozczarowały pana propozycje, które otrzymał pan w związku ze swoim opowiadaniem. Zdziwiło mnie natomiast, że otrzymał pan w ogóle jakieś propozycje w tak późnym stadium wydarzeń. Dlatego też wydawało mi się, że moja sugestia na temat wynagrodzenia (obawiam się, że „honorarium” było wyrażeniem zbyt prawniczym) w zamian za pańską współpracę będzie mogła zostać przyjęta. Moja propozycja jest nadal aktualna. Wybrał pan własny sposób jej akceptacji. Ja ze swej strony mógłbym przyjąć w postaci pisemnej ugody postawione przez pana warunki dotyczące uznania pańskiego wkładu i redakcji.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Podkreślając ograniczenie pańskiego punktu widzenia, nie mam zamiaru pomniejszać pańskiej pozycji. Pańska relacja byłaby cennym wkładem. Nie byłaby jednak nieodzowna. Widzi pan, ja już wiem dużo więcej o aferze Inter-komu niż pan. Bez skrupowania przyznaję się, iż o źródłach afery dowiedziałem się bardziej przez przypadek niż przez celowe działanie. Oto jak zainteresowałem się tą sprawą. Poprzez

przyjaciela w kraju, gdzie spędzam jesień swego życia, poznałem człowieka, którego w książce nazywam „pułkownikiem Jostem”. Pułkownik jest w tej chwili na emeryturze i zaczyna go już to lekko nudzić. Lubi towarzystwo i lubi rozmawiać. Lubił zwłaszcza gawędzić ze mną, ponieważ napisałem kilka książek, które mu się podobały. ‘ Powieści z dreszczykiem i kryminały są jego ulubioną lekturą - rozśmieszają go.

Przykro mi, że nie podoba się panu wyrażenie „rekonstrukcje fabularne”, ale może nie będzie pan miał nic przeciwko przeczytaniu jednej. Napisałem ją po wysłuchaniu pułkownika Josta. Jest zatytułowana „Gra dla dwóch osób” i może pomóc w wyjaśnieniu niektórych spraw, które przydarzyły się panu.

Może także przekona pana, mimo wszystko, do przyjęcia mojej Propozycji.

Pański oddany.

CHARLES LATIMER

Rozdział 2

GRA DLA DWÓCH OSÓB

Parowiec z Evian, leżącego po francuskiej stronie jeziora, zatrzymał się w Territet. Teraz widać go było znowu, kierującego się w stronę przystani, na której oczekiwał pułkownik Jost.

Spojrzał w dół, na wodę. Pamięta, że tego dnia nad jeziorem wiał zimny wiatr i fale rozbijały się o przybrzeżne głązy. Widok nie interesował go zupełnie. Pochodził z kraju, gdzie wybrzeże otwarte było na sztormy Morza Północnego i te fale, jak mówi, przypominały mu spienioną wannę. Mimo to utkwiał w nich swój wzrok. Było to lepsze niż patrzeć wyczekująco na zbliżający się parowiec i lepsze niż zwracanie uwagi, nawet niewinnie, na innych ludzi czekających obok niego na przystani. Było ich pięcioro: dwie kobiety z brzuchatymi torbami, mężczyzna o zniszczonym wyglądzie trzymający teczkę z imitacji skóry i para posezonowych turystów niemieckich, mąż z żoną. Wszyscy prawdopodobnie nieszkodliwi, pomyślał, ale nigdy nie można być pewnym. Kiedy nie zwracasz uwagi na ludzi, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że sam zostaniesz zauważony i zapamiętany. Przyglądał się falom, dopóki parowiec nie zbliżył się do brzegu.

Koła łopatkowe spieniły wodę, rzucono cumy, wysunięto trap. Cztery osoby zeszły na brzeg. Oczekujący pasażerowie weszli na pokład.

Jost wszedł ostatni i prawie natychmiast zobaczył swojego przyjaciela Branda.

Brand siedział w salonie, obok okna wychodzącego na prawą burtę.

Żaden z mężczyzn nie wykonał gestu mogącego zdradzić, że się znają. Jost, podnosząc futrzany kołnierz palta, skierował się do góry i zajął miejsce na górnym pokładzie.

Wyraz znudzonej obojętności pozostał na jego twarzy, ale przed kilku sekundami świadomym wysiłkiem zmusił się, by go zachować. Przeżył szok.

Nie widział Branda od ponad sześciu miesięcy i w tym czasie wygląd jego przyjaciela zmienił się radykalnie. Brand zawsze był blady. Ten rodzaj bladości, lekko żółtawej cery, nie jest czymś sporadycznym wśród Skandynawów. Ale zawsze była to zdrowa, dobrze ukrwiona cera. Teraz twarz była ściągnięta, szara i wydawało się, że opuściło ją życie. Brand wyglądał staro, wyglądał też na bardzo chorego lub przestraszonego.

Zesztywniał pod wpływem tej ostatniej myśli. Nakazał sobie spokój. Brand zażądał tego spotkania i powiedział, że jest pilne. Z tego typu tajnymi spotkaniami wiązał się zawsze konieczny element ryzyka. Jeśli przy tej okazji ryzyko miało być z jakichś przyczyn większe niż zazwyczaj, Brand z pewnością przekazałby to w swojej wiadomości. Nie zrobił tego. Zatem jego wygląd musiał być spowodowany chorobą. W wiadomości także o tym nie było ani słowa, ale wykorzystywany przez nich sposób osobistej łączności nie był przeznaczony do przesyłania informacji o sprawach prywatnych.

Przypomniał sobie noc, kiedy opracowali tę metodę na ogrodowym tarasie hotelowym, niedaleko Strasburga.

Francuski banknot dziesięciofrankowy ma na swoim awersie grupę czterech liczb. Jest data i numer emisji, a poza tym są dwa numery seryjne, jeden składający się z pięciu cyfr w lewym dolnym rogu i jeden składający się z dziesięciu, w środku, pod słowami Banque de France. W sumie, na każdym banknocie jest co najmniej dwadzieścia pięć cyfr i nie ma dwóch identycznych banknotów. Był to pomysł Branda, by wykorzystać te banknoty jako jednorazowe szyfrówki. Jost wymyślił wzór. Sposób był domorosły, ale działał i był na tyle bezpieczny, na ile mogą być podobne metody - dziesięciofrankowy banknot w jednej kopercie lotniczej, zaszyfrowana wiadomość w drugiej. Ograniczenie polegało na możliwości przesyłania tylko krótkich, prostych komunikatów.

Wiadomość, która go tu sprowadziła, była krótka i prosta: PILNE

SPOTKANIE BĄDŹ W MEDIOLANIE NASTĘPNIE ODWIEDŹ CHRZEŚNIA-
CZKĘ DWUDZIESTEGO POPOŁUDNIOWY PAROWIEC DO EVIAN ZA VE-VEY
POTWIERDŹ.

Być może, nie było to całkiem proste. Układ tekstu był starannie przemyślany.

Nawet w tych częściach świata, gdzie podróże zagraniczne są czymś codziennym i łatwym, istnieją pewne osoby - dla przykładu Prezydenci, królowie, premierzy i znani

kryminaliści - którzy, w Przeciwnieństwie do zwyczajnych ludzi, nigdy nie mogą poruszać SIĘ swobodnie z państwa do państwa, spotykać się z osobami, Ktore sami sobie wybiorą, i w miejscu, na które mają ochotę, bez scisłej kontroli swych kroków.

Szefowie rządowych tajnych służb wywiadowczych są wśród tych nielicznych, którym jest to wzbronione.

We własnych krajach są w stanie utrzymać swe ruchy w tajemnicy i najczęściej to robią. Ale z chwilą gdy zamierzają udać się za granicę, pojawiają się pytania, stawiane nie tylko przez ich podwładnych i tych, przed którymi są formalnie odpowiedzialni. Protokół, a czasem przezorność, wymaga, by ich zagraniczni koledzy z krajów, do których się wybierają, byli informowani o ich ruchach i o powodach tychże. Jako że tacy podróżni muszą zawsze liczyć się z jakimś rodzajem opieki - w najlepszym wypadku życzliwym i opiekuńczym, zawsze jednak dokładnym i wnikliwym - powody, które podają, czy są prawdziwe, czy nie, muszą być co najmniej przekonujące.

Sam będąc szefem wywiadu i znając to zagadnienie z własnego doświadczenia, pułkownik Brand przezornie zaproponował przyjacielowi dobry pretekst do wykorzystania przy tej okazji. Propozycja była ukryta w słowach odnoszących się do Mediolanu i I odwiedzin chrześniaczki.

W Mediolanie, w tygodniu bezpośrednio poprzedzającym termin proponowanego spotkania, odbywać się miały międzynarodowe - I dowe targi przemysłu elektronicznego. Pokazane miary tam być nowe zminiaturyzowane czujniki i detektory, jak również najnowszy sprzęt telekomunikacyjny. Brand odgadł prawidłowo, że Jost będzie wysyłał pracownika ze swojego działu technicznego do Mediolanu, aby otrzymać sprawozdanie na temat nowych osiągnięć. Równie poprawnie odgadł też, że decyzja Josta, by osobiście pojechać do Mediolanu z technikiem, nie wzbudzi zdziwienia, i Decyzja zgodna z jego charakterem - zainteresowanie pułków-1 nika Josta rozwojem techniki było dobrze znane.

Natomiast pułkownik Brand nie mógł udać się do Mediolanu J z tego samego powodu - byłoby to niezgodne z jego charakterem. Tak więc spotkanie musiało odbyć się gdzie indziej. Poza wymianą zaszyfrowanych wiadomości, dbali o wymianę zwykłej, całkiem niewinnej, prywatnej korespondencji. Jost, bezdzietny wdowiec, skarżył się w jednym z ostatnich listów, że jego siostrzenica, którą bardzo lubił i której był ojcem chrzestnym, została wysłana przez rodziców do angielskiej szkoły niedaleko Montreux w Szwajcarii, j Brand zapamiętał to. Czy byłoby coś dziwnego w tym, że Jost, wracając z Mediolanu, przerwałby podróż w Montreux i odwiedził swą chrześniaczkę?

Brand był zawsze dobry w wymyślaniu pozorów, pomyślał I jost Niewątpliwie przygotował sobie coś równie pomysłowego, by dostać się do Evian. Przyjemnie będzie posłuchać.

Tak czy inaczej, niedługo się dowie. Minęli Ile de Salagnon i podążali przez jezioro w stronę Vevey.

Za Vevey, napisał Brand.

Przyjaciółmi byli już wówczas od piętnastu lat - praktycznie od dnia, gdy zostali wyznaczeni na stanowiska, które zajmowali do dzisiaj.

Poznali się w bazie NATO we Francji, w okolicznościach upokarzających dla nich obu. Było to upokorzenie drobne i nawet zabawne, gdy patrzyli na to z perspektywy czasu, ale rozwścieczające w momencie, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Funkcja Branda nosiła nazwę Szefa Wywiadu i Służb Bezpieczeństwa, Josta Szefa Wywiadu Obrony. W rezultacie praca, jaką wykonywali dla swoich rządów, była taka sama - byli swymi odpowiednikami. Mieli też inne wspólne cechy. Obaj wyróżnili się odwagą walcząc w ruchu oporu, kiedy ich małe kraje znalazły się pod niemiecką okupacją. Obaj byli przywódcami i organizatorami oddanymi swym rządóm na wygnaniu i jako zawodowi żołnierze z „dobrych” rodzin posiadali prawicowe poglądy polityczne. Przeżyli okupację, ponieważ ufali we własne siły, byli twardzi i zaradni, ponieważ lekceważyli bohaterstwo i walkę dla samej walki i ponieważ odpowiednio wcześniej nauczyli się nie słuchać rozkazów odległych dowódców, kiedy wiedzieli, że te rozkazy są nierozumne lub nierozważne. Obaj rozwinęli u siebie specjalny rodzaj zręczności, potrzebny dla pomyślnego prowadzenia tajnych operacji. Jako oficerowie sztabowi w latach bezpośrednio po wojnie okazali się dzięki swej wiedzy, doświadczeniu i naturalnym predyspozycjom potrzebni w pracy wywiadu i zostali specjalistami w tej dziedzinie. Kiedy rozwój Paktu Północno-Atlantyckiego sprawił, że utworzenie ich stanowisk stało się niezbędne, zostali uznani za najlepiej wykwalifikowanych do ich objęcia. Nie mieli poprzedników i nie byli skrępowani precedensami. Od początku byli Panami samych siebie.

Z chwilą swej nominacji automatycznie zostali pełnoprawnymi Członkami stałego komitetu połączonych wywiadów NATO, w którym ich kraje były czasowo reprezentowane przez attache wojskowych. Cokwartalne trzydniowe posiedzenia komitetu odbywały się podówczas w bazie armii amerykańskiej położonej dwa dziesięć kilometrów pod Paryżem. Sprawami bezpieczeństwa tych ściśle tajnych naradach zajmowali się Amerykanie.

Podczas pierwszego posiedzenia, w którym uczestniczyli, Jos i Brand zostali ulokowani w swych ambasadach w Paryżu. Obaj zostali już zaakceptowani przez ściśle tajną

komórkę bezpieczeństwa w NATO znaną jako Cosmic*. Mimo to, jako że byli nowymi członkami komitetu, konieczne było uzyskanie od Amerykanów przez ich ambasady specjalnych przepustek, potrzebnych, aby uzyskać wstęp najpierw do bazy, a potem do silnie strzeżonego, wydzielonego na jej terenie miejsca obrad konferencji. Przepustki te dostarczył im osobiście w ich ambasadach amerykański oficer łącznikowy.

O ósmej trzydzięci rano pierwszego dnia Jost i Brand zostali zabrani oddzielnie ze swoich ambasad przez sztabowe samochody Armii Stanów Zjednoczonych i zawiezieni do bazy. Obaj byli w mundurach. Przybyli w odstępie dwuminutowym, około dziesięciu tej piętnaście. O dziesiątej trzydzięci obaj byli aresztowani, a w każdym razie trzymanii pod strażą na wartowni i przesłuchiwanii przez amerykańskiego porucznika żandarmerii, który w wysoce obraźliwych sformułowaniach oskarżał ich, iż są dziennikarzami.

Okazało się, że porucznika spotkała ostatnio niemiła przygoda z nazbyt przedsiębiorczymi zagranicznymi korespondentami; zdarzenie, które doprowadziło do udzielenia mu reprimendy przez jego zwierzchnika. Nauczka nie poszła w las. Teraz, powiedział, może wyczuć reportera na milę. Używał wielu słów uznanych powszechnie za wulgarnie na wyrażenie swej opinii o dwóch oszołomionych pułkownikach, przekrzykując ich protesty i opisując, co ma im zamiar zrobić swoimi własnymi rękoma. Upłynęło prawie dziesięć minut, zanim kapitan z sekcji bezpieczeństwa przybył, aby przeprowadzić śledztwo.

W cywilu kapitan był zawodowym oficerem policji. Uciszył rozjuszonego porucznika, zadał parę rozsądnych pytań i otrzymał rozsądne odpowiedzi. Istota nieporozumienia stała się jasna. Specjalne przepustki wydane Jostowi i Brandowi były przestarzałe, wycofano je miesiąc wcześniej. Oczywiście, powiedział kapitan, zaszła pomyłka.

Może było to oczywiste, jednak minęły dwie godziny, zanim

* Skrót od Coordination of Security Measures in International Communities - Koordynacja Środków Bezpieczeństwa w Międzynarodowym Dowództwie. Pomyłka została wyjaśniona. Dokumenty, które posiadali, nie były ważne w tej strefie wzmożonej ochrony. Trzeba było pobrać ich odciski palców, ściągnąć akta dla porównania i wezwać kogoś w celu potwierdzenia ich tożsamości. Oczywiście spóźnili się na posiedzenie komitetu, gdzie, jako iż aktualny przewodniczący nie został poinformowany o przyczynie zwłoki, spotkali się z zimnym przyjęciem.

W czasie przerwy na obiad nastąpiły jednak wyjaśnienia i przedstawił się im amerykański major z działu bezpieczeństwa. Nie kajał się ani nie próbował wymyślać usprawiedliwień. Jednoznacznie stwierdził, że błąd jest skutkiem niedbalstwa jego biura i potwierdził, że ich ambasady nie są w żaden sposób odpowiedzialne. Szczerze przeprosił za

wszelkie kłopoty, jakie sprawiła ta pomyłka. Jego sposób bycia był ujmujący, a oni byli rozumnymi ludźmi. Pomyłki zdarzają się i tam, skąd pochodzę, powiedział Jost przyjaźnie, a Brand pogratulował majorowi jego kapitana, którego takt i zdrowy rozsądek złagodziły tego ranka przykrą sytuację.

Gdyby cała sprawa skończyła się na tym, na szczerych przeprosinach, które zostały szczerze przyjęte, prawdopodobnie znajomość pomiędzy Jostem i Brandem nie rozwinęłaby się tak dalece. Mogłaby narodzić się anegdota, ale miałaby krótki żywot i pozostałaby tylko anegdotą.

Otóż przełożony majora zdecydował, że mądrym posunięciem z jego strony będą osobiste przeprosiny dwóch obcokrajowców.

- Ostatecznie - powiedział majorowi - chłopaki są z branży. Potrafią się skradać. Mogą zachowywać się, jakby wszystko wybaczyli i zapomnieli, ale czy stwierdzili wprost, że nie wniosą formalnego zażalenia? Nie, nie zamierzam ryzykować. Zajmę się nimi osobiście.

Pod koniec dziennej sesji przesłał im wiadomość, zapytując, czy nie mieliby nic przeciwko temu, by wstąpić do jego biura w celu podpisania i odebrania nowych przepustek, które zostały dla nich przygotowane.

Był pełnym pułkownikiem z dwoma rzędami baretek, które w tym czasie w Armii Stanów Zjednoczonych nazywano „szpinakiem”. Po załatwieniu sprawy przepustek, wyciągnął butelkę whisky i zaproponował drinka. Zgodzili się. Wtedy przeszedł do swo-tch przeprosin, które zaczęły się krótkim, ale zawikłanym opisem Procedury wydawania przepustek, a skończyły długą, pokrętną opowieścią związanych z bezpieczeństwem o kłopotach, z jakimi musi się borykać, i o trudnym, odpowiedzialnym i niewdzięcznym zadaniu, jakie ma tu do spełnienia. Gdy skończył, było nie tylko jasne, że to siebie uważa za prawdziwą ofiarę tej pomyłki, ale dał też do zrozumienia, że jego zdaniem sami ściągnęli na siebie większość nieprzyjemności, które spotkały ich tego ranka.

- Nie zrozumcie mnie źle - mówił uśmiechając się przyjaźnie - ale poinformowano mnie, że to wasze dziwne mundury sprawiły, iż sierżant przy zewnętrznej bramie szczególnie dokładnie sprawdził te przepustki. Nie mówię, że mogłoby się wam udać, gdyby tego nie zrobił - możecie mi wierzyć, spadłoby tu kilka głów, gdyby tak się stało - ale dlatego to wy mieliście żandarmerię na karku, a nie moi chłopcy.

- Z pewnością - powiedział Jost najspokojniej jak potrafił - nasi attaché uczestniczyli w tych spotkaniach w mundurach.

- Oczywiście, że tak. Ale wasz attaché jest człowiekiem z marynarki, a wasz - spojrzał na Branda - który ma tu swoją linię telefoniczną, nosi mundur z amerykańskiej tkaniny.

Oczywiście ma swoje własne dystynkcje i odznaki, ale jeśli nie jest się naprawdę blisko niego, można go wziąć za amerykańskiego żołnierza.

- Nasze mundury są pewnie lepiej znane tam, gdzie widziano wojnę - oziębło powiedział Brand.

Ich gospodarz nie zmieszał się. - Nie mam co do tego wątpliwości pułkownika. Jak powiedziałem, nie zrozumcie mnie źle. Naprawdę mamy tu kłopot z tymi wszystkimi zagranicznymi mundurami. Wiemy o tym i zamierzamy to naprawić. Widzieliście te plansze NATO, które wywiesiliśmy: mundury, odznaki, naszywki, flagi - cały ten kram. Ale idzie ciężko. Miesiąc temu mieliśmy tu faceta w tak cholernym przebraniu, jakiego nigdy nie widzieliście. Mógł być kimkolwiek - peruwiańskim marszałkiem polnym, portierem w knajpie, kim sobie tylko życzycie. W rzeczywistości był włoskim kapitanem w jakimś ich zwariowanym mundurze. Zgadza się, jest to problem. Ale powiem wam jedno. Jest to problem, którym nie będziecie musieli się już więcej kłopotać. Teraz łyknijmy jeszcze po jednym.

Wyrwali się tak szybko, jak tylko mogli, i postanowili wracać do Paryża tym samym samochodem.

W samochodzie milczeli przez pewien czas przeżuając swą złość. Potem Jost odchrząknął.

- Potwierdzające dementi - powiedział. Brand spojrział na niego.

Jost odchrząknął raz jeszcze.

- Nawet przez moment nie chciałbym sugerować, że pan X jest kłamcą i złodziejem, ale... - Z niesmakiem ściągnął usta. - Wydaje mi się, że „nie zrozumcie mnie źle, ale” jest zagrywką tego samego gatunku. W rzeczywistości oznacza: „To co powiem z całą pewnością obrazi was, ale jako że zastrzegłem z góry, iż nie mam zamiaru nikogo obrażać, nie macie prawa się skarżyć”. Mimo wszystko ja się skarżę.

Brand uśmiechnął się. - Więc nie zrozumie mnie pan źle, kiedy powiem, iż mam nadzieję, że facet ciągle się zastanawia, czy zdołał nas przekonać, abyśmy trzymali język za zębami. Miło jest myśleć, że trapią go wątpliwości.

- Ja też. Co najmniej wątpliwości. - Jost zerknął na amerykańskiego szofera siedzącego przed nimi i kontynuował po francusku.

- Zamierza pan złożyć protest?

- Postanowiłem, że nie, o ile pan będzie podobnego zdania. Teraz nie jestem pewien. Jak pan sądzi?

Jost zastanowił się przez chwilę. Obaj rozmawiali teraz po francusku.

- Podzielim pański niesmak i irytację - powiedział - i myślę, że protest byłby uzasadniony. Czy posłużyłby jakiejś użytecznej sprawie, to inna kwestia. Skłaniam się niechętnie do zdania, że tak by się nie stało. Poza tym, nikt nie chce zaczynać pracy z etykietką rozrabiaki.

Minęła chwila milczenia, zanim Brand odpowiedział. - Zgadzam się. Oczywiście sporządzę raport dla swojego ambasadora, ale poproszę o niepodejmowanie żadnych kroków. Tym niemniej - kontynuował ponuro - z pewnością przypilnuję, aby w przyszłości nasz attache wojskowy nie nosił mundurów uzyskanych tanio od amerykańskich szeregowców. To miejsce wyraźnie go zdemoralizowało.

Jost westchnął. - To wszystko jest godne pożałowania. W Poprzednim tygodniu byłem na zebraniu u naszego dowódcy armii. Obecni byli urzędnicy z ministerstwa obrony i spraw zagranicznych. Komuś z ministerstwa spraw zagranicznych wydało się właściwe ostrzec mnie przed tendencją niektórych przedstawicieli państw sojusznicych do sprzyjania antyamerykańskim nastrojom, a czasem nawet do ich wyrażania. - Spojrzał z ukosa na Branda. - Nazwał antyamerykanizm występkiem najgorszego rodzaju i zepsuciem, któremu nie można w żaden sposób pobyłać, Jako iż korzeniem jego jest zazdrość.

- Brzmi jak ze Starego Testamentu.

- Nasi urzędnicy traktują się bardzo serio. Wtedy poczułem się urażony, że takie ostrzeżenie wydało się konieczne, pomimo iż padło ze strony tego starego głupca. Nie wiedziałem wtedy, jak prędko będę wodzony na pokuszenie.

- Ale czy jesteśmy kuszeni? - Brand wzruszył ramionami - Wie pan tak dobrze jak ja, że nasz przyjaciel z butelką whisky jest po prostu wysługującym swe lata pajacem z rodzaju, który można znaleźć w każdej armii. Gdyby sprawy bezpieczeństwa znajdowały się w innych rękach, mógłby być Francuzem lub Anglikiem, równie obraźliwym, choć może w inny sposób. Nie trzeba być antyamerykańskim, żeby nie lubić takiego faceta.

- A pan wie - odparował Jost - że to żaden argument w naszej sytuacji. To Amerykanie liczą się w tej chwili na Zachodzie, ponieważ tylko oni dysponują prawdziwą siłą i wolą jej użycia. To, czy nas lubią czy nie, nie ma znaczenia. Oceniają nas według naszej przydatności dla sojuszu i naszej gotowości do spełniania ich wymagań. Znaczenie ma fakt, że z tej racji my nie możemy pozwolić sobie na resentymenty i na to, by ich nie lubić, nikogo z nich, z żadnych powodów, słusznych lub nie. To nie leży w naszym interesie. - Zamilkł, po czym dodał ironicznie - Cytuję oczywiście moje oficjalne instrukcje.

- Tak też to zrozumiałem - odpowiedział sucho Brand - Ja także mam instrukcje od mojego rządu, w które nie całkiem wierzę.

Popatrzyli na siebie przez moment, po czym uśmiechnęli się. Pierwszy krok w stronę wzajemnego zrozumienia był zrobiony. Nagle poczuli się ze sobą swobodnie.

- Jako że takie instrukcje, czy się w nie wierzy czy nie, muszą być stanowczo wypełniane - powiedział Jost - zapomnijmy o człowieku z whisky i zapamiętajmy tylko dobrego kapitana i jego wspaniałego majora.

Brand skinął głową. - Rzeczywiście, zrobmy tak. Ale - jego wzrok stał się nieobecny - proszę nie zrozumieć źle tego, że wspomnę o poruczniku żandarmerii, który przesłuchiwał nas pierwszy dziś rano. Czy nie wydał się panu szczególnie interesujący?

- Ponieważ pierwszą jego myślą było, że musimy być dziennikarzami w przebraniu?

- Tak, i ponieważ wydawał się dużo bardziej zaniepokojony tą możliwością niż tym, że możemy być agentami wroga. Wydaje się, że ta myśl nie przyszła mu nawet do głowy.

- Niech pan pamięta, że miał złe doświadczenia z dziennikarzami, a prawdopodobnie żadnych ze szpiegami.

- Być może. Ale wolę inne wytłumaczenie. Chcę myśleć o tym człowieku jako o instynktownym realiście.

Jost spojrział ostrożnie na swego towarzysza. - Obawiam się, że musi mi pan to wytłumaczyć.

Byli już w mieście i na twarzach migotały im uliczne światła. Brand uśmiechał się.

- Realistą w tym kontekście jest ten - powiedział - kto przyjmuje, że większość sekretów, których tak zazdrośnie strzeżemy, jest już dobrze znana drugiej stronie, a większość sekretów, których strzeże druga strona, jest już dobrze znana nam. Ten, kto rozumie i to, że mimo wszystko muszą być zachowane pozory, a konwencje przestrzegane, że ludzie z zewnątrz nie mogą wejrzeć w naszą głupotę i że obie strony mają wspólnego wroga - małego chłopca, który spostrzegł, że król jest nagi.

- Niebezpieczna rozmowa, pułkowniku.

Zaczęli się śmiać. Po chwili Jost wyjrzał przez okno i spostrzegł, że zbliżają się do celu podróży.

- Domyślam się, że będzie pan jadł kolację ze swoim ambasadorem. - powiedział.

- Obawiam się że tak. A pan ze swoim?

- Tak. Być może jutro wieczorem moglibyśmy kontynuować tę pożyteczną dyskusję.

- Ta sama myśl przyszła i mnie do głowy. I tak rozpoczęła się przyjaźń.

Szefowie wywiadów dysponujący tajnymi budżetami i możliwością, a czasem i obowiązkiem kierowania się zasadą celowości, a nie ścisłego legalizmu, mają skłonność do przekształcania się w ukrytych potentatów. Leży to w naturze ich zawodu. Tak długo jak oni i

ich podkomendni unikają błędów zbyt wielkich do zamaskowania, są wolni od publicznej krytyki. Fetysz tajemnicy i ogólna zgoda na zasadę, że „trzeba wiedzieć”, są silną obroną. Kiedy taka obrona jest wzmocniona, jak to często bywa, przez polityczne szepty dochodzące od nominalnych zwierzchników, że „nie chcą o niczym wiedzieć”, ludzie posługujący się nią są bezpieczni nawet Przed atakami miotanymi przez wrogie frakcje tej samej organizacji, w której służą. Zdobywają więcej poważania, niż warta jest eh odpowiedzialność. Nie są faktycznie odpowiedzialni przed nikim. A im dłużej pozostają na swoim stanowisku, tym stają się silniejsi i rośnie ich skłonność do buty. Buta oczywiście będzie najczęściej skrywana za dobrze skrojoną maską obiektywizmu i powściągliwości. I choć cechy jej będą się różnić, obecna jest zawsze. Jaka będzie, zależy od charakteru danej osoby, od jej nadziei, próżności i okoliczności, od politycznego środowiska, w którym pracuje, od czasu i od szczęścia. Istnieli szefowie służb, których bawiło udzielanie poparcia pogardzanym przez nich przywódcom, jak również ci, którzy szli za swoim sumieniem, kiedy byłoby łatwiej i intratniej zignorować je. Byli szefowie tworzący królów, obalający rządy, którym przysięgali wierność, i planujący zamachy stanu, które je niszczyły. Byli tacy, którzy zdobywali władzę dla siebie i tacy, którzy woleli pozostać szarymi eminencjami marionetkowych władców. I byli ci, których buta objawiła się w bardziej ekscentryczny, mniej znany sposób.

Jost i Brand doszli do władzy we wczesnych latach pięćdziesiątych i zadomowili się w wywiadowczej społeczności NATO w mroźnych latach zimnej wojny.

Pod jej koniec wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że po pełnili ten sam błąd co wiele ambitnych osób. Wyspecjalizowali się zbyt wcześnie. Stanowiska, które wydawały się upragnione, gdy byli młodzi, teraz, gdy wkraczali w wiek średni, stały się ślepy m zaułkiem. W skromnej hierarchii obronnych struktur, do których należeli, nie mogli wznieść się wyżej.

Byłoby łatwo spojrzeć na ich rozczarowanie po prostu jak na skutek zawodowej frustracji i finansowego rozczarowania, stworzyć obraz zrzędlivych pułkowników, odciętych od dalszej promocji przez swoje niepodważalne umiejętności, źle opłacanych i pozbawionych zadośćuczynienia, stających się w końcu wystarczająco zgorzkniałymi, by wziąć swoją przyszłość i swój los we własne ręce. Obraz taki byłby jednak fałszywy.

Na pewno mieli powody do skargi. Ich formalne obowiązki - a co za tym idzie nieformalne wpływy - z biegiem lat wzrosły niepomierne bez odpowiedniego awansu lub wzrostu płacy. Większość ich zagranicznych kolegów - nie wszyscy, ale większość - posiadało stopień generała-majora lub jego odpowiednik. Próby, które obaj podejmowali w celu podniesienia rangi swych urzędów, niezmiennie kończyły się niepowodzeniem. Nie potrafili zjednać dla siebie wyższych władz. A wyższe władze, zawsze ostrożne, nie były

skłonne uczynić ich bardziej wpływowymi, niż byli. Zaczęli preferować, co rozumiało, ubiór cywilny od swoich mundurów. Ale zbyt pochopny jest wniosek, że byli powodowani tylko swoim rozżaleniem i że to, co ostatecznie zrobili, było po prostu krwiożerczym wyrazem ich złości. Rozczarowanie i odchylenie z tego wyrosło miało głębsze korzenie.

Pomimo iż Jost i Brand byli obaj zawodowymi żołnierzami, ich myślenie o wojnie i ludziach było uwarunkowane nie przez czynną służbę w normalnej armii, lecz przez to, czego nauczyli się w ruchu oporu. Teoria, że wielka siła może być skutecznie odparta tylko przez siłę równą lub większą, nie miała dla nich znaczenia. Według ich rozumowania, przeciwstawienie się większej potędze polegało na znalezieniu sposobu rozbicia jej spójności, a następnie, kiedy była już podzielona, zajęciu się poszczególnymi elementami. Myśleli w taki sposób, w jaki zawsze walczyli, myśleli jak partyzanci. Mogli uznać konieczność sojuszu, w który ich kraje były zaangażowane. Mogli z rezygnacją przyjąć do wiadomości, że ich państwa znaczą nie więcej dla NATO niż Rumunia czy Bułgaria dla Układu Warszawskiego, że były karłami wmieszanymi w walkę dwóch olbrzymów. To, czego nie mogli zmienić, to sposobu myślenia o olbrzymach.

Poznali potęgę niemieckiego olbrzyma, tak wszechmocnego w swym czasie, i przyczynili się do jego upadku. Teraz mieli możliwość obserwacji i oceny ze szczególnie dogodnej pozycji dwóch innych olbrzymów - amerykańskiego i rosyjskiego.

Ocena nie wypadła pochlebnie. Jednomyślnie stwierdzili, że w tych dwóch gigantach największe wrażenie wywierała na nich nie tyle ich siła, a w mniejszym jeszcze stopniu głośne pogroźki, jakie czynili, co ich wrodzona niezdarność.

„Sprawiają, że myśli się z tęsknotą o ciemnych nocach i zakładaniu potrzasków”, powiedział Brand Jostowi pewnej nocy w Brukseli.

Przyjaźń trwała już siedem lat, kiedy wypowiedział to zdanie, sumujące mniej więcej ich ówczesne poglądy. Byli zarówno anty-amerykańscy, jak i antyrosyjscy. Ich rozmowy były wywrotowe, ale ciągle były to tylko rozmowy. Byli dysydentami, ale ciągle potrafili wyładować frustracje w marzeniach.

W tym czasie spotykali się często. Utworzono regionalne komitety wywiadowcze, a należało bywać także na konferencjach Planistycznych połączonych z ćwiczeniami NATO.

Czekali niecierpliwie na te okazje, lecz nie pokazywali tego Po sobie. Zaprzyjaźnili się też z innymi kolegami z NATO i obaj troszczyli się o podtrzymanie tych więzów. Ale opinie wygłaszane Przy innych były skrupulatnie prawomyślne. Ich odszczepieństwo było prywatną zabawą, do której nie zamierzali dopuszczać nawet osób zdradzających po temu sympatię. Zgoda co do tej kwestii była milcząca, ale żaden z nich nie próbował jej

kwestionować. Nawet w tym stadium instynktownie czuli, że przyjdzie czas, kiedy będą zadowoleni ze swej dyskrecji.

Od mglistych rozważań na temat skuteczności potrzasków do rozmyślania, z czego mogą być zrobione, a gdzie założone, droga jest niedaleka. Jost i Brand weszli na nią w 1964 roku.

Miejscem spotkania był Londyn, a okoliczności dosyć niecodzienne. Napięcie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim znacznie osłabło. Traktat o zakazie prób jądrowych został podpisany, a pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą założono gorącą linię. Dyskutowano nad reorganizacją NATO. Stanowisko Francji było niejasne. W powietrzu czuło się zmiany.

Jost i Brand zmuszeni do spojrzenia w przyszłość, nie byli zachwyceni. Nie żeby obawiali się o swoje stanowiska. Zbyt mocno na nich siedzieli i mogli spodziewać się, że doczekają na nich emerytury. Ale stawało się coraz bardziej jasne, że ich znaczenie w strukturze NATO, i tak już uszczuplone, wkrótce stanie się znikome. W ponurych myślach widzieli siebie jako biernych obserwatorów, kogoś w rodzaju wiejskich policjantów rozstawionych na pomniejszych skrzyżowaniach pól bitewnych tajnej wojny, w której jedyną efektywną siłą są wielkie bataliony CIA i KGB.

Taka ocena sytuacji nie była całkowicie urojona. CIA i KGB działały już potajemnie w obu ich krajach. Jost i Brand wiedzieli o tym. Wiedzieli też, że poza wzajemną wymianą informacji o działaniach swoich nieproszonych gości, nie mogli zrobić nic więcej prócz zachowania urazy. Przekonali się, że fałszywe mniemanie CIA o tym, że jest gościem nie tylko mile widzianym, ale i specjalnie uprzywilejowanym, było prawie tak drażniące, jak szyderczy upór rezydentów KGB, twierdzących, że nie istnieją. I tak samo obraźliwe dla ich inteligencji.

Jost był zamorskim członkiem pewnego londyńskiego klubu i pierwsze z dwóch przełomowych rozmów odbyły się w tamtejszym saloniku.

Tego dnia na londyńskim lotnisku miała miejsce nieudana próba porwania przesyłki ze złotymi sztabami i wieczorne gazety uczyniły z tego sensację. Trzech rabusiów zostało schwytanych i trwały poszukiwania czterech innych, zbiegłych drugim samochodem, oraz kierowcy ciężarowego podnośnika porzuconego nieo podał miejsca zdarzenia. Przy brandy Jost i Brand zaczęli leniwie omawiać to wydarzenie.

- Starannie zaplanowana robota - skomentował Brand - lecz zbyt wyszukana. Zastanawiam się, skąd zdobyli gaz łzawiący. Przypuszczam, że został skradziony z magazynów wojskowych.

- Z pewnością policja miała cynk.

- Niezbyt szczegółowy, sądząc po tym, jak się rzeczy mają. Pięciu ludzi uciekło. Co to jest ten ciężarowy podnośnik?

- Wydaje mi się, że służy do rozwożenia ciężkich sprzętów - maszyny, lodówki i podobne rzeczy. Tylna kłapa ma zasilanie i może być poziomo opuszczana i podnoszona jak winda. Przypuszczalnie miała być użyta do załadunku sztab.

- Napisali, że złoto było warte pół miliona funtów szterlingów.

- Brand zastanowił się chwilę - To by ważyło około tysiąca stu kilogramów. Tak, ośmiu ludzi z pewnością potrzebowałyby wsparcia, jeśli chcieli załadować to szybko. Co za idioci!

- Nie ma nic idiotycznego w pół milionie funtów.

- Ale to idiotyzm brać je w złocie.

- Nie rozumiem dlaczego. Dla złota zawsze jest rynek i nie ma potrzeby tracić na paserach. Byle głupi kanciarz może sprzedać złoto, jeśli pójdzie, gdzie trzeba.

- I jeśli może zabrać tam złoto ze sobą. Tysiąc sto kilogramów!

- parsknął Brand. - Gdybym zdecydował się szybko wzbogacić, to wybrałbym coś lżejszego.

Jost uśmiechnął się. - Pół miliona w używanych banknotach byłoby lżejsze, ale w jednej paczce niezbyt zgrabne.

Brand nie odpowiedział od razu. Prześlizgnął się wzrokiem po pustej sali, po czym zwrócił się do Josta. Mówił teraz bardzo cicho.

- Dla tych którzy mają dostęp do wiedzy, z pewnością są inne towary, które można upłynnić...

Znowu zapanowała chwila ciszy. Jost poczuł ucisk w żołądku, uczucie doskonale mu znane, którego jednak nie zaznał już od wielu lat. Był znowu w obliczu niebezpieczeństwa. By uspokoić się, upewnić, że jego stary przyjaciel żartuje, przywołał ich dawny zwrot.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział - Jestem gotów, jak każdy, dołożyć coś do swej pensji, ale... - westchnął ze smutkiem - czyż szczególna wiedza, jaką posiadamy, nie jest zbyt delikatna, a dy z nią podróżować? W tak ciężkiej i niebezpiecznej drodze czułbym się lepiej z płynną nitrogliceryną.

Brand nie uśmiechnął się. - Nawet taka wiedza, jeśli obchodzić się z nią należyście, może być bezpieczna - powiedział. - Wiedza, która ponadto nie narusza spokoju sumienia.

- Ach, myślisz o zabawkach - Jost poczuł ulgę, ale i lekki zawód. „Zabawki” w żargonie były wyrażeniem na określenie informacji o niskim stopniu utajnienia, podawanych wrogowi za pośrednictwem podwójnych agentów. Nie w stylu Branda było mówić od rzeczy.

Brand potrząsnął głową. - Nie, nie zabawki. Coś dużo lepszego. - Pochylił się do przodu. - Prawdziwy towar, ale taki, który prawdopodobnie mają już obie strony.

- I w związku z tym zapewne bezużyteczny? Rozumiem.

- Bezużyteczny, ale nie bezwartościowy. - Brand uśmiechał się teraz. - Można by pomyśleć: jak złoto.

Josta znowu ogarnęło uczucie niebezpieczeństwa, ale teraz nie było to nieprzyjemne. - Być może jak złoto - powiedział - ale bez takiego rynku, jaki jest na złoto.

- Taki rynek można znaleźć.

- Czy wyobrażasz sobie nas szukających?

- Nie. - Brand wzruszył ramionami - Być może, dla takiego artykułu rynek trzeba stworzyć. - Jeszcze raz wziął do ręki wieczorną gazetę - Ośmiu ludzi przy robocie - zauważył - bez wątpienia drugie tyle było zamieszanych w planowanie i przygotowania. Nic dziwnego, że bezpieczeństwo szwankowało. Nic dziwnego, że policja miała cynk.

To było wszystko, co zostało wówczas powiedziane.

Oczekiwana reorganizacja została przeprowadzona i oficjalne okazje dla ich prywatnych spotkań stały się rzadsze. Upłynął ponad rok, nim poruszyli ponownie zagadnienie „dostępu do wiedzy”. Tym razem zaczął Jost.

Jedli kolację w restauracji w Rzymie. Pod koniec posiłku Jost powiedział od niechcenia: - Słyszałem parę dni temu o dziwnym towarze sprzedanym na jeszcze dziwniejszym rynku.

Spostrzegł wzrok Branda prześlizgujący się po innych stolikach, sprawdzający, czy* ktoś jest wystarczająco blisko, aby ich podsłuchiwać, i wiedział już, że przyjaciel nie zapomniał poprzedniej rozmowy. Słowa „towar” i „rynek” podziałały tak, jak się tego spodziewał. Brand patrzył mu teraz w oczy spokojnie i uważnie.

- W Meksyku - kontynuował Jost - jest fałszerz. Jest stary, ale ciągle bardzo zręczny, a wykonywał swój zawód z powodzeniem przez wiele lat.

- Z powodzeniem? Chodzi ci o to, że nie został złapany?

- W Meksyku nie popełnił żadnego wykroczenia.

- Fałszerstwo nie jest tam przestępstwem?

- Fałszerstwo pieniędzy tak. Fałszerstwo obligacji, czeków i innych tego typu wartościowych dokumentów jest oczywiście poważnym przestępstwem. Ale ten stary

człowiek nie idzie na to. Fałszuje coś zupełnie innego, papiery z pozoru bez żadnej wartości - rzadkie znaczki pocztowe z ich nadrukami i kasownikami.

Brand uniósł brwi. - Bez wartości, mówisz?

- Z pozoru bez wartości. Rzadkie znaczki, z rodzaju tych najcenniejszych, najczęściej zostały ostemplowane przez urzędnika pocztowego i w związku z tym straciły swoją urzędową wartość. Nie są ważne dla poczty. Ich wartość dla kolekcjonerów z całego świata i dla tych którzy chcą w nie inwestować, leży w ich rzadkości. Przypuszczam, że zainwestowano duże sumy w rzadkie znaczki.

- Tak - Brand wzruszył ramionami - Mogę zrozumieć, że byłby to zabawny i dochodowy kant dla fałszerza pracującego w Meksyku, ale nie całkiem rozumiem...

Jost uniósł dłoń.

- Chwileczkę. Nie wiesz jeszcze, jak dochodowe było to dla niego ani jak zabawne. - Urwał dla zwiększenia efektu. - Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych niedawno współdziałał przy wykupieniu go.

Brand spojrział ze zdziwieniem. - Mówisz poważnie?

Jost uśmiechnął się. - Mnie też to zdziwiło. A oto co się stało. Międzynarodowi handlarze znaczkami od lat byli zaniepokojeni działalnością tego człowieka. Widzisz, wiele z tych niezwykle cennych i rzadkich znaczków jest cennych ze względu na nadruki znajdujące się na nich. Te nadruki są dużo łatwiejsze do sfalszowania niż, powiedzmy, współczesne banknoty. Tak więc, jeśli masz naprawdę zręcznego człowieka do wykonania roboty, te oszustwa są bardzo trudne do wykrycia. Oznacza to, że wielkim handlarzom nie tylko dewaluuje się ich towar, ale że zmuszeni są wydawać znaczne sumy na wykrywanie i ujawnianie fałszerstw. Muszą to robić, jeśli chcą chronić inwestycje swoje i swoich klientów. Oicieli naturalnie, zwłaszcza Amerykanie, zrobić coś w sprawie Meksykańczyka. Ale co mogli zrobić? Nie mieli żadnych podstaw prawnych. Kiedy usłyszeli, że myśli o emeryturze - ma teraz Sledemdziesiąt sześć lat - mieli o jedno zmartwienie więcej. Zakładając, że sprzeda swoje matryce i sprzęt komuś młodszemu albo jakiejś szajce, co wtedy? Nie mogli znieść myśli o tym. Więc postanowili schować dumę do kieszeni i wykupić go sami.

- ‘ i p.ób współdziałał Departament Skarbu?

- Fałszerstwo w Stanach Zjednoczonych to sprawa Departamentu Skarbu. Handlarze musieli mieć błogosławieństwo Departamentu, zanim mogli przywieźć do Ameryki to, co kupili. Uzgodniono też sprawę z Urzędem Celnym.

- Błogosławieństwo zostało udzielone?

- Oczywiście. Tajna grupa negocjatorów udała się do Meksyku na spotkanie ze starym człowiekiem. Nie tylko kupili jego matryce i sztance, sprzęt i dokumentację, ale nakłonili go do podpisania oświadczenia, ważnego przed meksykańskim sądem, że na dobre wycofa się z działalności. Zabezpieczyli się w ten sposób, ale kosztowało to ich mnóstwo pieniędzy. Wypytałem u siebie o tę sprawę handlarza znaczkami. Powiedział mi, że nie był to odosobniony przypadek. Podobna rzecz zdarzyła się w pięćdziesiątym trzecim, kiedy Brytyjskie Towarzystwo Filatelistyczne wykupiło francuskiego fałszerza znaczków Speratiego. Ciekawe, prawda?

Jost dopił swoje wino. Brand z roztargnieniem sięgnął po butelkę i napełnił mu kieliszek. Z butelką wciąż uniesioną w powietrzu spojrzął przez stół.

- Korzyść ze sprawiania kłopotów.

- Dokładnie.

Nie mówili nic więcej, dopóki nie znaleźli się w swoim hotelu. Ale obaj rozmyślali i spędzili resztę wieczoru rozmawiając o sposobach wykorzystania przypadku meksykańskiego fałszerza przez tych, którzy mają swoje własne, szczególne środki i możliwości. Zgodzili się w końcu, że tylko jeden sposób można było uznać za stosunkowo bezpieczny. Tego wieczora, przed udaniem się do swoich pokoi zabawiali się opracowując plan kampanii.

Pułkownik Jost mówi, że nie przypomina sobie, kiedy podjęli decyzję, by wprowadzić plan w życie.

Nie wydaje mi się, aby był to unik z jego strony, próba zrzucenia całkowitej odpowiedzialności na Branda. W stosunkach, jak w ich wypadku, opartych na zмовie, zobowiązania i decyzje podejmuje się nie wprost, bez dyskusji i otwartych rozmów. Możliwe jest także, że nie zapadły żadne formalne decyzje. Ich plan był długofalowy i w początkowej fazie żaden z nich nie musiał robić niczego, co w sposób jednoznaczny byłoby nielegalne lub podejrzane. Milczące porozumienie z pewnością mogło doprowadzić ich do miejsca bez powrotu czy, w każdym razie, do punktu, w którym powrót wydałby im się rozczarowaniem lub śmiesznością.

Tak więc moment, kiedy żart wypowiedziany w cztery oczy zmienił się w konspirację, przeszedł niezauważony przez konspiratorów. Nie poddali się autoanalizie. Wiedzieli i tylko to ich obchodziło, że tego roku w Rzymie odkryli nową zabawę i że miała ona być bardziej podniecająca, a być może i bardziej dochodowa niż stara.

Kiedy parowiec opuścił przystań w Vevey, Brand wyszedł z salonu i skierował się na górny pokład.

Jost siedział niedaleko nadburcia. Po chwili Brand usiadł obok niego. Przez długą minutę spoglądali w milczeniu na jezioro. Przypadkowy świadek mógł wziąć ich za szacownych ludzi interesu lub przedstawicieli wolnych zawodów po piędziesiątce. Ktoś spostrzegawczy mógłby stwierdzić na podstawie ich ubioru, że w Szwajcarii są cudzoziemcami, lecz nie pochodzą z tego samego kraju. Nikomu nie wydałoby się dziwne, że zaczną rozmawiać ze sobą, zamiast podziwiać widoki. W tym zimnym, wietrznym dniu uroki Jeziora Lemańskiego nie były tak oczywiste.

- Jakie masz krycie w E vian? - To Jost odezwał się pierwszy.

- Najlepsze z możliwych.- Brand utkwiał wzrok w słonosza-rym jeziorze. - W Evian jest lekarz, specjalista od chorób nerek. Miałem powody, by zasięgnąć jego porady.

- Przykro mi przyjacielu. Mam nadzieję, że przekazał ci pomyślną wiadomość.

- Niedobłą. Nie tak złą, jakiej się spodziewałem, ale niedobłą. Obawiam się, że nasze przedsięwzięcie domaga się teraz pośpiechu.

Jost spojrzął na niego spod oka.

- W ciągu trzech miesięcy muszę odejść na emeryturę. - Powiedział Brand.

- Z przyczyn zdrowotnych?

- Tak.

- To przykry cios. - Jost ściślej otulił się paltem - Osobiście nie znoszę współczucia. Wydaje mi się, że ty też.

- Owszem. Nie zaproponowałem tego spotkania tylko po to, >‘ rozmawiać o kłopotach. Mam bardziej interesujące wiadomości. Wydaje się, że szczęście wreszcie zaczęło się do nas uśmiechać.

- Szczęście?

Brand wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Myślę, że możemy teraz podjąć kroki potrzebne do przyspieszenia naszej wspólnej działalności.

Jego dłoń pojawiła się trzymając kawałek papieru. Podał go Jostowi. Jost spostrzegł, że był to nekrolog wycięty z europejskiej edycji amerykańskiego tygodnika. Tekst był następujący:

ZMARLI. Emerytowany generał brygady Armii Stanów Zjednoczonych Luther B. Novak, 62 lata, wykładowca, wydawca tygodnika Interkom i patron niekonwencjonalnej Fundacji Interform, wspieranej przez kilku milionerów; na atak serca, w Genewie. Jego przedterminowe odejście na emeryturę z armii w 1955 poprzedziły skargi żołnierzy do Kongresu na jego próby indoktrynowania amerykańskich oddziałów w Niemczech

poglądami politycznymi o skrajności, przy której, według zeznań jednego ze świadków, „Stowarzyszenie Johna Bircha jawi się jako grupa salonowych lewaków”. Jego późniejsza kariera jako wydawcy, polemisty i, jak sam to określał, „właściciela prywatnej ogólnoswiatowej siatki szpiegowskiej”, zaznaczyła się dalszymi utarczkami z władzami, zwłaszcza z Departamentem Stanu i z CIA. Znękany zastępca dyrektora tej agencji posunął się raz do określenia tygodnika Interkom i jego dokuczliwego właściciela jako „międzynarodowej migreny wysyłanej co tydzień pocztą lotniczą! przez współczesnego Tytusa Oatesa”.

Jost zwrócił wycinek. Pokrył swe rozczarowanie uprzejmym] skinięciem głowy.

- Słyszałem, że Novak nie żyje - powiedział - ale czasopismo] jest z pewnością kontrolowane przez tę fundację.

- I ja tak myślałem - odpowiedział Brand - ale to jest dokłądnie to, czego szukaliśmy, więc, zwłaszcza że mój czas kurczy się, pomyślałem, iż warto dowiedzieć się czegoś więcej. To, co odkry-j łem, było interesujące. Fundacja jest prowadzona jako rodzaj hobby przez trzech zamożnych, raczej głupawych facetów, którym wydaje się, że zwalczają światowy komunizm. Subsydują realizowanie filmów dokumentalnych do bezpłatnej dystrybucji, nagrania programów radiowych i telewizyjnych, pisanie nie nadających się do czytania, ale ekskluzywnie wyglądających książek i broszur] Płacą pensje personelowi zajmującemu się antykomunistycznymi badaniami, cokolwiek może to oznaczać, i utrzymują biuro specjalistów od kształtowania opinii publicznej. Płacili Novakowi pctA sję i pokrywali koszty zarządzania fundacją. Ale nie byli właścicielami tygodnika Interkom. To była osobista własność Novaka. Założył je po odejściu z armii za pieniądze, które odziedziczył po żonie. Wykorzystał na to prawie cały spadek. Przez kilka lat Interponi przynosił straty i pomimo nakładu i rozgłosu, jaki uzyskał w międzyczasie, nigdy nie osiągnął lepszych wyników niż zwrot kosztów własnych. Dostawał oczywiście emeryturę od armii, ale zanim spotkał tych bogatych głupców, którzy wsparli fundację, większość jego dochodów pochodziła z wykładów.

- Kto jest teraz właścicielem Interkomu* Brand spojrzał z ukosa na przyjaciela.

- Mam nadzieję, że my.

Jost odetchnął głęboko. - Musisz mi wybaczyć - powiedział - przed chwilą jeszcze wątpiłem.

- Wiem - uśmiechnął się Brand - nieczęsto cię zaskakiwałem. Skusiło mnie, by spróbować. Powiedziałem, mam nadzieję, że jest nasz. Powinien być, jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym tygodniu. Sytuacja przedstawia się następująco. Przedsiębiorstwo

Wydawnicze Interkom SA jest szwajcarską spółką zarejestrowaną w Zug, kierowaną, aby być w zgodzie z prawem szwajcarskim, przez obywatela tego kraju. Jest to prawnik z Bale. Udziały, z których dziewięćdziesiąt siedem procent należało do Novaka, są teraz częścią masy spadkowej. Dziedziczy zamężna córka mieszkająca w Baltimore, w Stanach Zjednoczonych. Naszymi kanałami złożyłem ofertę na udziały za dziesięć tysięcy dolarów. Jako że jedynymi aktywami są: dzierżawa biura w Genewie, jedna maszyna do adresowania kopert, dwie kopiarki, dwie maszyny do pisania i wielce wątpliwa reputacja, dziesięć tysięcy to w przybliżeniu dwukrotnie więcej niż rzeczywista wartość udziałów. Oczekując na potwierdzenie przyjęcia oferty, radca prawny Interkomu Podjął kroki, by wypłacano pobory personelowi w Genewie i by wydawnictwo dalej istniało.

- Czy śmierć Novaka na nic nie wpłynęła? Kto teraz tam pisze? - Ten sam człowiek, który pisał przez ostatnie cztery lata.

Nazywa się Teodor Carter. Novak był tylko figurantem. Musiał mieć zawsze kogoś, kto wykonywałby faktyczną robotę.

„- Ale co z materiałami? Skąd nadchodzą? Domorośle pomysły są dobre na krótką metę, ale jest tam wiele szczegółowych danych. Nawet Interkom musi mieć swoje źródła. Co to za „prywatna siatka szpiegowska”, którą się chęłpił?

Brand uśmiechnął się szeroko.

- Papiernia.

Jost skrzywił się. „Papiernie” było określeniem, jakiego oni i ich koledzy po fachu używali na określanie niezliczonych kol politycznych i propagandowych, zaangażowanych w dostarczanie fałszywych danych międzynarodowym agencjom informacyjnymi. Niektóre z tych papierni były utrzymywane przez rządy, inne były finansowane przez organizacje emigracyjne i ruchy separatystyczne. Niektóre mniejsze, lepiej ukryte - te, na przykład, które specjalizowały się w preparowaniu fałszywych informacji wywiadowczych - były przedsięwzięciami prowadzonymi dla zysku. Jako że informacje z papierni musiały być zawsze analizowane - rodzaj dezinformacji upowszechnianej przez przeciwnika mógł czasem dać wskazówki co do jego prawdziwych intencji - ilość pracy jaką stwarzały, była wiecznym źródłem utrapień dla agencji wywiadu.

- Ten Teodor Carter - zapytał Jost - skąd on się wziął? Czy to jeden z papierników?

- Niezupełnie. Jego poprzednik w Interkomie był z całą pewnością jednym z nich. Felix Kortan, być może przypominasz go sobie. Wykształcony w Ameryce Węgier, który działał po wojnie w Wiedniu. Określał się jako ekspert od spraw rosyjskich. Nawet Novak w

końcu przejrzał jego fałszerstwa. Wydaje mi się, że Cartel jest trochę lepszy. Widziałem dokładny raport o nim.

- Jeśli to możliwe, chciałbym się z nim zapoznać.

- Zasadnicze kwestie mogę ci opowiedzieć teraz. - Brand przytknął oczy. - Teodor Carter. Brak drugiego imienia. Pięćdziesiąt pięć lat, obywatel kanadyjski urodzony w Montrealu. Kształcił się tam i we Francji. Poślubił Francuzkę, z którą teraz jest rozwiedziony. Córka Valerie, dwadzieścia trzy lata, mieszka z nim i jest asystentką bibliotekarza zatrudnioną na Uniwersytecie Genewskim. Carter spędził większość swego dorosłego życia jako dziennikarz, głównie w krajach francuskojęzycznych. Mówi biegle po francusku i angielsku, niezłą władzę niemiecką i włoską. Jego najlepszy okres - przez najlepszy rozumie czas, kiedy zachowywał się mniej więcej, jak powinien zachowywać się wykształcony człowiek w jego wieku i kiedy miał mniej - to sześć lat przed rozpadem jego małżeństwa. Pracował w paryskim biurze brytyjskiej agencji informacyjnej, a następnie w tamtejszym dziale informacji amerykańskiej sieci radiowo-telewizyjnej.

- Czy jest alkoholikiem?

- Ma, jak to określają nasi amerykańscy przyjaciele, kłopoty i picie. Może nie alkoholik, ale z pewnością ostry pijak. Raport określa go jako człowieka spaczzonego, o niewątpliwych możliwościach, lubiącego się w ich niszczeniu.

- I tak litując się nad sobą, pije. Rozumiem. Czy on sam jest radykalnym antykomunistą?

- Sądzi się, że potrafi być radykałem każdego rodzaju, dopóki płacą za to dobrze. Było niemożliwe do stwierdzenia, czy posiada własne przekonania polityczne różniące się od tych, jakie wyznaje jego pracodawca. Skoro Novak wydawał się ufać mu zupełnie, jest bez wątpienia zdolny przekonująco odgrywać swoją rolę, kiedy mu na tym zależy.

- Czy ktokolwiek próbował zwerbować tego człowieka?

- Wydaje mi się, że CIA przyglądało mu się w czasie, gdy pracował dla tych ludzi z radia w Paryżu. Zazwyczaj tak robią. Prawdopodobnie odstraszyło ich jego picie. Nie było nic na ten temat w raporcie. - Brand urwał. - Czy twoja część operacji jest gotowa?

- Może być wkrótce gotowa, ale muszę działać szybko. - Jost popatrzył w dal. Zbliżali się teraz do przystani Ouchy-Lausanne i mieli tylko kilka minut, zanim będą musieli się rozstać.

- Myślę, że będę mógł pozostać w tej okolicy jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny - powiedział.

- I odwiedzić Genewę?

- Chciałbym sprawdzić osobiście, jak to wygląda. - Jost zawahał się. - To będzie trochę niebezpieczne dla Cartera - powiedział.

Brand ściągnął wargi. - No cóż, tak. Troszkę niebezpieczne, być może. Ale z tym zawsze był związany efekt uboczny.

- Był związany, owszem, ale nigdy go nie rozważaliśmy.

- Co tu jest do rozważania? - Powiedziawszy co miał do powiedzenia, Brand był już znudzony. - Z chwilą kiedy rozpoczniesz swoje działania, Carter przeżyje kilka niebezpiecznych chwil. Musimy to zaakceptować. Nie możemy go ochronić.

- Nie, oczywiście że nie. Byłoby nierozważnie próbować. Choć moglibyśmy go ostrzec.

- Niemożliwe. Takiego człowieka jak on? Odszedłby po prostu. Cała operacja by się nie udała. - Brand odetchnął głęboko -” Nie, to ciągle jest skalkulowane ryzyko. Musi popробować szczęścia. Może to być dla niego niemiłe, ale nie potrwa długo. Szybko Zorientują się, że on nic nie wie, że jest niewinny.

Jost spojrział na szarą twarz i postanowił nie mówić już nic więcej. W każdym razie nie było już czasu. Parowiec przybijał d przystani. Wstał.

- Drogi przyjacielu - powiedział - Moje gratulacje za pracę, którą dla nas wykonałeś. Mam nadzieję, że moja część będzie równie udana.

- Oczywiście, że będzie. Przyślesz mi raport o postępach?

- W normalnym trybie. Uważaj na siebie. Twoja rodzina ma się dobrze, mam nadzieję.

- Tak, tak, wszystko w porządku.

Dotknęli swoich dłoni na chwilę, ukradkiem, po czym Jost poszedł ku rufie w stronę trapu, którym miał zejść na ląd.

Rozdział 3

TEODOR CARTER spisane z łaśmy magnetofonowej

Myślę, że będę pana nazywał Panem L. L jak Latimer, Lewison, lubieżnik i łouche.

Panie L, powinien pan się lepiej strzec. Skóra owieczki zaczyna się z pana zsuwać. Kiedy zgodziłem się współpracować z panem, musiałem wysłuchać świętoszkowatego trucia o uczciwości, dobrej woli i ścisłym trzymaniu się udowodnionych faktów. Myślałem wtedy, że słycać w tym trochę wyrzutów sumienia, ale nie przypuszczałem, że zdradzi się pan tak szybko. Dawałem na to miesiąc. A tu nie, dwa tygodnie.

Panie L, nie za bardzo mnie obchodzi, że przywłaszczył pan sobie taśmę prywatnie nagraną przez moją byłą sekretarkę, Nicole Deladoey, i przepisał ją bez mojego pozwolenia. Ostatecznie, to pan płaci teraz pensję tej krowie i przypuszczalnie kupił pan jej lojalność na równi z jej usługami. To był świński numer Nicole. Nie mam nawet za złe pańskiego obłudnego i całkowicie nieuczciwego stwierdzenia, że przepisując taśmę bez jej zredagowania stosował się pan po prostu do założeń naszej umowy, na które to ja nalegałem. To rodzaj uczciwości i dobrej wiary, którą my, ludzie światowi, możemy dobrze zrozumieć. Czemu się sprzeciwiam i to sprzeciwiam stanowczo, to pańskiej tendencji do skandalicznego przeinaczania faktów.

Wyjaśnijmy to sobie od razu. Nie wiem, jakie podejrzane źródła pan wykorzystał dla otrzymania tych plotek i pogłosek. Nie powie pan chyba, że wyciągnął pan to wszystko od „pułkownika Josta”, mimo iż myślę, że część z tego musi być prawdziwa, bo w innym wypadku nawet pan by się nie ośmielił.

Przy okazji przyznam, że scena, kiedy te stare sępy mamro-CZa przy wieczornej gazecie i dumają o zabawkach i planach n« emeryturę, wygląda, jakby mogła wydarzyć się naprawdę. Schadenfreude jest słowem, jakiego potrzebował pan na określe-nte takiej cholernej umysłowości, ale pewnie to panu umknęło. Niech pan przyhamuje z przymiotnikami i przysłówkami panie? Koronki nie są modne w tym sezonie.

O czym to ja mówiłem?

Ach tak. Fakty. Teraz proszę posłuchać. Jak powiedziałem, nie wiem nic o pańskich informatorach ani ile im pan zapłacił, ale jeśli ten mój zabójczy portret, który pan właśnie dodał, jest próbką tego, co pan otrzymuje, to coś panu powiem. Dostał pan torbę zgniłków. Byłem nauczony zawsze sprawdzać i to sprawdzać dwa razy informacje, które otrzymywałem, zanim uznałem je za fakty. Myślę, panie L, że powinien pan najpierw zapytać się mnie. Może nie wiem o sobie wszystkiego, ale parę rzeczy wiem. A może było to zbyt smakowite, by ryzykować popsucie wszystkiego przez dodanie odrobiny prawdy?

Współpraca to robota dla dwóch, panie L. Nie podoba mi się wzmianka o moim picciu. Jest nie tylko nieprawdziwa, ale źle wpływa na moją reputację. Żądam wykreślenia jej z tekstu. Zrozum pan to dobrze, panie L, zrozum dobrze. Nie piję dużo. Piję tyle ile muszę wypić. A potrzeba zmienia się od czasu do czasu. Tę proste.

Noc, kiedy Generał stuknął w kalendarz, jest dobrym przykładem, jako że to, co stało się tamtej nocy, miało wyraźny wpływ na stosunek do mnie policji i ludzi z bezpieczeństwa. Lepiej żeb pan o tym wiedział.

Generał przyleciał do Genewy o piątej trzydziści po południu spóźnionym lotem Swissair z Nowego Jorku. Jak zwykle spotkałem się z nim na lotnisku i zawiozłem go do hotelu.

Zawsze potrafiłem się dobrze dogadać z Generałem. Mówi mi lub każe robić to jednemu z tych starych przyków, że grałem przei nim. Oczywiście, że tak. Z nim nie można było robić nic innego jak tylko grać. Rozmowa z nim wyglądała zupełnie jak rozmowa z małym chłopcem, bawiącym się w kowbojów i Indian. Jeśli nie chcesz popsuć zabawy, musisz robić to co on. Generał oczywiście bawił się nie w kowbojów i Indian, ale w coś trochę bardziej skomplikowanego, powiedzmy w „dobrych szpiegów, złych szpiegów i międzynarodowe intrygi”. Mimo to skutek był ten sam. Nie interesowała go rzeczywistość. Nie, to nie tak. Wierzył, że zabawa, której się oddawał, była rzeczywistością i każdy, kto w to wątpił był albo dobrym facetem, żyjącym w świecie marzeń, albo niedobrym facetem, próbującym ukołysać porządnych ludzi fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Był szalony, miał bziaka, to jasne, ale na swój imponujący sposób. Słyszałem tylko jego jeden wykład w tutejszym Klubie Amerykańskim. Był strasznym komediantem Żonglował dokumentami, przytaczał fałszywe fakty i dane na pamięć. Wszystko co mówił, było kompletną bzdurą. Ale, mój Boże, był dobry. Widzi pan, on naprawdę wierzył w to, co mówił.

Był świetny w wynajdowaniu tematów. Dla niego wszystko, co się działo, dosłownie wszystko, mogło być częścią spisku czy konspiracji. Najdrobniejsza rzecz potrafiła go nakręcić. Wtedy zaczynał piętrzyć podejrzenia, przekręcać fakty, jeśli jakieś były, wymyślał je, gdy nie istniały, dopóki nie dotarł do tego, co w danej sprawie uznał za prawdę. Później ja to pisałem i rzecz szła do druku.

Nic dziwnego, że wściekali się na nas w Waszyngtonie. Każdy senator i każdy kongresmen - a także wszyscy członkowie parlamentów Kanady i Wielkiej Brytanii - otrzymywali egzemplarz Interkomu. Bez względu na to czy opłacali prenumeratę, czy nie. Zdziwiłby się pan, jak wiele z pogłosek, które puściliśmy, krążyło i nadal krąży. Choć może pan by się nie zdziwił. Wie pan co nieco o politykach. Od pewnej historii, którą puściliśmy, tak się zagotowało w Waszyngtonie - jakieś bzdury, które wypichciliśmy o zasięgu nowego systemu rakietowego Chińczyków - że sam prezydent musiał to zdementować. Nie zaniepokoiło to Generała. Uwielbiał, gdy ktoś zaprzeczał. Przesłał mi depezę, by wydrukować tę historię raz jeszcze z dodatkowymi dowodami, to wszystko co zrobił. Oczywiście, nie powiedział, skąd wziąć te dodatkowe dowody, to nie było w jego stylu, a ja nie traciłem czasu na zadawanie pytań. Jako że cały podstawowy materiał dowodowy został zmyślony, było oczywiste, że dodatkowy materiał też musi zostać zmyślony. Jasne, że nigdy

nie używałem słowa „zmyślony”. To byłoby tak, jakby powiedzieć, że dobrzy faceci jeździli na czarnyc’i koniach. Wierzył w to, w co chciał wierzyć, i wiedział, że cokolwiek sobie wymyśli, będzie mieć wartość dowodu.

Był nadal w świecie marzeń, gdy umarł. Kiedy ostatni raz wiozłem go z lotniska, zaczął mówić o wiadomości, jaką przeczytał w czasopiśmie na pokładzie samolotu. Wiadomość mówiła o Światowej Organizacji Meteorologicznej i o doradczym Komitecie badającym konsekwencje sztucznego korygowania atmosfery na dużą skalę.

- Jak ci się to podoba, Ted? - powiedział ponuro. Zrobiłem unik. Poznawałem objawy i nie chciałem być na togach całą noc.

- Coś co ma związek z zapyłaniem chmur, czy nie tak Generale^ - powiedziałem. - Samolot zrzuca suchy lód albo jakieś chemikalia w chmurę i wywołuje deszcz. Dobre dla rolników, których ziemia jest na dole, gorzej dla tych, którzy mogli deszcz z tej chmury dostać później. Ale nie dał się zwieść.

- Nie, Ted, w tym jest coś więcej. Tu jest napisane: wpływ na dużą skalę na naszą atmosferę. Potrzebuję dokładnych danych o tej Światowej Organizacji Meteorologicznej i sposobach jej działania, i to szybko. Myślę, że powinniśmy rozpracować ją dokładnie.

Kiedy zaczynał mówić o dokładnym rozpracowaniu, nie było sił, żeby go powstrzymać. Zazwyczaj kiedy przyjeżdżaliśmy do hotelu, przed kolacją wypijaliśmy kilka drinków w pokoju. Ale tego wieczoru był napalony na ŚOM i musiałem biec do biura, by sprawdzić, co mamy na jej temat.

Znalazłem coś o wytwarzaniu deszczu i ŚOMie w roczniku naukowym. Nie było tego wiele. Sporządzono raport rozważający możliwości międzynarodowej współpracy w badaniach nad fizyką chmur i opadów. W wyniku tego raportu Komisja Aerologiczna ŚOM (czymkolwiek to jest) powołała zespół naukowców w celu kontynuowania badań. Wkrótce miała odbyć się międzynarodowa konferencja pod auspicjami Międzynarodowej Unii Geodezyjnej i Geofizycznej.

Niewiele, jak powiedziałem, ale dosyć dla Generała. Powtarzanie się słowa „światowa” zawsze go poruszało. Kiedy jego sokole oko zauważyło, że autorem omawianego raportu był profesor L.Krastanow z Bułgarii oraz że w zespole naukowców był nie tylko Krastanow, ale także W.T.Nilandrow ze Związku Radzieckiego, rozpędził się na całego. Nic to nie znaczyło, iż w skład zespołu wchodził także profesorowie z Arizony, Indii i Japonii, polecono sprawdzić ich życiorysy i kontakty polityczne. O dziewiątej wieczorem Generał był gotów, aby ujawnić jeszcze jeden komunistyczny spisek mający na celu zniszczenie wolnego

świata, tym razem za pomocą zmiany jego klimatu i zohydzenia pogody tak, aby wszystkie bogate ziemie uprawne - nazywał je sercem ziemi - zmieniły się w prochy pustyni.

Nie dodawaj tym razem zbyt dużo wody Val.

Było około dziesiątej kiedy zaczął skarżyć się na niestrawność. Wkrótce potem wyszedł do łazienki i zwymiotował. Gdy wrócił stamtąd, wyglądał bardzo źle i mówił, że coś uciska go w piersiach. Widać było, że cierpi. Powiedział, że został otruty. Nakłoniłem go, by się położył, a potem zadzwoniłem do portiera i kazałem mu wezwać lekarza hotelowego. Myślałem, że może ma wrzód na dwunastnicy, który się uaktywnił.

Generał był dobrze znany w tym hotelu i lekarz zjawił się natychmiast. Rozpoznał atak serca i wezwał karetkę. Około dziewiątej trzydzieści Generał znajdował się w łóżku polikliniki pod namiotem tlenowym. Według szpitalnego lekarza, z którym rozmawiałem, jego stan był krytyczny.

- Jak krytyczny? - zapytałem. Lekarze nie znoszą takich pytań.

- Jest jeszcze za wcześnie, aby odpowiedzieć - powiedział - ale nastąpiło poważne uszkodzenie mięśnia sercowego. Należałoby właściwie zawiadomić rodzinę.

Znalazłem się w kłopotach.

- Jedyną jego krewną, jaką znam, doktorze, jest córka w Ameryce. Oczywiście zatelegrafuję do niej, ale nie mogę tak po prostu napisać, że miał atak serca, i na tym poprzestać. Może mógłbym zatelefonować, ale co mam powiedzieć? Czy powinna wsiąść do pierwszego samolotu, czy co?

Zastanowił się, zanim odpowiedział. - Będziemy wiedzieć mniej więcej za godzinę lub dwie, kiedy jego stan się ustabilizuje. Proponuję, aby pan poczekał albo lepiej niech pan przyjdzie później. *

Powiedziałem mu, że przyjdę później.

Do szpitala przyjechałem karetką i mój samochód był ciągle zaparkowany przed hotelem. Gdybym go miał ze sobą, mógłbym pojechać na trochę do domu. A tak wróciłem pieszo do hotelu, wziąłem samochód, przyjechałem z powrotem do szpitala, zaparkowałem i poszedłem poczekać w barze.

Wypiłem tam kilka ładnych kolejek, nie przeczę. Wypiłem je, bo były mi potrzebne.

W mojej branży słucha się nie tylko tego, co ludzie mówią, ale także jak to mówią. Można powiedzieć - muzyka na równi ze słowami. Lekarze nie zawsze są tak dobrzy jak myślą w skrywaniu tego, czego nie chcą powiedzieć. Domyśliłem się już, że szanse Cenerała na przetrwanie nocy są niewiele lepsze niż żadne. Co oznaczało, że moja szansa znalezienia się bez pracy w najbliższym czasie była o wiele większa niż żadna.

„Pułkownik Brand”, jak go pan nazywa, miał rację, kiedy mówił, że Interkom nie przynosił żadnego dochodu. Niewiele tych biuletynów z rodzaju „prywatnych służb wywiadowczych” przynosi dochody - to znaczy nie bezpośrednio. Większość z nich istnieje na rynku z innej przyczyny niż tej pozornej, wedle której celem jest przekazywanie zakulisowych informacji. Przyczyn jest wiele.

Chcesz skłócać i zdobywać wpływ na ludzi, obsmarować przeciwników politycznych - wydawaj biuletyn. Wywołać zamieszanie na giełdzie, rozsiać informacje wszelkiego rodzaju z „papierni”, racjonalne i irracjonalne, złowieszcze i zwyczajnie głupie. Ale gdy przyczyna znika, najczęściej to samo dzieje się z biuletynem.

W przypadku Interkomu przyczyną była chęć Generała, by dołożyć ludziom, którzy usunęli go z armii i za jednym zamachem zwiększyć honoraria za wykłady dzięki prezentacji swojej osoby jako wielkiego, antykomunistycznego krzyżowca Wolnego Świata. Przypuszczałem więc, że jeśli Generał umrze, Interkom nie przeżyje go długo. Nie wyobrażałem sobie przejęcia go przez fundację. Generał zawsze trzymał ich z daleka od genewskiego podwórka. Nie wiedzieli nawet, że jestem jego murzynem. Uwierzyli, że pisał to wszystko sam, a on nie wyprowadzał ich z błędu. Nawet jeśli wyjaśniłby im sytuację, wątpię, czy chcieliby pozostawić mnie na stanowisku. Jeden z tych starych dewiantów siedzących na forsie pochodzącej z nafty, w trakcie objazdu Europy pojawił się kiedyś w Genewie i w chwili wylewności powiedział mi, że nazwa Fundacja Interkom kojarzy mi się z reklamą gorsetów. Nie wyszło to najlepiej i odpowiednie słówko zostało przekazane pozostałym dewiantom. Dla fundacji nie byłem dobrą nowiną.

Tak więc siedziałem niedaleko szpitala, kontemplując swą niepewną przyszłość i popijając brandy.

Wróciłem do szpitala tuż przed północą. Wziąłem ze sobą parę małych buteleczek-reklamówek na wypadek, gdybym musiał tam poczekać.

Była druga w nocy, kiedy do poczekalni przyszła pielęgniarka i powiedziała mi, bym poszedł z nią do pokoju administracji. Tam ten sam lekarz, którego widziałem już wcześniej, powiedział mi, że Generał umarł.

W biurze był jeszcze jeden w białym fartuchu, młodszy, i jakiś człowiek w cywilnym ubraniu, którego wziąłem za urzędnika ze szpitala. Wszyscy trzej wyglądali bardzo oficjalnie i sztywno. Nie przyszło mi do głowy zastanawiać się dlaczego. W końcu kiedy zawiadamiają cię o śmierci na oddziale nagłych przypadków, nie spodziewasz się wielu radosnych uśmiechów i poklepywania po plecach. Rzecz jasna, czułem się podle, ale starałem się być rzeczowy.

- Natychmiast przekażę telegraficznie wiadomość jego córce - powiedziałem. - Trzeba omówić z nią przygotowania do pogrzebu. Powiadomię też jego adwokata. Jako że Generał był obywatel Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie trzeba także powiadomić amerykańskiego konsula. Wydaje mi się, że najbliższy jest w Bernie. Nie wiem, czy sami to zrobicie, czy też chcecie, abym ja to uczynił. Mogę to zrobić oczywiście. W międzyczasie...

W tym miejscu na chwilę zabrakło mi tchu. To do czego naprawdę zmierzałem, to poprosić go, czy nie mógłby poczekać ze wszystkim do chwili, aż sprawę przejmie ktoś, kto wie, co należy robić w Genewie z ciałami amerykańskich emerytowanych generałów brygady. Ale nie dał mi okazji, bym dokończył.

- W międzyczasie, monsieur - powiedział zimno - pojawiła się wątpliwość co do przyczyny śmierci.

- Wątpliwość? Powiedział pan, zdaje się, że miał atak serca.

- Ostre uszkodzenie mięśnia sercowego. Owszem, taka była nasza diagnoza.

- Któż więc ją podważył?

- Podważył ją sam zmarły. Dwukrotnie. - Dla potwierdzenia spojrzał na tego drugiego w białym fartuchu, który skinął głową. - Był oczywiście pod wpływem środków uspokajających, ale podczas chwil przytomności całkowicie świadomy. Stwierdził dwukrotnie, że ktoś go otrul.

To była chwila, kiedy powinienem był wspomnieć o niestrawności, na którą uskarżał się po kolacji, zasugerować nieśmiało, że to, o czym Generał bez wątpienia mówił, było zatruciem pokarmowym, po czym trzymać język za zębami.

Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, a nie zrobiłem ich (a) ponieważ byłem wytrącony z równowagi, (b) ponieważ nie podobał mi się sposób zachowania lekarza, (c) ponieważ byłem troszkę na gazie i (d) ponieważ byłem ciekawy. Chciałem wiedzieć, kim był ten, kogo Generał in extremis wskazał jako złego faceta. Moje Pieniądze stawiałem na Światową Organizację Meteorologiczną.

Pomyślałem więc, że zapytam.

- Czy oskarżacie kogoś konkretnego? Posłał mi przenikliwe spojrzenie.

- Nie wydaje się pan zdziwiony tym, że wypowiadał takie stwierdzenia.

- Dlaczego miałbym być zdziwiony? - powiedziałem. - Już dwa razy mówił o tym, że został otruty, zanim dotarliśmy tutaj, raz po tym jak poczuł się źle i potem w karetce.

To zrobiło swoje. Usztywnił się, jak gdybym nabijał się z niego.

Dlaczego nie powiadomił pan o tym, kiedy pacjent został tu Przyjęty?

- Ponieważ było jasne, że nie wie, o czym mówi. Lekarz hotelowy stwierdził atak serca. Dlaczego miałbym poddawać to w wątpliwość? Co to za jakaś bzdura?

To mu się nie spodobało. - Ta bzdura, jak ją pan nazywa, to poważna sprawa monsieur. Musi pan zdać sobie sprawę, że konie-] czna będzie autopsja.

- Och, na miłość boską. - Nie żywiłem specjalnych uczuć w stosunku do Generała, ale pomysł rozcłonkowania go, jedynie w celu wyjaśnienia idiotycznego nieporozumienia, to było zbyt wiele. Powiedziałem to w niedwuznacznych słowach. Ośmielę się stwierdzić, że nie byłem zbyt uprzejmy.

Lekarz z trudem opanował się.

- W przypadkach nagłych śmierci, gdy powstają wątpliwości co do jej przyczyny - powiedział głośno - nie mamy wyboru. Autopsja jest wymogiem prawa i mamy obowiązek powiadomić policję.

- Nawet gdy wątpliwości są irracjonalne?

- Kto może stwierdzić w tej chwili, czy są irracjonalne, czy nie? - Człowiek w cywilnym ubraniu wtrącił się do rozmowy. Miał około czterdziestki, chudy, z wąską głową i rybie-niebieskimil oczyma.

- To jest - powiedział pośpiesznie lekarz - Monsieur Vauban z policji kryminalnej.

Gdybym wtedy był na tyle rozsądny, by siedzieć cicho i poz-] wolić sprawom na ich bieg, mógłbym nawet w tym stadium poka-]zać się jako całkiem przyzwoity facet, być może zirytowany i niezbyt taktowny, ale w gruncie rzeczy normalny i poczytalny. Miałem nieprzewycięzoną potrzebę, by wyjaśnić tym zakutym łbom, co nakręciło Generała.

- Posłuchajcie - powiedziałem - wiem, że ludziom waszego! pokroju trudno zrozumieć coś, co wykracza poza wasze bezpoś-]rednie doznania, ale postaram się to wyłożyć. Nil nisi bonum i tak dalej, ale Generał był, łagodnie mówiąc, trochę ekscentryczny. Wyznawał spiskową teorię historii, jeśli wiecie, co to takiego, całej! historii, włączając w to własną. Jeśli chcecie użyć medycznego określenia, możecie powiedzieć, że był klasycznym paranoikiem. Zadam wam pytanie. Czy kiedy jest epidemia grypy, zaczynacie podejrzewać Rosjan, że prowadzą wojnę biologiczną? Nie? A oni tak. Czy kiedykolwiek przyszło wam do głowy, że współczesne próby udoskonalania elektrycznych i parowych samochodów są! częścią międzynarodowego spisku mającego na celu zniszczenie systemu kapitalistycznego? Nie? A Generał potrafił zrobić z tego niezłą aferę. On nie miał bzika, miał ich setki. Gdyby tu teraz był, to wiecie, co by mówił? Powiem wam. Powiedziałby, że uknuto spisek, by go zamordować, i że zrealizowano go w sposób wspianiały.

Zapadła martwa cisza. Policjant patrzył na mnie, jakbym przyznał się do popełnienia czynów nierządnych. Rzucano się w oczy, że nie rozumiał, o co chodzi. Spróbowałem raz jeszcze, posługując się analogią, którą, jak mi się wydawało, będzie w stanie zrozumieć.

- Nie rozumiecie, o co mi chodzi? Zdrowy rozsądek sugeruje, że morderstwo było sprawką kogoś z wewnątrz i że zabójcami byli - wysokie ciśnienie krwi, cholesterol, nadciśnienie i tak dalej. Obawiam się, że jest to przyziemna teoria. Generał nie poświęciłby jej ani chwili. Jak mogła być to robota kogoś z wewnątrz, kiedy wszystkie te przebiegłe diabły pełzają dookoła na zewnątrz, spiskując, planując, z fiolkami nieznanymi trucizn oraz legitymacjami partii komunistycznej w swych kieszeniach? A kogo te biesy chcą zniszczyć najbardziej? Kogo jak nie swojego wroga numer jeden, waszego i mojego przyjaciela, Luthera B. Novaka? Oto jak funkcjonował jego umysł. Rozumiecie?

Ich pusty wzrok wskazywał jasno, że nie zrozumieli. Zajął mi to parę chwil, nim uświadomiłem sobie, że bezwiednie w którymś momencie przeskoczyłem z francuskiego na angielski. Cofnąłem się i zacząłem powtarzać ostatni fragment po francusku, ale policjant przerwał mi.

- Proszę, monsieur. Traci pan czas - swój własny, mój i na pewno szpitalny. Rozumiem, że przebywał pan ze zmarłym bez przerwy, od czasu jego przybycia do Genewy do momentu, kiedy zachorował.

- Tak.

- Więc myślałbym, że w świetle podejrzeń, iż nastąpiło otrucie, nie powinien pan sprzeciwiać się autopsji, a nawet się jej domagać.

Mógłbym mu przywalić. - Czy chce pan powiedzieć, że jestem podejrzany?

- Dopóki nie będą znane wyniki autopsji, nie ma mowy o Podejrzanych. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Tym niemniej zauważam, że pański były pracodawca nie był odosobniony w swej ekscentryczności.

To wywołało parsknięcie śmiechem lekarza. Odwróciłem się, by odejść. W tym czasie było mi już zupełnie obojętne, co zrobią z Generałem. Chciałem po prostu opuścić to miejsce.

- Jedną chwilę, monsieur. - To jeszcze raz odezwał się polic - I jant. - Poproszę o pańskie papiery.

Podał mi swoją kartę pobytu. Przewracał powoli kartki. Nie robił notatek, ale z pewnością zapamiętywał. Niechętnie zwrócił mi ją, jakby zawiedziony, że zdawała się być w pełnym porządku. Skinienie głowy na pożegnanie było także niechętnie. Nie zapomniał o mnie. W rejestrze monsieur Vaubana oznaczałem kłopot.

To dr Bruchner, adwokat Generała w Bale, poinformował mnie?

O wynikach autopsji.

Generał zmarł na skutek „ustania akcji serca w następstwie ostrego uszkodzenia mięśnia sercowego spowodowanego zatorem wieńcowym”. Świadczenie zgonu zostało wystawione przez szpital?

1 kilka godzin później ciało zostało odesłane na pochówek do Ameryki. Pracownik konsulatu amerykańskiego był obecny, kiedy i dr Bruchner i ja ekspediowaliśmy trumnę z towarowej sekcji lo-BJ tniska.

Przed powrotem do Bale, dr Bruchner powiedział mi, że jest i w kontakcie z wykonawcami testamentu Generała w Ameryce i i dopóki nie będzie miał dalszych wiadomości, mam kontynuować* pracę. Wiedział oczywiście, że praktycznie sam pisałem Interkom. i Ale wiedział także, tak samo jak ja, że bez nazwiska Generała nie i będzie to wiele warte. Uzgodniliśmy formułę na potrzeby nowej i sytuacji. Zamiast podpisu Generała miało pojawiać się zdanie: Ze i Światowej Sieci Wywiadowczej'INTERKOMU, Oddział WydawniczyB Novaka, Genewa. W nekrologu Generała, który miałem przygotować, chodziło o zawarcie myśli, iż pomimo jego śmierci, sieć którą? stworzył, jest ciągle bardzo sprawna i że Interkom będzie dalej i dzierzył pochodnię wolności. Dr Bruchner nie radził mi w taki wielu słowach, bym zaczął rozglądać się za nową pracą, ale jego i uprzejmy uśmiech, kiedy mówił mi, bym kierował się swoim roz-1 sadkiem i zrobił co mogę, miał prawie ten sam skutek.

Minęły dwa tygodnie. Następnie otrzymałem list od dr Bruch-1 nera mówiący, że amerykańscy wykonawcy testamentu postanowili sprzedać Interkom. Oznajmiali też, iż z racji wysokiego mnie-1 mania Generała o mnie moja oferta na kupno udziałów spotkałaby się ze szczególnie przychylną uwagą.

Dr Bruchner wiedział zbyt wiele na temat finansowego położenia Interkomu jak i mojego, by wypowiadać się na temat tej propozycji. Zapytywał jednak, czy mam jakiś pomysł co do ewentualnych kupców. Ze sposobu, w jaki wyrażał się w tej części listu, zorientowałem się, że sam nie ma żadnego. Napisał też, że nie ma zbyt wiele czasu. Nie musiał mi o tym mówić. Interkom zawsze utrzymywał się na granicy bankructwa za pomocą prenumeraty, a od czasu śmierci Generała, wszystko, co mieliśmy, to kilka listów z prośbą o jej przedłużenie od ludzi, którzy prawdopodobnie zapomnieli powiedzieć swoim sekretarkom lub kierownikom biura, by ją odwołali. Zakładałem, że miną dwa miesiące, zanim dr Bruchner zdecyduje się napisać do wykonawców testamentu, doradzając im postawienie w stan likwidacji Przedsiębiorstwa Wydawniczego Interkom SA.

Omówiłem tę sprawę z Val. To moja córka Valerie.

Jest równie piękna jak jej matka, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy. Ale w Val nie ma nic z wiedźmy. Pracuje, jak to ustalili pańscy wytrwali pomocnicy, panie L, na uniwersytecie jako bibliotekarka. Nie będę teraz nic więcej o niej mówił. Jeśli ma pan trochę rozumu, pozwoli pan jej mówić samej za siebie. Nie zawiedzie mnie. Mimo to, jedno ostrzeżenie. Val ma czasem dziwne pomysły. Niech pan nie pozwoli jej chłopakowi, temu psychiatrze, odgrywać swojej roli. To jest niezły młody człowiek, tyle że nie umie pływać, a pracuje jako ratownik.

Lepiej wymaż to. W końcu starał się pomóc.

Jak powiedziałem, omówiłem sprawy z Val.

Szczerze mówiąc, nie oczekiwałem od niej czegoś więcej niż współczucia troskliwej córki. Całe to gadanie o moim pławieniu się w żałości nad sobą to bajeczka, panie L. Czuję także, że muszę jej powiedzieć, jak wygląda nasza sytuacja. Myślałem, że jeśli chcę znaleźć inną pracę, to z pewnością będę musiał opuścić Genewę. Miałoby to wpływ na jej przyszłość. Czuję, że powinna mieć czas przemyśleć i zaplanować sobie wszystko.

Ku memu niejakiemu zdziwieniu miała dla mnie propozycję.

Jak wiadomo, Genewa jest siedzibą przeróżnych organizacji międzynarodowych i bez przerwy odbywają się tu jakieś konferencje. Nie chodzi mi tylko o polityczne bankiety, ale o spotkania związane z międzynarodową współpracą w dziedzinie techniki. Odkąd Val pracowała na uniwersytecie, zdała sobie sprawę z niedoboru tłumaczy technicznych zdolnych obsługiwać takie konferencje. Nie mam tu na myśli zwykłych tłumaczy, tych jest innéscó, ale jest niewielu dobrych tłumaczy technicznych. Myślę o ludziach, którzy potrafią zrobić dokładny i wiarygodny przekład dokumentów technicznych wystarczająco prędko, by zaopatrywać konferencję w wielojęzyczne kopie protokołów, referatów i tym podobnych rzeczy w trakcie jej trwania. Pomysł był taki, że jeżeli Przedsiębiorstwo Wydawnicze Interkom SA zostanie postawione w stan likwidacji, to powinienem wykupić jego część, sprzedając listę klientów i maszynę do adresowania, by pomóc w sfinansowaniu transakcji, a zatrzymać pomieszczenie redakcji z umeblowaniem, maszynę do pisania i kopiarki w celu założenia biura tłumaczeń technicznych.

Pomysł nie wydał mi się zły. Nie wierzyłem, że się uda, ale było dobrze mieć coś, o czym można by rozmyślać i mieć nadzieję. Tego wieczoru wypilem tylko dwa drinki.

Dziesięć dni później zadzwonił dr Bruchner.

- Otrzymałem ofertę na udziały Generała - powiedział. Jego głos wskazywał na to, że ciągle nie mógł w to uwierzyć.

- Dobrą ofertę, mam nadzieję. - Staralem się nie podzielać jego niedowierzania.

- Wystarczająco dobra, jak myślę, by przekonać wykonawców testamentu.

- Mogę spytać, kto złożył ofertę?

- W tej właśnie sprawie dzwonię do pana. Być może, będzie pan mi w stanie pomóc.

Potencjalnym nabywcą jest Herr Arnold Bloch z Monachium. Jego referencje stwierdzają, że jest konsultantem od spraw stosunków przemysłowych. Zapytując w pierwszym liście o dostępność udziałów stwierdził, że działa w porozumieniu z francuskimi i zachodniemieckimi partnerami, zainteresowanymi handlem bronią i materiałami wybuchowymi. Myślę, że oczekuje, iż będzie mógł użyć Interkomu dla promocji interesów handlowych swoich partnerów.

- To brzmi w porządku i ma sens. Jeśli są przygotowani, by dotować to ze swoich funduszy reklamowych, najwyraźniej nie liczą na to, że wykażemy się dochodem. Kupują nas ze świadomością tego, co robią, i przemyślaną taktyką.

- Tak też i ja myślę.

- Jak mógłbym pomóc, doktorze Bruchner?

- Wysyłając telegram z ofertą do wykonawców testamentu, chciałbym przekazać jakieś gwarancje, że Herr Bloch jest odpowiedzialną osobą.

- Czy swoją ofertę może poprzeć gotówką?

- Ależ monsieur Carter! - To pytanie go dotknęło. Powinno nim pomyśleć, zanim je zadałem. - Rzecz jasna była to pierwsza rzecz, którą ustaliłem. Mam już w swoim posiadaniu wyciąg z konta jego monachijskiego banku. Jest z całą pewnością wypłacalny. Gwarancje, jakie pragnę przekazać, dotyczą jego odpowiedzialności politycznej; czy jest osobą, co do której Generał nie miałby zastrzeżeń.

- Rozumiem.

- Niestety, niewiele wiem na temat Herr Blocha. Wydaje się być rozważny i przezorny. Na przykład wyraźnie nalegał, abym zapewnił pana, iż ma nadzieję korzystać nadal z usług pana i pańskiego personelu, jeśli jego oferta zostanie przyjęta.

- Brawo! Czy nie jest to pańska odpowiedź? Jeśli podoba mu się Interkom taki, jaki jest, nie może być politycznie niepożądany, czyż nie? Zakładam, że wszystko czego chce, to wetknąć od czasu do czasu kilka reklamowych wtyczek.

- Rozumiem to, ale...

- Jaki to człowiek w bezpośrednim kontakcie?

- Tu kryje się trudność. Korespondowałem z nim i rozmawialiśmy telefonicznie, ale do tej pory nie spotkałem go osobiście. Niewątpliwie to wykształcony człowiek. Jego niemiecki jest płynny, ale nie wydaje mi się, by był rodowitym Niemcem.

- Być może Austriak?

- Możliwe, nie wiem. Zasięgnąłem o nim wstępnych informacji przez mojego monachijskiego współpracownika, ale dowiedziałem się niewiele. Ma biuro pod adresem, który podał w swych referencjach. Na drzwiach jest tabliczka z informacją, że posiada także biura w Paryżu i Rzymie. To też jest w referencjach, ale nie ma podanych adresów. Wydaje się, że dużo podróżuje na zlecenie swoich klientów. Nie zatrudnia stałego personelu w Monachium. Czyszczenie za biuro opłaca bank.

- Wygląda na to, że jest figurantem lub operatorem, jak to nazywają Amerykanie. To oczywiście nie musi świadczyć przeciwko niemu.

- Nie. - Dr Bruchner robił co mógł, by ukryć swe wątpliwości. - Zanim wyślę ten telegram - kontynuował - czy mógłby pan spróbować dowiedzieć się czegoś więcej? Wiem, że ma pan archiwum, akta i doświadczenie w tych sprawach. Chciałbym móc poinformować w swym telegramie, że dochodzenie nie wykryło niczego kompromitującego.

- Zrozumiałem, doktorze Bruchner. Zrobię, co będę mógł, i zatelefonuję do pana później.

W rzeczywistości mogłem zrobić bardzo niewiele. Archiwum i akta, o których wspominał, były w większości wymysłem Generała. Mieliśmy kilka szafek, przyznaję, i były pełne papieru - nieuporządkowane wycinki z roczników starych czasopism - ale były to bardzo zwyczajne materiały. Mieliśmy całkiem niezłą bibliotekę wydawnictw informacyjnych i trzymałem też specjalne notatniki zawierające materiały i pomysły dla potrzeb Interkomu zebrane z różnych europejskich czasopism i magazynów, które prenumerowaliśmy. Ale nie mieliśmy porządnej kostnicy, jak dziennikarze nazywają takie archiwum. Ten rodzaj przedsięwzięcia wymagał miejsca i wykwalifikowanego personelu. I był kosztowny.

Oczywiście, w takiej sytuacji odkrycie czegoś kompromitującego Herr Blocha było ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem. Zakładałem, że dr Bruchner był podobnego zdania. Jego wynagrodzenie jako dyrektora Przedsiębiorstwa Wydawniczego Interkom SA nie było wcale takie duże, ale z pewnością wolał go nie stracić.

Niemniej jednak zasięgnąłem informacji o Arnoldzie Blochu.

Nie było nic o nim w typowych informatorach, więc poszukałem go w spisie prenumeratorów Interkomu. Zrobiłem to, ponieważ pomyślałem, że może będzie tam jego adres inny niż ów monachijski, który podał mi dr Bruchner.

I tu duża niespodzianka. Arnold Bloch nie prenumerował Interkomu ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Nie można było tego traktować jako ujmy. Niektórzy mogliby powiedzieć że było to oznaką jego zdrowego rozsądku. Ale nawet biorąc pod uwagę fakt, że ten potencjalny kupiec działał na zlecenie swoich niezidentyfikowanych niemieckich i francuskich współpracowników, wydało mi się to dziwne. Mimo wszystko był on doradcą od spraw reklamy, który miał nadzieję użyć Interkomu dla promocji interesów handlowych swoich partnerów. Był on tym rozważnym i przezornym człowiekiem interesów, który pragnął, by Interkom pozostał jak dotychczas na rynku. Jak było możliwe, aby nigdy go nie prenumerował? Osobliwość ta na tyle pobudziła moją ciekawość, że przeprowadziłem dalsze poszukiwania. Zadzwoiłem do Paryża, do kobiety prowadzącej archiwum w agencji, dla której kiedyś pracowałem. Zawsze mieliśmy dobre stosunki i nie miała nic przeciwko wyświadczeniu mi przysługi. Nie zajęło to wiele czasu. Było kilku Blochów w jej kartotece, ale żaden z nich nie był Arnoldem Blochem.

I znowu nic takiego, co można by mu zarzucić.

Było jeszcze jedno źródło, z którego mógłbym skorzystać. W większości dużych miast istnieją agencje, które utrzymują się z bezpłatnego robienia fotografii ludzi interesu i przechowywania negatywów w nadziei, że prędzej czy później niektórzy z tych ludzi staną się przedmiotem zainteresowania prasy. Wtedy agencja sprzedaje piękne odbitki czasopismom i magazynom. Wydawało mi się, że jako konsultant od spraw stosunków przemysłowych Arnold Bloch powinien być interesujący dla takiej agencji. Bez wątpienia istniało gdzieś zdjęcie Herr Blocha, gotowe by zostać odszukane i wykorzystane, gdyby kiedyś wyróżnił się przez śmierć w katastrofie lotniczej, małżeństwo z gwiazdą filmową czy udział w wielomilionowej transakcji finansowej. Nie sądziłem jednak, bym ze zdjęcia, nawet jeżeli dostałbym je szybko, dowiedział się czegoś pożytecznego. Nawet porządni ludzie mają czasem nieciekawą wygląd.

Tak więc na koniec zadzwoniłem do dr Bruchnera i powiedziałem mu, że na ile mogłem się zorientować, Herr Arnold Bloch jest czysty jak ła. Odpowiedział, że wyśle depeszę do wykonawców testamentu jeszcze tej nocy.

Było to 26 października.

Teraz panie L, mam dla pana wiadomość.

Był pan tak cholernie tajemniczy, jeśli chodzi o pańskie źródła informacji, że trudno jest ocenić wiarygodność szczegółów rekonstrukcji. Ale powiem jedno. Jeśli ostatnia część rozmowy na parowcu pomiędzy tymi dwoma starymi sępami jest oparta na faktach, przeżyje pan coś w rodzaju wstrząsu. Lepiej niech pan zapnie pasy bezpieczeństwa. Jest coś, o czym pan nie wie.

Pierwszego listopada, tydzień po tym, jak została wysłana depesza do wykonawców testamentu, coś szczególnego wydarzyło się w moim biurze. Nicole była tam i może to potwierdzić. Miałem dziwnego gościa.

Było to po południu. Kiedy wróciłem z obiadu, już na mnie czekał. Nie było w tym oczywiście nic dziwnego. Nie mieliśmy wielu interesantów przychodzących do biura, ale zdarzali się tacy: handlarze sprzętem biurowym, inkasenci, dziwaczne postaci szukające pracy i drobni oszuści starający się upchnąć tajne dokumenty, upichcone w jakiejś berlińskiej kuchni. Niecodzienne w przypadku tego konkretnego interesanta było to, że przyszedł tu, aby zaprenumerować Interkom.

To naprawdę było dziwne. Z pewnością nie zdarzyło się nic takiego od czasu, jak tu pracowałem. Interkom wysyłany był pocztą i w ten sam sposób napływały zgłoszenia na prenumeratę.

Mieliśmy odbite na powielaczu blankiety podające ceny dla Europy i Ameryk, w różnych walutach. Jeden z takich blankietów był zawsze wysyłany razem z biuletynem lub załączany do listów przypominających o odnowieniu subskrypcji. Od czasu do czasu, w ramach promocji, wysyłaliśmy te druki bezpłatnie. Ale nawet prenumeratorzy z Genewy, a mieliśmy jednego lub dwóch, nigdy nie zjawili się w biurze osobiście.

Oczywiście, kiedy powiedział mi, o co mu chodzi, moją pierwszą myślą było, że musi to być Arnold Bloch lub ktoś z nim związany, kto przyszedł, by dyskretnie przyjrzeć się naszemu małemu zespołowi. Jeśli naprawdę był to Bloch, to trochę się spóźnił. Dr Bruchner dostał już jego czek, a jeśli pisemna oferta, którą złożył, została przyjęta, sprawa była załatwiona. Jeśli nawet to, co zobaczył, nie spodobało się mu, było za późno, by się wycofać. Pomimo to, kimkolwiek lub czymkolwiek był, jego delikatne zachowanie było najzupełniej w porządku. Bardzo grzecznie poprosiłem go do swojego gabinetu i powiedziałem Nicole, by przyniosła blankiet na prenumeratę.

Z biblioteką wydawnictw informacyjnych, wycinkami i stosami czasopism i gazet, w moim gabinecie nie było prawie miejsca, by się ruszyć. Ale posiadałem fotel dla gości. Generał nalegał na to. Jak zwykle cały zawałony był rupieciami. Gdy sprzątałem, gość stał w

drzwiach zdejmując swój płaszcz i składając go tak starannie, jakby chciał go zapakować. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, trzymał się bardzo prosto. Ocenilem go na pięćdziesiąt parę lat. Obwisła twarz. Nie to, że była zwiotczała - nie było w nim żadnej zwiotczalności. Wyglądał twardo jak stal, ale miał grube kości i wydatne szczęki. Zwalisty, to chyba odpowiednie słowo. Oczy za dwuogniskowymi okularami w plastikowych oprawkach były niebieskie, jego sztywne włosy były siwe, a cera nosiła ślady letniej opalenizny. Duże usta o wąskich wargach uśmiechały się przeprasząco. Uśmiech, jak się wkrótce przekonałem, obecny był przez cały czas, a jego skruszony wyraz okazał się złudzeniem.

Kiedy usiadł w fotelu, który oczyściłem, Nicole przyniosła blankiet. Podałem mu długopis. Przyglądał się przez chwilę formularzowi, po czym zaczął go wypełniać, jak było to wymagane, drukowanymi literami.

Mogłem odczytać do góry nogami nazwisko, które podał. Wer ner Siepen. Adres był numerem skrzynki pocztowej w Hamburgu. Osobne rubryki dla wpisania miejsca pracy i zawodu pozostawił puste. Podpis był nieczytelny.

Nie był to więc Arnold Bloch, ale niewykluczone, że był jednym z zachodniemieckich klientów, których reprezentował. Nie było nic dziwnego w tym, że nie podał swojego zawodu. Nieliczni z naszych prenumeratorów - najczęstszym wyjątkiem byli politycy, duchowni i, z jakiś tajemniczych powodów, dentyści - decydowali się na wypełnienie tej rubryki. Ale z wiadomych przyczyn byłem szczególnie ciekaw tego jednego. Spróbowałem trochę go wy badać.

- Roczny koszt prenumeraty dla Niemiec wynosi osiemdziesiąt marek - powiedziałem.
- Niewątpliwie zechce pan zapłacić czekiem. Większość z naszych subskrybentów tak robi.

Wzruszył ramionami. - Wydaje mi się, że gotówką będzie prościej - sięgnął po swój portfel - a jeszcze prościej frankami szwajcarskimi.

Jego francuski był całkiem dobry.

- Jak pan sobie życzy. Każę przeliczyć cenę niemiecką i wypisać rachunek. Nacisnąłem dzwonek, by przywołać Nicole, i poczęstowałem go papierosem.

Odmówił wdzięcznym machnięciem stufrankowego banknotu, który właśnie wyjął, po czym położył go na wierzchu formularza. Gdy wydawałem Nicole niezbędne instrukcje, wydobyl z kieszeni duńską cygaretkę i zapalił. Nie wyglądało na to, aby mu się śpieszyło. To mi odpowiadało.

- Nieczęsto się zdarza - powiedziałem - że mamy okazję spotkać się z naszymi prenumeratorami twarzą w twarz. Wielu oczywiście pisze do nas, ale...

- Oczywiście. Ale Interkom jest firmą o szerokim zasięgu, nie lokalnym czasopismem.
- Nagle zaczął mówić po angielsku. Mówił z silnym akcentem, ale intonacja była angielska, nie północnoamerykańska.

- Niemniej - przeszedłem także na angielski - jesteśmy zawsze ciekawi poglądów i sugestii naszych korespondentów. Często są dla nas bardzo cenne. Rozumiem, że przyjechał pan do Genewy w interesach.

Skinął niedbale głową. - Tak, w interesach. - Spoglądał teraz nad moim ramieniem na półkę z książkami.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to się stało, że dowiedział S'C pan o Interkomie?

Jego zabląkane spojrzenie znowu spoczęło na mnie. - Oczywiście, panie Carter. Mam przyjaciela, który go prenumeruje. - Jego uśmiech nabrał słodczy. - Niestety, od kiedy byłem na tyle nieostrożny, by zgubić jeden numer, który dał mi do przeczytania, niechętnie już mi pożycza. Tak więc zyskaliście subskrybenta.

- A pan zachował przyjaciela. Rozumiem. - Zanotowałem w myślach, by sprawdzić innych prenumeratorów w rejonie Hamburga. - Oczywiście zawsze wiedzieliśmy, że wiele egzemplarzy Interkomu jest czytanych przez więcej niż jedną osobę. - powiedziałem - Cieszymy się, że tak się dzieje. Nigdy nie interesował nas wielki nakład. Wpływ w naszym wypadku mierzy się w kategoriach jakości, a nie ilości.

Brzmiało to fałszywie, nawet dla mnie, już w trakcie mówienia. Mógłbym być domokrażnym sprzedawcą rubryk ogłoszeniowych w jakimś nowym, tandetnym magazynie próbującym wcisnąć niesprawnego Rolls-Royce'a. Zobaczyłem, jak uniósł brwi.

- Ale lubimy wiedzieć o tych rzeczach - dodałem kulawo.

- To zrozumiałe. - Jego ręce rozpostarły się nad moim biurkiem jakby w geście błogosławieństwa. - Pełnicie nieocenioną służbę publiczną, tak więc jesteście zawsze czujni na możliwości jej powiększenia i poszerzenia.

Powiedziane to było o wiele za uroczyście. Przez chwilę miałem paskudne podejrzenie, że nabija się ze mnie. Mimo to, mogłem tylko grać dalej.

- Dokładnie tak - powiedziałem.

Pochylił się z przejęciem. - Czy mógłbym zadać panu pytanie, panie Carter?

- Bardzo proszę.

- Czy kiedykolwiek grożono panu?

- Nasi amerykańscy adwokaci mają czasem pełne ręce roboty. Potrząsnął głową. - Nie myślałem o krokach prawnych, panie

Carter. W końcu uporczywa walka Interkomu o prawdę musiała przysporzyć mu wielu potężnych wrogów, wrogów, których nic by nie powstrzymało przed uciszeniem go. - Skruszony uśmiech był nadal widoczny, ale oczy były szeroko otwarte i pełne niepokoju. Doszedłem do wniosku, że myliłem się sądząc, iż nabija się ze mnie. Był jeszcze jednym wariatem, jak inni fani Interkomu.

Mimo wszystko, za jego pieniądze coś mu się należało. Posłałem mu surowe spojrzenie, nie będące zwyczajnym spojrzeniem nierozsądnego wydawcy.

- Panie Siepen, ten, kto by przyszedł tutaj z pogrozkami lub szukając jakiś kłopotów, niewiele by wskórał.

- Ale co by pan zrobił?

- To by zależało od okoliczności.

- Powiedzmy, że zwróciłby się do pana ktoś, kto zażądałby ujawnienia źródła informacji, które opublikowaliście. Jaka byłaby pańska postawa?

- Nigdy nie ujawniamy źródeł. Posłałbym go do diabła.

- Czy ma pan pistolet?

- Nie, nie mam pistoletu. - Ten jest naprawdę stuknięty, pomyślałem.

- Załóżmy, że wywierany jest nacisk, być może groźba fizycznej przemocy?

- Nie doszło jeszcze do tego, panie Siepen.

- Ale gdyby doszło, jak by pan zareagował?

Patrzył teraz na mnie bardzo poważnie. Naprawdę chciał wiedzieć. Nagle poczułem, że to pytanie było dla niego swego rodzaju sprawdzianem, zastanowiłem się więc, zanim odpowiedziałem. Interkom miał być równie przeciwny pacyfizmowi, jak był komunizmowi, a ja nie chciałem, by ten dureń przekazał handlującym bronią kumplom Blocha, że nie można na mnie polegać. Z drugiej strony, nie byłem przygotowany na wygłoszenie bombastycznych, prawdziwie męskich bzdur jakiegokolwiek, jak zakładałem, pragnął usłyszeć. Znam swoje możliwości. Jako prawdziwy mężczyzna nie jestem po prostu przekonywujący. Próbowałem zbyć pytanie żartem.

- To by zależało od tego, kto wywierałby nacisk lub groził, panie Siepen. Gdyby był mniejszy niż ja, mógłbym spróbować wyrzucić go osobiście. W innym przypadku, ośmielał się twierdzić, wezwałbym na pomoc dozorcę.

Nie był ubawiony. - Czy nie sądzi pan, panie Carter, że z przemocą lub groźbą przemocy najlepiej radzą sobie ci, którzy są zawodowcami?

- Ma pan na myśli armię i policję? Z pewnością. Pomyślałem że jego kumple nie mogą mieć do tego zastrzeżeń.

Ale jeszcze nie był to dla niego koniec, nie uzyskał tego, o co mu chodziło.

- Tak więc zagrożona lub terroryzowana osoba powinna wezwać pomoc?

- Naturalnie że tak, jeśli tego potrzebuje.

- A jeśli nie jest pan w stanie wezwać pomocy lub pomoc jest niedostępna, co wtedy?

Co wtedy pan czyni?

Byłem już zmęczony tym kręceniem się w kółko.

- Panie Siepen - powiedziałem - nie jestem dobry w hipotetycznych kwestiach. Niech pan mi powie, co się wtedy robi.

Wtedy naprawdę się uśmiechnął i zauważyłem, że na lewej górnej szczęce ma założony mostek. - Panie Carter - powiedział - człowiek rozsądny chętnie poddaje się naciskom i robi to, co mu każą. Będąc sam rozsądnym człowiekiem, czy nie zgodzi się pan z tym?

Co się na to odpowiada? Zacząć mówić o Galileuszu czy stanąć na baczność i wyrecytować mu Inimctus Henley'a? Na szczęście nie musiałem odpowiadać, ponieważ wróciła Nicole z resztą i pokwitowaniem. Podniósł się natychmiast i wyszedł. Powiedział tylko do widzenia. Nie poczekał, by usłyszeć, czy się z nim zgadzam, czy nie.

Powiem panu, co wtedy myślałem, panie L. Wydawało mi się, że próbowano mnie wysondować i urobić. Chyba miałem rację. Pomyliłem się w tym, że naciski, jakim rozsądny człowiek będzie poddany i którym powinien chętnie ulec, nadejdą ze strony pana Siepena. W moim mniemaniu była to zrozumiała pomyłka.

Panie L, wydaje mi się że spotkałem pułkownika Josta wcześniej niż pan.

Myślę że „pan Siepen” to pułkownik Jost i że ten sukinsyn przyszedł tego dnia tylko po to, by zapowiedzieć mi dla spokoju własnego sumienia, że nie mogę wygrać, i pozostawić mnie z myślą, iż będzie lepiej, jak nie będę próbował.

Tak więc opis wyglądu zewnętrznego „pana Siepena” pokrywa się z wyglądem pułkownika Josta.

Dziękuję panu, panie L, za powiadomienie mnie o tym. Doceniam też pańskie protekcyjne powinszowania, chociaż muszę powiedzieć, że twierdzenie, iż wizyta rycerskiego pułkownika była „gestem życzliwego zaniepokojenia” o moją pomyślność, jest ciężkie do strawienia. Według mnie ten gest był równie życzliwy jak klepięcie w zad, które otrzymuje jagnię od farmera, zanim zostanie załadowane na ciężarówkę udającą się do rzeźni. Jeśli pańskie informacje są prawdziwe, to pułkownika Josta obchodziło jedynie dopilnowanie, aby jego część planu przebiegała gładko i szybko. Próba zmiękczenia mnie trochę zawczasu była po prostu nasmarowaniem trybów maszyny. Pisze pan, że podejmował pewne ryzyko,

przychodząc do mego biura. Co za ryzyko na miłość boską? Nawet zakładając, że jeden z tych upiorów przyszedłby do mnie później z jego fotografią - żaden z nich oczywiście tego nie zrobił, ale przypuśćmy - i spytał, czy rozpoznaję tę twarz, co mógłbym powiedzieć kompromitującego go? „Tak, widziałem tego człowieka. Zaprenumerował tygodnik na nazwisko Siepen” I co? Wiedzą że to Jost, ale czego to dowodzi? Tylko że jeszcze jednej grubej rybie z wywiadu nie podoba się Interkom i przyszła przyjrzeć mu się osobiście.

Życzliwy gest, a niech mnie!

4 listopada dr Bruchner zadzwonił do mnie, by powiedzieć, że wykonawcy testamentu zaakceptowali ofertę Arnolda Blocha na kupno udziałów Interkomu. Powiedział, że ponieważ wykonawcy są w Ameryce, przekazanie akcji zgodnie z prawem potrwa kilka dni, ale że mogą postępować tak jakby sprawa była zakończona. Bez wątpienia, Herr Bloch skontaktuje się ze mną bezpośrednio we właściwym czasie.

Było to w piątek. Pierwszą wiadomością od Arnolda Blocha był list, który nadszedł w następnym wtorek. Był napisany po angielsku na papierze firmowym jego monachijskiego biura, ale wysłany, jak zauważyłem, z Brukseli. Zaadresowano go osobiście do mnie na adres biura Interkomu. Był zredagowany jak memorandum.

Do-. Teodor Carter, Genewa

OD: Arnold Bloch, Monachium

TEMAT: Strategia wydawnicza ‘Interkomu’

POUFNE

Został pan powiadomiony przez Dyrektora Przedsiębiorstwa Wydawniczego Interkom SA dr Martina Bruchnera z Bale, o przejęciu przez moje zrzeczenie kontrolnego pakietu akcji wydawnictwa Tygodnik Interkom

Mnie i moim współpracownikom znany jest już charakter wydawnictwa, a dr Bruchner poinformował pana, iż żadne zmiany w jego obecnym profilu i zamierzeniach wydawniczych nie są przewidziane lub pożądane. Tę decyzję potwierdzam.

Tym niemniej będziemy od czasu do czasu dostarczać panu wiadomości i informacje w celu włączenia ich do tygodnika. Te pozycje będą w każdym przypadku całkowicie odpowiednie dla publikacji i zawierać będą techniczne dane mogące zainteresować czytelników zatrudnionych w służbie rządowej. Te materiały będą zazwyczaj krótkie i jest szczególnie ważne, aby publikowane były dokładnie w takiej formie, w jakiej zostaną panu dostarczone, bez żadnych przeróbek i komentarzy. Ich zdecydowanie techniczny charakter zmusza nas do] bezwzględnego obstawania przy tym warunku.

Jako redaktor naczelny musi pan oczywiście być za każ - ‘ dym razem przekonany, że materiały, które pan publikuje, są 1 prawdziwe. Specjalne biuletyny pochodzące ode mnie lub mo - 1 ich współpracowników mogą być przekazywane panu listów - 1 nie, telegraficznie, telexem i czasami telefonicznie. Aby źródło ich było zawsze dla pana osobiście poświadczone i by mogły zostać zaakceptowane z całą odpowiedzialnością do naty-! chmiastowej publikacji, poprzedzać je będzie zawsze kod o I nazwie SEZAM. Jeśli nazwa SEZAM będzie nieobecna, oznaczać to będzie, że biuletyn nie jest autentyczny i w związku z tym powinien być zignorowany.

Żadne potwierdzenie odbioru biuletynów SEZAMU nie jest wymagane. Biuletyny nadchodzące za późno dla opublikowa - | nia ich w wydaniu zazwyczaj rozsyłanym we wtorki, powinny, być zamieszczane w wydaniu następnym. Wszelkie pytania nasuwające się przy odbiorze i publikacji biuletynów SEZAMU i powinny być telegraficznie kierowane osobiście do mnie, choć j jeśli procedura tu przedstawiona będzie starannie przestrzegana, taka potrzeba nie powinna się pojawić.

Na koniec o pana sytuacji. Cieszy mnie, iż mogę potwier - I dzić oficjalnie, że zachował pan stanowisko redaktora naczel-! nego. Jednakże w niedalekiej przyszłości ja i moi współpraco - 1 wnicy możemy przedyskutować z panem możliwość zmiany nazwy pańskiego stanowiska na redaktor naczelny wydawni - 1 ctwa Wtedy też pomyślimy o renegotjacji pańskiej umowy I finansowej z zarządem i o możliwości jej poprawy w niedłu - j gim czasie.

Wysoko będziemy sobie cenić krótkie potwierdzenie otrzymania tego memorandum.

Podpisano Bloch

Kiedy mówię, że memorandum to przyprawiło mnie o niemiłe j uczucie, nie twierdzę, że uległem jasnowidzeniu.

Natomiast wiedziałem na pewno, iż jedynym sposobem, by I utrzymać Interkom na powierzchni bez stuprocentowej dotacji, 1 jest dopilnowanie, aby nadal był mocno skandalizujący i przede wszystkim pełen werwy. Wizja wywołana memorandum - rekla - 1 mowe kawałki tuzinami napływające listownie, telegraficznie i I teleksami - była przygnębiająca. W obietnicę, że najczęściej będą

I krótkie, po prostu nie mogłem uwierzyć. Z mojego doświadczenia wynika, iż przedsiębiorcy, którzy pragną coś sprzedać, prawie nigdy nie są w stanie się streścić. O ile te „biuletyny techniczne” nie będą pisane przez speców od reklamy, a nie było to zbyt prawdopodobne, muszą być rozwlekłe i nudne. Z dużą ilością takiego materiału Interkom wkrótce stałby się tak skandalizujący i pełen werwy jak katalog domu wysyłkowego.

Historia z „kodem o nazwie SEZAM” niepokoiła mnie z innych przyczyn. Nie tylko wydawało mi się to dziecinną zabawą - hokus pokus, otwórz się Sezamie i droga do skarba wolna - ale przywodziło myśl, że pan Bloch i jego współpracownicy traktowali siebie i swoje inwestycje tak poważnie, iż obawiali się, że konkurencja może spróbować wepchnąć się do gry przesyłając swoje własne biuletyny. To dowodziło manii wielkości. To także wskazywało, iż liczyli, że promocja w Interkomie wpłynie na ich finansowe wyniki na naprawdę dużą skalę. Co w rezultacie oznaczało, że jeśli ich imponujące oczekiwania skończą się rozczarowaniem - a myślałem, że prawdopodobnie tak się stanie - mogę pożegnać się z subsydiami i swoją pracą.

Ten kawałek na końcu o moim nowym tytule i poprawie warunków finansowych tylko mnie rozśmieszył. „Bądź grzecznym chłopcem, to może dostaniesz jeszcze jedno ciasteczko”. Nawet jak na konsultanta od spraw opinii publicznej i reklamy wydało mi się to nieco nachalne.

Miałem powody, aby czuć się nieswojo. Wybrałem tylko niewłaściwe powody i ustawiłem je w złej kolejności.

Wysłałem krótki telegram potwierdzający otrzymanie memorandum. Napisałem: „Przyjąłem i zrozumiałem.”

Tylko pierwsze słowo można teraz uznać za prawdziwe.

Dwa dni później otrzymałem na monachijskim papierze Blocha list nadany w Bonn, pierwszy biuletyn SEZAMU.

Można było powiedzieć o nim wszystko tylko nie to, że był krótki. Był także, jak się tego spodziewałem, ponury.

Może pan poszukać go w Interkomie, panie L, ale przypominam sobie, że zaczynał się jakoś tak:

Otrzymaliśmy niedawno informacje dotyczące ukończenia montażu nowego myśliwca zwiadowczego NATO FG115. Jesteśmy teraz w stanie poinformować naszych czytelników, że loty próbne pierwszego ukończonego samolotu odbyły się w Belgii dwa miesiące temu w przeciągu tygodnia zakończono go datą 14 września. Osiągi uzyskane w trakcie prób są oczywiście zakwalifikowane jako „JVATO - TAJNE”, ale na podstawie wiarygodnych źródeł możemy stwierdzić, że zbliżyły się do 2.2 Macha. Uznano to za rozczarowanie, jako że prototypy osiągały projektowaną prędkość 2.5 Macha. Wystąpiły także trudności przy niezwykle wysokiej prędkości startu z pełnym obciążeniem i niestabilności samolotu w prędkościach poddźwiękowych. Poważne opóźnienia w dostawach FG115 uważa się za pewne.

Gdyby na tym poprzestał, nie byłoby najgorzej, mimo iż korciło mnie, by napisać to jeszcze raz. Ale następnie przeszedł do wyliczenia kooperantów zaangażowanych w produkcję tego samolotu. Nie mam na myśli tylko tych od silnika i kadłuba, ale wszystkich kooperantów i podkooperantów - od podwozia, hydrauliki, wyposażenia dla automatycznego pilota, systemu paliwowego, otwierania spadochronu hamującego. Podał dokładne nazwy, adresy biur i lokalizację zakładów. Biuletyn zajął całą stronę ścisłego druku.

Przypuszczałem oczywiście, że była to brudna robota spreparowana w celu skompromitowania jakiegoś rywala jego klienta. Biuletyn wszedł do wydania Interkomu z 15 listopada. Był to dzień, w którym nadszedł drugi biuletyn SEZAMU. Było zbyt późno na umieszczenie go w tym numerze, więc przetrzymałem go według instrukcji do następnego tygodnia.

Drugi biuletyn był ledwo zrozumiały, przynajmniej dla mnie. Był to napisany w gawędziarskim stylu artykuł dotyczący radzieckiego paliwa raketowego. Co najmniej w połowie składał się z symboli chemicznych ułożonych w skomplikowane diagramy. Niech pan spyta o to Nicole. Męczyła się nad nim okropnie przygotowując matrycę do druku. Wiele linii musiała nanieść ręcznie.

Wydawało się, iż główne przesłanie polega na tym, że jednostki taktycznych pocisków nuklearnych Armii Czerwonej mają kłopoty z powodu pogarszania się jakości paliwa w czasie składowania. Naukowcy Armii Czerwonej pocili się niezgorzej rozwiązując ten problem. Były podane rodzaje pocisków, których to dotyczyło, i ich szacunkowa ilość. Opisana została chemiczna istota problemu. Z rysunkami biuletyn zajął półtorej strony.

Pomijając jego długość, całkowitą nieczytelność i to że nie mogłem dopatrzeć się w nim treści reklamowych, niepokoił mnie z powodu problemów, jakie stwarzał dla naszej linii wydawniczej.

Za czasów Generała jedynym rodzajem sowieckich kłopotów, jakie nas zajmowały, były te, które miały podłoże polityczne. Chiny, rewizjonizm, problemy z państwami bloku, nacjonalizm ukraiński - to był materiał dla nas. Pomysł, że sowieckie rakiety nie zawsze muszą być na 100 procent sprawne, nie przemówiłby do Generała. Jeśli usterki znaleziono by w naszych rakietach, to by mu odpowiadało. To by oznaczało, że kroi się jakaś zdrada i jest do wykrycia spisek. Ale wiadomość o usterekach w sowieckich rakietach służyłaby po prostu jako zachęta do zaniedbania wysiłku antykomunistycznego wolnego świata i przekazanie inicjatywy w ręce liberałów, koegzystentów i pseudointelektualistów. W czasach Generała wyrzuciłbym tę historyjkę od razu bez zapoznania go z nią. Teraz, pomimo zapewnień Herr Blocha, charakter Interkomu zaczynał się zmieniać. Było wielu prenumeratorów, którzy

ciągle myśleli na sposób Generała. Jeśli potrafili zrozumieć, o czym był ten biuletyn, nie sądzę, aby im się spodobał. Mogłem spodziewać się ostrych listów ostrzegających przed niedocenianiem bezwzględnie przeciwnika, a nawet sugerujących, że daliśmy się nabrać na chytry wybieg sowieckiej propagandy. Te rzeczy zawsze źle wpływały na odnawianie prenumeraty.

Trzeci biuletyn SEZAMU wydawał się względnie nieszkodliwy. Był opatrzony nagłówkiem „Operacja Trójkąt”, mimo iż nie wyjaśniał, co to oznacza. Rozpoczął się doniesieniem o niedawnym zamówieniu na prefabrykowane elementy betonowe „nowego, interesującego typu”, złożonym włoskiej firmie przez amerykańską agencję zaopatrzeniową w Brukseli pracującą na potrzeby wojska. Chodzi teraz o to, stwierdzał dalej, by zdecydować, kto ma dostarczyć „czułe wyposażenie”, które zostało zaprojektowane w celu umieszczenia go wewnątrz tych elementów. Możliwością było wiele - tu następowała kolejna okropna lista nazw, adresów i lokalizacji zakładów - z których dwie (tu znowu nazwy, niewątpliwie byli to wspólnicy Blocha) były faworyzowane przez naukowych doradców Operacji Trójkąt.

Opublikowaliśmy to w wydaniu z 29 listopada.

Cztery dni później nadeszła kolejna techniczna cegła. Koperta, w której została wysłana, miała stempel z Kopenhagi.

Biuletyn zawierał dokładny opis nowego przenośnego sejsmografii, „skonstruowanego w oparciu o zasadę zmienności oporu magnetycznego”. Został opracowany przez profesora fizyki na sowieckim uniwersytecie, nazwa i adres podany, dla wykrywania słabych podziemnych wybuchów atomowych w zasięgu pięciu tysięcy kilometrów. Był na tajnej liście sowieckiego Sztabu Generalnego.

Sam opis techniczny był dla mnie szwargotem. Jediną rzeczą, którą mogłem zrozumieć w tym biuletyne oprócz wstępu, była końcowa notatka. Głosiła, że dane techniczne zostały dostarczone przez M.W.Skriabina, członka sowieckiej misji handlowej w Oslo.

Ta notatka naprawdę mnie poruszyła. Do tej chwili byłem gotów brać poczynania Herr Blocha za mniej lub bardziej dobrą monetę. Dwa z opublikowanych dotychczas biuletynów mogły być w sposób prosty interpretowane jako próby wywarcia nacisku, w taki lub inny sposób, w celu uzyskania dla swoich wspólników rządowych umów w dziedzinie obronności. Historia z paliwem raketowym była trudniejsza do zakwalifikowania, ale byłem gotów przypisać tę trudność swojej ignorancji w tematyce przedmiotu i nieznanomości realiów. Pisanie o technicznych problemach z sowieckim paliwem raketowym mogło być subtelnym zwróceniem uwagi na istnienie podobnych kłopotów i u nas. Można sobie

wyobrazić, że jeden z partnerów Blocha lub jego klientów posiadał specjalistyczną technologię na sprzedaż i Bloch wybrał tę określoną drogę, by ściągnąć uwagę zainteresowanych stron na swojego człowieka.

Biuletyn czwarty wykluczał wszystkie te możliwości.

Wydawało mi się, że w tym przypadku Bloch próbował po prostu zaszlachtować towarzysza Skriabina.

Myślałem nad tym trochę, po czym zdecydowałem się zatelegrafować po potwierdzenie. Taki telegram wysłałem do Monachium:

CZWARTY BIULETYN SEZAMU. W ZWIĄZKU Z POLITYKA WYDAWNICZA INTERCOMU KWESTIONUJĘ UJAWNIEŃ ŹRÓDŁA INFORMACJI PODANEJ W TEKŚCIE. PROSZĘ O RADE.

Przez czterdzieści osiem godzin nie miałem odpowiedzi. Następnie przyszedł telegram z Brukseli.

CZWARTY BIULETYN SEZAMU OPUBLIKOWAĆ W CAŁOŚCI.

Zrobiłem więc, co mi kazano.

Ale od tej chwili zacząłem nie lubić Herr Blocha. Moja sympatia była po stronie M.W.Skriabina. Wydawało mi się, że znalazł się w złym miejscu wyjątkowo brudnego układu.

Nie minęło wiele czasu, kiedy zacząłem podejrzewać, że mogę znaleźć się w tej samej sytuacji.

Wtorki, kiedy wysyłaliśmy tygodnik, były hałaśliwe z powodu pracujących powielaczy i maszyny do adresowania oraz trąkających na całe gardło niepełnoetatowych pomocnic, które przychodziły do pracy przy zbieraniu, składaniu i pakowaniu. Ale naprawdę zajęty byłem w poniedziałki. To wtedy kończyłem układać Interkom do snu. W poniedziałki rzadko wychodziłem z biura przed dziesiątą.

Rankiem parkowałem samochód w bocznej uliczce nieopodal kościoła St Gervais, po czym przekraczałem rzekę i szedłem do biura. Nie było bliżej miejsca, gdzie mogłem bez trudu zaparkować. Ale o dziesiątej wieczorem, na moście, po którym zwykle wracałem przez rzekę, nie było dużego ruchu, a ulice poza nim były spokojne, prawie opuszczone.

Nie wiem, kiedy rozpoczęła się inwigilacja ani która banda ją zaczęła, ale było to w poniedziałek wieczorem - w poniedziałek 12 grudnia, dokładnie w sześć dni po opublikowaniu czwartego biuletynu SEZAMU, - kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jestem śledzony.

Rozdział 4

VALERIE CARTER spisane z taśmy magnetofonowej

Dobrze pamiętam tę noc.

Mój ojciec wrócił do domu, jak zwykle nalał sobie whisky, a później zapomniał ją wypić.

W te wieczory, kiedy zostawał do późna w biurze, trzymałam dla niego gorącą zupę, coś w rodzaju pot au feu, z dużą ilością jarzyn, które lubił. Tej nocy, kiedy przyniosłam zupę z kuchni, zauważyłam, że jego szklanka znajdowała się ciągle na stoliku. Stał przy oknie patrząc na ulicę.

- Czuję się jak towarzysz Skriabin - oświadczył.

Nie wiedziałam, o czym mówi, więc powiedziałam mu, by zjadł zupę, dopóki jest gorąca.

Podszedł do stołu i usiadł. Potem spojrzął na mnie i posłał mi jeden z tych swoich drobnych, przepaszających uśmiechów.

- O ile zupełnie nie zwariowałem - powiedział - myślę, że byłem śledzony dziś w nocy po wyjściu z biura. Dwaj mężczyźni w Fiacie 125. Wydaje mi się, że są ciągle na zewnątrz. Sprawdź, czy możesz ich zobaczyć, dobrze Val?

Wiem, że mój ojciec bywa czasem nierozsądny, najczęściej wtedy, gdy sobie wypije. Ale nie jest głupi i na pewno nie zmyśla. Nie twierdzę, że nie jest neurotykiem, panie Latimer. Na przykład ta historia z nazywaniem pana panem L. To mechanizm obronny. Wydaje mu się, że gdyby zwracał się do pana całym nazwiskiem, dawałoby to panu w jakiś sposób przewagę nad nim. Postępował już tak z innymi ludźmi, którym zazdrościł. O tak, zazdrości panu. Po pierwsze uwielbia pańskie książki. Widzi pan, kocham mego ojca, ale nie mam wielu złudzeń co do niego. Jest dobrym, mądrym, nieszczęśliwym człowiekiem, który potrafi być zabawny i czarujący w jednej chwili i niewiarygodnie okropny w następnej. Ale nawet kiedy bywa okropny, jest nadal przy zdrowych zmysłach. Może mieć żywą wyobraźnię, ale nie widuje rzeczy, które nie istnieją.

Podeszłam więc do okna i spojrzałam na ulicę.

Jak pan wie, nasze mieszkanie jest na trzecim piętrze, ale nie można zobaczyć w dole całej ulicy, o ile nie otworzy się okna i nie wychyli się na zewnątrz. Była to zimna noc i nie chciałam tego robić, więc przycisnęłam tylko twarz do szyby.

Mogłam zobaczyć wystarczająco dużo. Był tam Fiat zaparkowany nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy. Nie było w tym oczywiście nic niezwykłego. Stały tam także inne samochody, większość z nich należąca do ludzi mieszkających naprzeciwko. Mogłam zobaczyć tylko kawałek dachu Renaulta mojego ojca, który parkował dokładnie poniżej, naprzeciwko naszej bramy. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam mężczyznę, który minął Renaulta i przeszedł przez ulicę kierując się w stronę Fiata. Ubrany był w ciemny płaszcz i pilśniowy kapelusz. Nie mogłam oczywiście dostrzec jego twarzy, ale zauważyłam, iż mimo że wydawał się iść powoli, stawiał bardzo długie kroki. Kiedy zbliżył się do Fiata, otworzył drzwi z prawej strony i wsiadł. Z otwarciem drzwi wewnętrzne światło zapaliło się na chwilę i dostrzegłam ręce w rękawiczkach należące do mężczyzny siedzącego w fotelu kierowcy. Potem silnik został włączony i zapaliły się światła.

- Odjeżdżają - powiedziałam. Następnie opowiedziałam mu, co zobaczyłam.

Ojciec jadł dalej kolację. - Czy możesz dostrzec numery? - zapytał.

Fiat oddalał się już. - Nie, ale wydaje mi się że tablice rejestracyjne są z Fryburga.

- To ten sam. - powiedział. Podeszłam i usiadłam naprzeciwko niego.

- Skąd wiesz, że śledzili ciebie? - spytałam.

- Czysty przypadek. - wzruszył ramionami. - Zauważyłem ten samochód, kiedy wyszedłem z biura, ponieważ był nieprawidłowo zaparkowany naprzeciwko banku na rogu. Pomyślałem o długiej drodze dzielącej mnie od samochodu i w chwilowym przypiływie nieżyczliwości miałem nadzieję, że zjawi się policjant i wlepi facetowi mandat. Oczywiście w pobliżu nie było policjanta, ale nie traciłem nadziei. Gdy odchodziłem, mogłem ciągle go widzieć. Odbijał się w witrynach sklepowych. A potem, właśnie gdy skręcałem za róg, zobaczyłem, jak wysiada jego pasażer i zaczyna iść tą samą drogą, którą ja szedłem.

Ułamał sobie kawałek chleba i zjadł jeszcze trochę zupy.

- Nie myślałem więcej o tym, dopóki nie znalazłem się na moście. Ten sam samochód z fryburską rejestracją minął mnie kierując się na północ, w kierunku gdzie szedłem. Jechał dość szybko, ale niezbyt długo. Gdy skręciłem pod górę do St Gervais, zobaczyłem, że znów się zatrzymał. Nie wysiadł, siedział tam po prostu. To mi przypomniało pasażera, którego wysadził, i zacząłem się zastanawiać, w którą stronę on poszedł. Widzisz, ten koleś zaczął mnie już wtedy intrygować. Gdy dotarłem do mojego samochodu, nie ruszyłem od razu. Zamiast tego obserwowałem wsteczne lusterko. To, co zobaczyłem, było interesujące. Właśnie przeszedłem ten odcinek drogi i żaden z pozostawionych tam samochodów nie miał włączonych świateł. Teraz był tam jeden z zapalonymi. Nie mogłem być oczywiście pewien,

czy był to ten Fiat - były to po prostu dwa światła. Ale wtedy chodnikiem podszedł mężczyzna i wsiadł obok kierowcy. To widziałem wyraźnie.

- Ponieważ wewnętrzne światło zapaliło się, kiedy otwarto drzwi?

- Tak było. Jak to odgadłaś?

- Ponieważ to samo wydarzyło się zanim odjechali przed chwilą.

- Trzymali się za mną przez całą drogę do domu. - powiedział.

- Chciałem w pewnym momencie zboczyć z drogi, by sprawdzić, czy naprawdę mnie śledzą, czy tylko to sobie wyobrażam, ale nie zrobiłem tego.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wiedziałem, że to nie wyobrażnia. - Uśmiechnął się słabo. - Poza tym, gdybym zaczął kluczyć, dowiedzieliby się, że ich spostrzegłem. Rozumiesz, gdyby nie to, że źle zaparkowali przed bankiem, nie spostrzegłbym ich, nic bym nie zauważył.

- Ale dlaczego? I kim mogą być?

- To właśnie staram się rozwiązać.- Podniósł się i odnalazł swojego drinka na bocznym stoliku. - Na razie wiem tyle. Ktoś chce wiedzieć, gdzie mieszkam. Nie figuruję w książce telefonicznej pod tym adresem, więc jestem śledzony, kiedy opuszczam biuro. Kiedy zamykam samochód i wchodzę do tego budynku, czekają kilka minut na zewnątrz, po czym jeden z nich przechodzi i sprawdza nazwiska na skrzynkach pocztowych. Misja zakończona, odchodzą. - Wychylił swoją szklankę. - Kim są? Czego chcą? Nie mam żadnej wskazówki. Nie może to być policja ani nikt z nimi związany. Jestem zarejestrowany w Bureau des Etrangers. Policja wie, gdzie mieszkam, i wie o mnie wszystko. - Pchnął swoją pustą szklankę. - Nalej mi jeszcze, dobrze Val?

- W porządku. - Rzuciło się w oczy, że był zmęczony, a kiedy długo pracował, zawsze starałam się posłać go wcześniej do łóżka. Normalnie sprzątnęłabym wtedy stół, zmyła naczynia, powiedziała dobranoc i poszła do swojego pokoju. Zazwyczaj szedł do swojego wkrótce potem. Ale tej nocy nie myślałam, żeby tak zrobił. Kiedy coś go martwiło, było bardziej prawdopodobne, że zostanie i będzie pił dalej. Mnie także coś martwiło.

Nalałam następnego drinka i zaniósłam mu. - Kim jest towarzysz Skriabin? - zapytałam.

Wtedy opowiedział mi o biuletynach SEZAMU.

Zawsze nienawidziłam Interkomu. Pisanie jadowitych nonsensów tydzień po tygodniu, miesiąc za miesiącem, wpłynęło na mojego ojca. Och, wiedziałam, że nie wierzy w żadne słowo, które napisał, i że wszystko to było robione z przymrużeniem oka. W ten sposób usprawiedliwiał się przed sobą. Dowodził też czasem, że to, co robił dla tego starego,

ohydny Novaka, było nie gorsze od grania Świętoszka dla publiczności składającej się z półgłówków. Ale nigdy nie dowodził tego z wielkim przekonaniem, nie mnie w każdym razie. Prawdą było, iż Interkom stał się dla niego sposobem grania na nosie całemu światu i w końcu to mu się spodobało, ale za cenę szacunku do samego siebie.

Byłam zadowolona, kiedy Generał umarł i wyglądało na to, że Interkom jest skończony. Naturalnie, zdawałam sobie sprawę, że mój ojciec może mieć trudne chwile szukając innej pracy. Dlatego zaproponowałam pomysł z biurem tłumaczeń. Byłam pewna, że da się je uruchomić i że przynajmniej będzie panem samego siebie. Oczywiście, nie było to dziennikarstwo. Ale nie była nim też praca w Interkomie, chyba żeby nadać temu słowu nowe, zwyrodniałe znaczenie. Kiedy powiedział mi o tym człowieku z Monachium, który był gotów kupić Interkom i prowadzić go tak jak dotychczas, poczułam się niedobrze.

Ale nie tak niedobrze, jak poczułam się, gdy opowiedział mi o biuletynach SEZAMU tej nocy, gdy był śledzony. Wiedziałam od początku, że w swych interesach z osobą tego Arnolda Blocha, dr Bruchner i mój ojciec kierowali się czymś niewiele pewniejszym niż pobożne życzenia. Nie zdawałam sobie sprawy aż do tamtej chwili, że tak naprawdę nie wiedzieli nic o tym człowieku.

Nie spałam zbyt dobrze tamtej nocy. Następnego dnia wzięłam kopię biuletynu Skriabina ze sobą do biblioteki uniwersyteckiej i popracowałam nad nią trochę.

Wydawało mi się, że pierwszą kwestią, którą należało ustalić, była wartość lub jej brak, technicznego opisu sejsmografu. Jeśli składał się z poważnych, autentycznych informacji, to M.W.Skriabin był z pewnością w kłopotach. Jeżeli z drugiej strony był tylko stronicą pełną pretensjonalnych bzdur, wtedy niebezpieczeństwa, że zostanie „zaszlachtowany”, jak określił to mój ojciec, nie trzeba było brać zbyt poważnie.

Dowiedziałam się, że zasada, na której opierała się konstrukcja, jest zjawiskiem magnetycznym i rzeczywiście miała zastosowanie w pewnych typach sejsmografów czy sejsmometrów. Tego typu konstrukcje były związane głównie z nazwiskiem amerykańskiego sejsmologa, H.Benioffa, a przyrządy o podobnej konstrukcji szeroko stosowane. Jednak nie były zazwyczaj uważane za przenośne. Ich ciężar wynosił w przybliżeniu dwieście kilogramów. Ponieważ przyrząd opisany w biuletynie ważył tylko siedemdziesiąt kilogramów i ponieważ metoda zastosowana do osiągnięcia tej redukcji była szczegółowo przedstawiona, doszłam do wniosku, że dane techniczne mogły być prawdziwe. Byłam także w stanie sprawdzić rosyjskiego geofizyka, któremu przypisano autorstwo projektu. Był na pewno autentyczny i wysoce poważany.

Z M.W.Skriabinem miałam więcej kłopotu. Nie było nic o nim w literaturze sejsmologicznej.

Nie zdziwiło mnie to. Członek sowieckiej misji handlowej mógł posiadać wiedzę techniczną, ale było mało prawdopodobne, aby był naukowcem z rodzaju tych, których nazwiska pojawiają się w indeksach czasopism naukowych. Najwyraźniej był jakimś specjalistą, ale rząd sowiecki nie publikuje spisów personelu swoich departamentów tak ochoczo, jak czynią to inne kraje, a te, które są zazwyczaj dostępne, dotyczą jedynie wyższych urzędników. Nie mogłam znaleźć go w żadnym ze spisów, jakie mieliśmy. Jako że nie znałam jego specjalności - a mogło to być wszystko poczynając od połowów śledzi, na obrabiarkach skończywszy - wiedziałam, że sama nie dowiem się niczego więcej. Jeśli chciałam znaleźć ślad, musiałam skorzystać ze źródła dyplomatycznego. W końcu zadzwoniłam do przyjaciela z biblioteki europejskiego biura ONZ w Pałacu Narodów i okłamałam go. Powiedziałam mu, że pewien konsul generalny zwrócił się do nas z prośbą o informacje na temat M.W.Skriabina, pracownika sowieckiej misji handlowej w Oslo i spytałam, czy nie mógłby mi pomóc.

- To dziwne - powiedział - dowiadywano się tutaj o tego człowieka kilka dni temu. Nie konsul generalny, a radca z pewnej ambasady w Bernie. Kto jest konsulem generalnym?

Jak powiedziałam, ten człowiek z biblioteki ONZ był moim przyjacielem. Studiowaliśmy razem, a pewnego roku zabierał mnie na koncerty. Potem odkryliśmy, że istnieją między nami zasadnicze różnice na temat Bartoka czy seksu, teraz już nie pamiętam, i zerwaliśmy. Byliśmy jednak ciągle w dobrych układach i o mało co nie powiedziałam mu prawdy. Ale potem pomyślałam, że lepiej będzie jak tego nie zrobię.

- To była poufna prośba - powiedziałam.

Roześmiał się. - Nasza też była taka, ale myślę, że nie zrobię nic złego, gdy powiem ci, co odpowiedzieliśmy. Wydaje mi się, że pamiętam prawie wszystko. Skriabin, Mikołaj Wiktorowicz, ma pięćdziesiąt osiem lat i dyplom Moskiewskiego Instytutu Historii, Filozofii i Literatury. Wstąpił do partii w trzydziestym drugim i później rozpoczął pracę w sowieckiej służbie dyplomatycznej. W czasie wojny z Hitlerem służył w wojsku. Jakieś funkcje związane z bezpieczeństwem. Posiada jeden Order Lenina, dwa orderzy Czerwonej Gwiazdy i jeden Suworowa, drugiej klasy. W każdym razie coś w tym rodzaju. Mogłam pomylić liczby. W ostatnich latach znów pełnił służbę dyplomatyczną w Sztokholmie, Hadze, Brukseli i Kopenhadze. Jego najwyższą funkcją było stanowisko pierwszego sekretarza ambasady. Do misji handlowej w Oslo skierowano go w zeszłym roku. Nie wygląda na to, aby wiodło mu się ostatnio dobrze, co?

- Nie.

- W rzeczywistości z jego akt wynika, że prawdopodobnie nie jest już dyplomatą ani nie był nim od wielu lat. Na podstawie informacji można się domyślać, że jest oficerem Wydziału Zagranicznego sowieckiego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, zwanego inaczej Komitet Gosudarstwiennoj Biezopastnosti lub KGB i że to jego stanowisko w misji handlowej jest jeszcze jedną przykrywką. Sądząc z odznaczeń, które posiada, jego stopień jest najprawdopodobniej odpowiednikiem pułkownika. Musi być kimś ważnym, najpewniej szefem rezydentury.

- Ach tak.

- Nie przekazywałbym tego domysłu z KGB waszemu konsulatowi generalnemu. Lepiej niech sami dojdą do tego wniosku.

- Na pewno. Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczna.

Zaprosił mnie na kolację pod koniec tygodnia. Zgodziłam się, y go spławić. Obawiam się, że zapomniałam o tej randce, ponieważ tyle innych rzeczy zaczęło dziać się w tym czasie. Wtedy Jednak chciałam tylko zastanowić się nad tym, co mi powiedział.

Widzi pan, panie Latimer, to wszystko było takie zagmatwane, przynajmniej dla mnie. Od początku byłam pewna, że mój ojciec mylił się. Uwierzył, że Skriabin był jakimś biednym, nieszczęsnym pionkiem, który został nakłoniony przez Blocha do sprzedaży tajemnic technicznych i że Bloch, mając już te informacje postanowił nie zapłacić mu, tylko wydać go za pośrednictwem In terkomu. Nie wydało mi się to prawdopodobne. To znaczy, jeśli dostaje się od kogoś tajemnice techniczne lub handlowe, tajemnice, na których ma się nadzieję zrobić pieniądze, można oszukać człowieka, od którego się je dostało, przez wydanie go jego mocodawcom. Ale nie ogłasza się także tajemnic, to by było głupie. Teraz, kiedy wiedziałam, że Skriabin nie był biednym, nieszczęsnym pionkiem, sprawy przedstawiały się jeszcze dziwniej. Jak jest się Blochem, który organizuje oszukańczo całą sprawę, nie publikuje się informacji cennych dla konkurencji, a jeżeli jest się Blochem, dumnym nowym właścicielem antykomunistycznego Interkomu, z pewnością nie publikuje się nazwiska potencjalnego zbiega z KGB, tak by Rosjanie mogli ściągnąć go do Związku Radzieckiego, zanim zdoła uciec. Tak że nic w tej historii nie miało sensu.

Nie mogłam się zdecydować, czy powiedzieć ojcu, czego dowiedziałam się o M.W.Skriabinie. Postanowiłam zaczekać i zobaczyć, w jakim będzie nastroju.

Prywatne śledztwo, które przeprowadziłam w ciągu tego dnia, sprawiło, że miałam zaległości w swojej normalnej pracy w bibliotece i do domu wróciłam późno. Gdy tam

dotarłam, okazało się, że mamy gości. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam ich płaszcze i kapelusze leżące na krześle w przedpokoju.

Nie weszłam od razu. Rzadko mieliśmy niezapowiedzianych gości - Szwajcarzy lubią organizować swoje życie towarzyskie z zachowaniem pewnej etykiety - więc doszłam do wniosku, że są to cudzoziemcy. Płaszcze i kapelusze nie wskazywały na jakąś konkretną narodowość, a szmer głosów dochodzący z pokoju był niewyraźny, ale obok płaszczy leżała aktówka wyglądająca na amerykańską i torba z miękkiej skóry, jedna z tych, w których zawodowi fotograficy noszą swoje aparaty. Obie, aktówka i torba, miały na swych uchwytach metki bagażowe linii lotniczych Air France. Być może Amerykanie z Paryża.

Miałam męczący dzień. Modliłam się, by mój ojciec, pod wpływem alkoholu mający tendencje do zbytnej gościnności, nie zaprosił ich na kolację. Weszłam do swojego pokoju i przejechałam grzebieniem po włosach, zanim się pokazałam.

Jeden z nich był wysoki, drugi niski. Niski mówił, gdy weszłam.

- Ale czy ta twardogłowa linia nie jest w dzisiejszych czasach nieco przestarzała? - mówił - To znaczy...

Wtedy zobaczył mnie, przerwał i podniósł się.

Był grubawym, zaczynającym łysieć czterdziestoletnim mężczyzną z okrągłą, mięsistą twarzą, wąsami w stylu Edgara Allana Poe i podkrążonymi oczyma. Jego cera, jakby określił to mój ojciec, była beżowa jak brzuch fladry. Nosił ciemny garnitur i krawat koloru ćwikły. Uniósł lekko głowę i posłał mi szeroki uśmiech.

Kiedy ojciec odwrócił się do mnie, zobaczyłam, że próbuje opanować wściekłość. To mnie podniosło na duchu, bo od razu wiedziałam, że ci szczególnie goście nie zostaną zaproszeni na kolację. Z drugiej strony, był w stanie zabawiać ich następnymi drinkami po prostu po to, by zatrzymać ich, dopóki nie zdecyduje się, jaka metoda obrażenia ich będzie najskuteczniejsza.

Z prezentacji zrobił przedstawienie.

- Ach, droga Val - pocałował mnie lekko w policzek, czego nigdy nie czyni, gdy jesteśmy sami - to jest pan Goodman. Jego współnik w występku - wskazał szklanką wysokiego mężczyznę, niezgrabnie stojącego obok sofy - pan Rich. Panowie, moja córka Valérie.

Usłyszałam Enchanté, Mademoiselle od pana Goodmana i baryton współnika mówiący „Panno Carter”.

- Dobry wieczór - powiedziałam.

- Pan Goodman i pan Rich są Amerykanami - kontynuował mój ojciec - i przyjechali aż z paryskiego biura magazynu World Reporter. Prowadzą badania, przepraszam, Dogłębne Badania - jego ton przywołał szyderczo wielkie litery - nad międzynarodowymi siatkami wywiadowczymi. I właśnie mają nadzieję, że będę w stanie im pomóc. Więc przeprowadzają ze mną wywiad. A raczej robi to pan Goodman, gdy pan Rich, fotograf zespołu, trzyma w pogotowiu swój aparat z nadzieją i czeka na okazję. Czyż to nie pasjonujące, moja droga?

Powiedział to, jak gdyby go znieważali.

- Bardzo pasjonujące - powiedziałam - pozostawię to tobie.

- Nie, nie Val - wcisnął mnie w fotel - chciałbym, abys została. Pan Rich też by chciał, widzę to. Jest o wiele przyjemniej patrzeć na ciebie niż na mnie, a on w końcu jest fotografem, artystą. Co panie Rich? Co do pana Goodmana to jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko dodatkowej widowni.

- Będzie mi niezmiernie miło - powiedział pan Goodman.

- Tak. - Ojciec posłał mu ponury uśmiech. - Pan Goodman penetrujący głębię tematu jest naprawdę godzien wysłuchania. To znaczy, tak długo, dopóki się pamięta, że głębia jest pojęciem relatywnym i że pan Goodman sonduje nie głębiej niż przezuta wykałaczką. - Dwa ostatnie słowa wypuł z siebie naprawdę jadownicie.

Pan Goodman zachichotał i zerknął na pana Richa. - Rozumiesz, co mam na myśli? - powiedział. - Mówiłem ci. Nie można nie rozpoznać stylu Teo Cartera. Cięty, mocno bijący, z kijem w jednej dłoni i rapierem w drugiej - czysty Interkom. On pisze to wszystko. Zawsze to robił, każde słowo. Czy mam rację panno Carter?

- Myślałam, że to z moim ojcem przeprowadza pan wywiad. - Podeszłam do stołu i nalałam sobie kieliszek Dezaley.

Od tej chwili nie zajmował się mną.

- Co ty na to Teo? Cały biuletyn to twoje dzieło, czy tak?

- Tak, wydaję go.

- Niedokładnie o to pytałem, ale nie szkodzi. Wróćmy na moment do Generała. Czy zatwierdzał każdą historyjkę, która do was docierała?

- Oczywiście, że nie. To była sprawa polityki wydawniczej. Wywiązywałem się z tej polityki, stosowałem ją. Robię to nadal.

- Chcę dojść do tego. Tylko wyjaśnijmy sobie jedną sprawę. Ta polityka była zawsze twardo antykomunistyczna, czy tak?

- Tak.

- I twardo antyrządowa też, co?

- Zna pan historię Generała tak dobrze jak ja.
- Antyrządowa, czy taka jest twoja odpowiedź?
- Tak.
- Ale nigdy antyamerykańska?
- Pytał już mnie pan o to. Powtarza się pan, panie Goodman.
- Powiedz mi jeszcze raz, Teo.

Myślałam najpierw, że to co tak zirytowało mego ojca, to zwracanie się do niego „Teo” przez pana Goodmana. Teraz zobaczyłam, że było w tym coś więcej. Władczy sposób bycia pana Goodmana. To nie był zwykły dziennikarz przeprowadzający wywiad. To był prokurator wypytujący podejrzanego, inkwizytor szukający herezji.

Zastanawiałam się, co sądził pan Rich o technice swojego towarzysza. Siedział na sofie, gładząc z roztargnieniem leżącą obok niego lampę błyskową. Prawie nie ruszył swego drinka. Był szczupły i całkiem przystojny w jakiś nieokreślony sposób. Wyraźnie starszy niż pan Goodman, ale z pewnością wyglądający bardziej zdrowo. Na stole przed nim leżał egzemplarz *Réalités*. Przyglądał się mu delikatnie marszcząc brwi, jak gdyby był zaintrygowany okładką. Jego zachowanie przypomniało mi nagle czytanie sztuki, w którym uczestniczyłam kilka dni wcześniej. Był to nowy francuski przekład Filokteta. Wyobraziłam sobie tłumacza, siedzącego ze spuszczoną głową i marszczącego brwi w taki sposób, jakby słuchał aktorów czytających wersy.

- Ale ostatnio coś się zmieniło, nieprawda Teo?

- Właściciel tak. Polityka nie.

- Och Teo, daj spokój. - Twarz Goodmana stała się groźna, a oczy zwęziły się. - Daj spokój, nie wciskaj mi tego.

Mój ojciec podniósł się. - Zadał mi pan pytanie, panie Goodman. Odpowiedziałem na nie. Zdaje się że jest pan zawodowym dziennikarzem. Dlaczego pańskie zachowanie o tym nie świadczy?

Podszedł, by nalać sobie następnego drinka. Stałam ciągle przy stole i widziałam, że się trzęsie. Nie powstrzymał już swej złości. Wyjęłam mu szklankę z ręki.

- Ja to zrobię.

- Dziękuję ci, Val. Tylko jeden - dodał wyraźnie - ci ludzie wychodzą za minutę.

Goodman gwizdnął cicho. - To niezbyt przyjacielsko, Teo. Dopiero co zaczęliśmy.

Mój ojciec podszedł do niego. - Wy może dopiero zaczęliście, ale ja właśnie kończę. - powiedział. - Wprosilicie się tutaj, w porządku. Teraz ja zapraszam was, abyście się wynieśli do diabła.

Goodman rozłożył ręce w kpiącym zdziwieniu. - Zadałem tylko pytanie. - Zwrócił się do Richa - Czy powiedziałem coś nie tak?

Rich wzruszył ramionami. - Może pan Carter nie chce mówić o swoim nowym właścicielu - powiedział - może ma takie polecenie.

- Tak, może. - Goodman skinął poważnie głową. - Czy tak jest, Teo?

- Nie pytaliście mnie o nowego właściciela - odparował mój ojciec - dlaczego więc sądzicie, że nie chcę wam o nim opowiedzieć?

- To prawda. W porządku, porozmawiajmy o Arnoldzie Blochu. Czy nie pomyliłem nazwiska, Teo? B-l-o-c-h? Takie podał nam dr Bruchner.

Z jakiś powodów wzmianka o dr Bruchnerze wstrząsnęła moim ojcem. Usiadł na nowo.

- Tak, zgadza się - powiedział.

- I jest w Monachium?

- Ma tam biuro.

- Niemiec?

- Mówi po niemiecku.

- Więc jest Niemcem. Zgadza się?

- Dlaczego jego nie spytacie?

- Pytamy ciebie, Teo.

- Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.

- Aha! - Goodman rozszerzył oczy w udanym zdziwieniu. - Tajemniczy człowiek, co?

- Jeśli chcecie uczynić z niego tajemniczego człowieka, to śmiało. Jako specjaliście od reklamy przemysłowej rozgłos przydałby mu się z pewnością. To dobre dla interesów.

- To kim on jest, specjalistą od reklamy przemysłowej?

- Właśnie to powiedziałem. Nie wyrażam się jasno?

- Chcemy, aby to było pewne, Teo.

Zauważyłam, że w pytanich pana Goodmana „ja” zmieniło się teraz w „my”. Podałam ojcu nowego drinka. Postarałam się, aby był mocny.

- Więc to Bloch jest odpowiedzialny za nową politykę Inter-komu. Czy tak?

Przez moment myślałam, że mój ojciec rzuci w niego drinkiem. Myślę, że gdyby miał w ręku coś innego, rzuciłby tym. W tej sytuacji odstawił ostrożnie szklankę i poczekał, zanim odpowiedział.

- Po raz ostatni - powiedział spokojnie - i to naprawdę po raz ostatni chcę powiedzieć, że nie ma żadnej nowej polityki. Panu Blochowi podoba się Interkom, taki jaki jest, i chce, aby nadal takim pozostał.

- W porządku. Tak więc Arnold Bloch jest nieobecny właścicielem, a ty jesteś facetem, który prowadzi interes. Dobrze mówię, Teo?

- Dobrze.

- Więc może przejdziemy do paru szczegółów. - Goodman wyciągnął z kieszeni mały notes i otworzył go.

- Piętnastego listopada puściłeś historię o próbnym lotach nowego myśliwca zwiadowczego FG jeden-jeden-pięć i o kłopotach, jakie z nim były.

- Tak.

- Czy to było w zgodzie z polityką wydawniczą/Mterfeomw?

- Było.

- Podając Rosjanom na talerzu kłopoty NATO?

- Nie. Ujawniając nieudolność i zaniedbania tak, by potencjalnej słabości nie pozwolić stać się rzeczywistym i prawdziwym niebezpieczeństwem.

- Rozumiem.

I wtedy mój ojciec popełnił błąd. - Czy w tym jest coś antyamerykańskiego? - zapytał.

- Ach, więc rozumiesz w czym rzecz, Teo.

- W czym?

- W tym, że pytamy cię o tę konkretną historię. Nie, nie ma nic antyamerykańskiego czy nieamerykańskiego w ujawnianiu nieudolności i zaniedbań. Robimy to cały czas, czyż nie? Ale czy także pomagamy i podnosimy na duchu nieprzyjaciela, dostarczając mu w postaci wykazu spis wszystkich kooperantów i podkooperantów od a do z? Nie, proszę pana, nie robimy tego. Nie, jeśli jesteśmy nadal tym samym starym Interkodem, znanym i kochanym przez każdego maniaka w Kongresie. Jedźmy dalej, Teo. - Przewrócił następną kartkę w notesie. - Dwudziesty drugi listopada. Historia o kłopotach z sowieckim paliwem rakietowym. Jaki był wasz punkt widzenia na tę sprawę?

Wiedziała, że mówi teraz o drugim biuletynie SEZAMU i serce podeszło mi do gardła. Ale mój ojciec prawie się uśmiechał, gdy odpowiadał. Wydawał się nie być już zły.

- Czy nie było to oczywiste? - powiedział. - Zła wiadomość dla nich jest dobra dla nas. Myślę, że mamy prawo do odrobiny otuchy.

- Czy to ty opisałeś tę historię, Teo?

- Nie, nie ja.

- Ale mówiłeś, że zawsze pisałeś cały biuletyn.

- Nie, panie Goodman, nie powiedziałem tego. Pan to powiedział. Ja powiedziałem, że redagowałem biuletyn.

- Więc kto opisał tę historię, Teo? Gdzie ją zdobyłeś?

Mój ojciec podniósł się. - W porządku panie Goodman - powiedział - gra skończona. Chciałem być życzliwy. Może jest pan zbyt głupi lub zbyt wielki z pana ignorant, aby wiedzieć, że nie można zadać takiego pytania i otrzymać czułą odpowiedź. Ale choć wiem, że jest pan głupi, jestem diabło pewien, że nie jest pan ignorantem. Więc od tej chwili wszystkie odpowiedzi będą takie same - bez komentarzy, wynoście się.

Goodman uśmiechnął się. - Spokojnie, Teo. Nie ma potrzeby dosiadać wydawniczego wysokiego konia. Zadam to pytanie inaczej.

- Gdyby nie było tu mojej córki, powiedziałbym, gdzie możesz wsadzić sobie to pytanie. Nie obchodzi mnie, jak je zadasz. Odpowiedź jest ciągle ta sama: bez komentarzy. A teraz wynoście się. Obaj.

Zapadła cisza. Rich poruszył się pierwszy. Podniósł się, wziął swój aparat i założył pasek przytrzymujący lampę błyskową na ramię.

Mój ojciec obserwował go z sardonycznym uśmiechem. - Wiesz, jak to obsługiwać? - zapytał.

Rich nie odpowiadał przez chwilę, po czym powiedział - Dziękuję za drinka panie Carter - i wyszedł do przedpokoju.

Ku memu zdziwieniu Goodman podniósł się natychmiast i nie spojrzawszy nawet na mojego ojca, poszedł za nim.

Zawahałam się, po czym wyszłam za nimi. Rich miał już na sobie płaszcz i wkładał aparat do torby. Przeszłam obok nich i otworzyłam drzwi.

Goodman był gotów pierwszy. - Dobranoc, panno Carter - powiedział. - Miło mi było panią poznać.

Poznanie go nie było przyjemnością, więc nie powiedziałam nic. W każdym razie był już na schodach.

Wyjście Richa było wolniejsze. - Dziękuję - powiedział - mogliśmy wyjść sami.

Ale w drzwiach zatrzymał się i powiedział coś innego.

- Proszę powiedzieć ojcu, aby był ostrożny, panno Carter.

- Dlaczego, panie Rich?

Wzruszył ramionami. - To jest niezdrowy świat i są na nim pewni ludzie, którzy nigdy nie przyjmą odpowiedzi „bez komentarzy”. Proszę mu to powiedzieć. Dobranoc, panno Carter.

Wtedy wyszedł. Zamknęłam drzwi i wróciłam do pokoju.

Ojciec nalewał sobie następnego drinka.

- Ten fotograf powiedział właśnie... - zaczęłam. Przerwał mi krótko. - Wiem. Słyszałem. I jest takim fotografem jak ja.

- Kim więc jest?

- Czy to nie jasne? Centralna Agencja Wywiadowcza. Jeden z gwiazdorów CIA. Zjawa. Upiór. To się czuło na milę. Cholerna bezczelność.

- Czy dlatego spytałeś go, czy potrafi obsługiwać aparat? Myślałam, że jesteś po prostu nieuprzejmy.

- Nieuprzejmy? Nazywasz to w ten sposób? A co z nimi? Najstarszy kawał świata, a oni myśleli, że mnie na to nabiorą. A ta szmata jak Goodman miała ich kryć. To obraźliwe.

- Chcesz powiedzieć, że pan Goodman nie jest z czasopisma World Reporter?

- Nie, oczywiście że nie to chcę powiedzieć. Pracuje w tym piśmie. Nie byłoby aż tak niezdarni. Zresztą to bez znaczenia. Wielu dziennikarzy podczepia się pod CIA i odwała dla nich małe robótki. Ale Goodman! I fotograf, na miłość Boską! Czy mieli coś zrobić dla rubryki z ploteczkami towarzyskimi? Kto słyszał o poufnym wywiadzie przeprowadzonym przez dziennikarza w towarzystwie fotografa? Nawet Goodman wiedział, jak jest to podejrzane. Kiedy zadzwonił do mnie do biura, nie wspomniał nic o żadnym fotografie.

- Czy znał twój domowy adres? - zapytałam.

Zamilkł na chwilę. - Ach - powiedział - rozumiem. Myślisz o tej wczorajszej historii. Niech pomyślę. Nie. Goodman chciał przyjść do biura. Powiedziałem mu, że to dzień wydawania tygodnika i że nie będziemy mogli się nawzajem usłyszeć. Zaproponowałem, żeby przyszedł tutaj i podałem mu adres. Myślałem wtedy, że będzie to bardziej towarzyskie spotkanie.

- Chodzi więc tylko o to, dlaczego Centralna Agencja Wywiadowcza nagle pragnie zadawać ci pytania. Czy zdarzyło się to już poprzednio?

- Nie. Oczywiście wściekali się na nas wiele razy. Ale działa się tak zawsze, ponieważ przysparzaliśmy im, jak to nazywali, „zbędnej pracy” przy sprawdzaniu szalonych pomysłów Generała. To jest co innego.

- Ciągłe nie wiemy dlaczego. Usiadł zmęczony.

- W porządku, Val. Nie musisz mnie naciskać. Nie jestem głupi. Wiemy dlaczego.

- Biuletyny SEZAMU?

- A co innego?

Więc powiedziałam mu, czego się dowiedziałam o M.W.Skriabinie.

Kiedy skończyłam, powiedział „O Boże” i sięgnął po więcej whisky.

Poszłam do kuchni. Było za późno, by ugotować porządną kolację, więc zaczęłam odgrzewać pot au feu. Po chwili przyszedł ojciec i stał patrząc na mnie, gdy kroiłam jarzyny, by dodać je do zupy.

Był już wtedy trochę pijany, tak jak wiedziałam, że będzie. Nie zachowywał się głupio, ale gotów był kapryścić.

Nie przeszkadzało mi to. Tej nocy sama miałam ochotę się upić. Oparł się o lodówkę.

- Wiesz co, Val? - powiedział. - Wiesz, jak to jest z nami?

- Nie.

- Większość ludzi, na przykład Goodman, kiedy ma problemy, analizuje je dogłębnie.

W porządku?

- W porządku. - Słyszałam to słowo zbyt wiele razy tego wieczora i zaczynałam go nie lubić.

- W porządku - powiedział. - My jesteśmy inni. Mamy problem. Ale czy analizujemy go dogłębnie? Nie. U nas jest to analiza powierzchowna. - Urwał. - A tak dla śmiechu - dodał powoli - jest następny biuletyn SEZAMU W wydaniu, które ukazało się dzisiaj.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Mój ojciec odszedł i po paru chwilach usłyszałam go niezdarnie otwierającego drzwi łazienki.

Część druga

RYNEK SPRZEDAWCÓW

Rozdział 5

REKONSTRUKCJA FABULARNA Od 12 do 16 grudnia

Ocena własnego położenia, poczyniona przez Teodora Cartera w nocy 13 grudnia była precyzyjna. Jego wiedza była istotnie powierzchowna.

Pod koniec tego tygodnia dr Bruchner był w podobnej sytuacji. W tym czasie i on przyjął dziwnych gości i został wciągnięty w niepokojące pogawędki.

Advokaturbureau Rungholt & Winkler w Bale jest starą firmą. Jest w niej obecnie ośmiu wspólników i większość ich praktyki dotyczy podatków i prawa o przedsiębiorstwach. Na liście wspólników dr Bruchner zajmuje miejsce czwarte.

Pamięta, że był wypytywany przez Goodmana i Richa 12 grudnia, głównie z tego powodu, iż przybyli do jego biura bez uprzedniego listownego lub telefonicznego ustalenia terminu spotkania. Zgodził się ich przyjąć dopiero, gdy wyznali, że przybyli z Paryża specjalnie, by się z nim zobaczyć.

Spotkanie było krótkie. Jak tylko kierunek pytań Goodmana stał się oczywisty, dr Bruchner pozbył się ich, wyjaśniając że jego związek z Przedsiębiorstwem Wydawniczym Interkom SA ma charakter czysto prawny i finansowy i że polityka wydawnicza Inter-komu nie była jego domeną. Odesłał ich do Cartera. W odpowiedzi na dalsze pytania powiedział im jednak o istnieniu Arnolda Blocha i o posiadanych przez niego udziałach. Nie było powodu ukrywać faktów, które były powszechnie dostępne w Rejestrze Handlowym w Zug. Dopuścił się tylko jednego drobnego oszustwa. Pozwolił im uwierzyć, że jego odmowa udzielenia jakichkolwiek dalszych informacji na temat Herr Blocha była umotywowana zawodową dyskrecją. Jego powściągliwość była zrozumiała. Dr Bruchner zaczynał już traktować swoją ignorancję co do Herr Blocha jako odrobinę niedorzeczną i niechętnie afiszował się z nią bez potrzeby - Kiedy Goodman powiedział, iż być może później zdecydują się przeprowadzić wywiad z Arnoldem Blochem osobiście, dr Bruchner uznał to za dobry pomysł i życzył im powodzenia. Kiedy dyszli, polecił sekretarce kupować międzynarodowe wydanie

World Reporter'a przez kilka najbliższych tygodni i szukać w nim wzmianek na temat Interkomu.

Rankiem 14 grudnia otrzymał telefon od Teodora Cartera. Było to po tym, kiedy Goodman i Rich odwiedzili Cartera w jego mieszkaniu.

Carter był w stanie silnego wzburzenia i chwilami trudno go było zrozumieć. Chciał się dowiedzieć, jak może skontaktować się z Arnoldem Blochem. Powiedział, że sprawa jest pilna i najwyższej wagi, ale nie chciał powiedzieć dlaczego ani też, co miało być przedmiotem rozmowy. Kiedy dr Bruchner podał mu monachijski numer, Carter powiedział coś po angielsku o tym, że się stara, czego dr Bruchner nie do końca zrozumiał, a potem wyjaśnił, że od dwóch godzin wykręca ten numer bezskutecznie. Dr Bruchner zaczął sugerować, by wysłał telegram, kiedy Carter nagle odłożył słuchawkę.

Pięć godzin później dr Bruchner osobiście starał się porozumieć pilnie z Arnoldem Blochem.

Było to po jego spotkaniu z dr Schwobem.

Bank Schwoba z Bale jest wielce szacowaną instytucją. W Szwajcarii prywatbankier działa w podobny sposób jak bankier w Londynie lub Nowym Jorku. Zarządza pieniędzmi inwestorów. Główna różnica pomiędzy prywatnym bankierem ze Szwajcarii a jego anglosaksońskim odpowiednikiem polega na tym, że prawo zabrania Szwajcarowi przekształcić swój bank w spółkę akcyjną i cieszyć się ograniczoną odpowiedzialnością. Musi zabezpieczać swoje działania osobistym majątkiem. Dr Julius Schwob jest bankierem w trzecim pokoleniu i jego majątek jest znaczny. Nagła prośba o szybkie spotkanie od takiego człowieka mogła pochwalić nawet prawnikowi o pozycji i doświadczeniu, jakie posiadał dr Bruchner. Niezwłocznie pozmieniał terminy swoich spotkań tego popołudnia, by dopasować się do bankiera.

Spotkanie odbyło się w nieco zaniedbanym biurze dr Schwoba, mieszczącym się na drugim piętrze. Oprócz dr Schwoba i dr Bruchnera dodatkowo obecny był zastępca szefa banku.

Zastępca notował. Dr Schwob mówił najwięcej.

- Mamy klienta - powiedział - który jest zainteresowany kierowaną przez pana spółką należącą do obcokrajowca.

Dr Bruchner kierował kilkoma spółkami będącymi własnością cudzoziemców, skinął więc tylko uprzejmie głową i czekał.

- Przedsiębiorstwo Wydawnicze Interkom SA - powiedział dr Schwob.

Prawnikiem nie udało się powstrzymać odgłosu zdziwienia, który wydobył mu się z gardła.

Dr Schwob przyjął ten dźwięk jako wyraz rozczarowania. Pełne dezaprobaty wzruszenie ramion wskazywało jasno, że zainteresowanie jego klienta nie jest podzielane ani pochwalane przez Bank Schwoba. - Zdaję sobie sprawę, że to niewielki interes - powiedział - nie z tych, którym poświęca pan dużo swego cennego czasu. Niemniej jednak, dla naszego klienta jest w jakiś sposób korzystny. Czy moglibyśmy poznać obecny status większości udziałów uprzednio należących do pańskiego zmarłego klienta, Amerykanina Novaka?

- Oczywiście. Na początku listopada udziały zostały zakupione od spadkobierców Novaka przez Herr Arnolda Blocha z Monachium.

- Który nadal je posiada?

- Tak.

- Czy występuje pan w imieniu Herr Blocha?

- Nie jestem jego osobistym pełnomocnikiem, ale w kwestii tej spółki działam według jego instrukcji i na jego rachunek.

- Mógłby pan więc przekazać mu ofertę na kupno udziałów?

- Tak, mógłbym. Herr Bloch, według mojej wiedzy działa w porozumieniu z pewnymi francuskimi i zachodnio-niemieckimi partnerami.

- Czy Herr Bloch jest przemysłowcem?

- Jest konsultantem od spraw stosunków przemysłowych i reklamy.

- Niemniej jednak zakładam, że jego partnerzy nie byłoby przeciwni osiągnięciu zysku ze swej inwestycji, jeśli dana by im była ku temu okazja.

Dr Bruchner pomyślał chwilę, zanim odpowiedział. Powody, które podał Bloch przy kupnie Interkomu, były przekonujące i zgodził się z nimi. Bloch planował wykorzystać go do przetarcia drogi dla wyrobów i usług swoich partnerów do osób mogących wpłynąć na przyznanie rządowych zamówień i z tego powodu był przygotowany zapłacić dobrą cenę za udziały. Przypuszczalnie nadal planował wykorzystać go w ten sposób. Było możliwe - dr Bruchner nie wiedział nic o memorandum SEZAMU przesłanym Carterowi ani o biuletynach, które zostały opublikowane - że już to czynił. W takim przypadku Bloch nie byłby zainteresowany w odsprzedaży, dla marnego zysku z dziesięciu tysięcy dolarów. Dr Bruchner zdecydował się.

- Jestem gotów przedstawić każdą ofertę na udziały, jaką będzie pan skłonny złożyć - powiedział - ale myślę, że powinienem panu powiedzieć, iż Herr Bloch i ci, których reprezentuje, nie kupili spółki Interkom z nadzieją czy celem osiągnięcia zysków z jej sprzedaży. Celem było utrzymanie i kontrola działającego serwisu informacyjnego, który czasem może być pośrednio użyteczny w innych prowadzonych przez nich interesach. Herr

Bloch i jego partnerzy są osobami zamożnymi. Jest oczywiście możliwe, iż byliby skłonni sprzedać, ale według mnie, oferta na udziały musi być poważna, aby stanowiła wystarczającą zachętę.

Dr Schwob spojrział lekceważąco. - Zapłacili za udziały dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich - powiedział. - Czy potraktowałby pan ofertę pięćdziesięciu tysięcy za wystarczająco poważną?

- Pięćdziesiąt tysięcy franków?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich. Dr Bruchner zachował spokój. Nie pozwolił sobie na otwarcie ust i skutecznie przeciwstawił się odruchowi niemądrego grymasu.

- Tak, potraktowałbym to jako poważną ofertę - powiedział. - Czy to jest oferta, którą chce mi pan przekazać?

- Tak jest.

- Czy mógłbym więc otrzymać ją na piśmie?

- Może pan. - Dr Schwob skinął na zastępcę, ten zaś wydobył dokument z teczki, którą się opiekował. - Jednak muszę zaznaczyć, że oferta jest warunkowa. Będzie ważna tylko przez dwa dni, to znaczy do zamknięcia banku w piątek. Jeśli do tego czasu nie zostanie przyjęta, musi zostać uznana za nieważną.

Dr Bruchner myślał szybko. - Być może nie będę w stanie otrzymać w tym czasie odpowiedzi - powiedział. - Jak już panu mówiłem, Herr Bloch nie jest jedyną zainteresowaną osobą.

- On jest właścicielem udziałów. Jeśli pragnie skonsultować się ze swymi partnerami, może to uczynić telefonicznie. Nie mamy zamiaru pozwolić, aby nasza oferta była użyta jako element przetargu.

Dr Bruchner chciał powiedzieć, że oferta kupna nie może być użyta jako element przetargu, kiedy jest tylko jeden kupiec, ale rozmyślił się. Jeżeli dr Schwob naprawdę sądził, że byli inni gotowi zapłacić dziwaczne ceny za udziały Interkomu, nie był to czas na pozbawianie go tej iluzji. Dr Bruchner serdecznie pragnął, aby dopuszczalne było pytanie o nazwisko hojnego klienta Banku

Schwoba. Herr Bloch bez wątpienia też chciałby to wiedzieć. Ale nic nie można było zrobić w tej sprawie. Pytanie byłoby nie tylko niewyobrażalnie niedyskretne, ale jako iż nie byłoby odpowiedzi - bezsensowne.

Powiedział więc tylko: - Bardzo dobrze. Zrobię co mogę, by skontaktować się dzisiaj z Herr Blochem. W każdym razie skontaktuje się z panem znowu do piątku.

Powrócił do swego biura i rozpoczął próby nawiązania kontaktu z Arnoldem Blochem.

Numer monachijski nie odpowiadał. Pamiętając o kłopotach, na jakie uskarżał się rano Carter, dr Bruchner nie był zdziwiony. Zredagował telegram opisujący ofertę i piątkowy, ostateczny termin, prosząc o natychmiastową odpowiedź. Wysłał go na adres w Monachium. Później, po namyśle, wydał polecenie, aby kopia telegramu została wysłana do Arnolda Blocha poprzez monachijski bank, z którego usług korzystał, kiedy płacił za udziały.

W czwartek po południu ciągle nie było odpowiedzi od Blocha. Sekretarka dr Bruchnera znów próbowała dodzwonić się pod monachijski numer, ale i tym razem bez rezultatu. Zadzwoiła do banku w Monachium. W banku powiedzieli, iż nie mogą udzielać informacji na temat swoich klientów, ale na życzenie mogą przekazać list.

W piątek rano dr Bruchner był zaniepokojony. Obiecał przekazać odpowiedź dr Schwobowi tego dnia przed zamknięciem banku i wyglądało na to, że jego odpowiedź będzie żenującym wyznaniem, iż nie był w stanie skontaktować się ze swoim klientem. Oczywiście mógłby zwrócić się o przedłużenie terminu i możliwe, że zgodzono by się. Ale nie był to sposób, w jaki chciał prowadzić interesy z ludźmi formatu dr Schwoba.

Powiedział swojej sekretarce, by spróbowała połączyć się z Monachium raz jeszcze i by robiła to w odstępach godzinnych.

O dziesiątej telefon odebrano. Chwilę później sekretarka rozmawiała z dr Bruchnerem.

- Monachium - powiedziała zdyszana - policja chce z panem mówić.

- Jaka policja?

- Monachijska policja, Herr Doktor. Policja odebrała telefon.

- Dobrze.

Mężczyzna z Monachium przedstawił się jako detektyw policji kryminalnej.

- Czy jest pan adwokatem Herr Blocha?

- Jestem jego przedstawicielem w Bale. O co chodzi? Co się stało?

- Właśnie to badamy, Herr Doktor. Sprzątaczką powiadomiła dziś rano dozorcę domu, że do biura Herr Blocha ktoś włamał się tej nocy. Dozorca powiadomił nas. Jestem teraz w biurze. Czy zna pan tutejsze biuro Herr Blocha?

- Nie.

- To mały lokal, pomieszczenie dla sekretarki i gabinet. Jest tu biurko i szafa na akta. Wydaje się, że zostały przeszukane. Herr Blocha nie ma w tej chwili w Monachium, a dozorca nic nie wie o miejscu jego pobytu. Nie możemy stwierdzić, czy coś zginęło, dopóki

Herr Bloch lub jego przedstawiciel nie zrobi inwentaryzacji. Czy wie pan, gdzie można znaleźć Herr Blocha?

- Myślałem, że jest w Monachium. Dlatego dzwonię do jego biura. Jego bank zna adres, pod którym można się z nim skontaktować. Bez wątpienia podadzą go na żądanie policji, skoro miał miejsce taki wypadek.

Podał nazwę banku i swoje własne nazwisko i numer telefonu w Bale. - Jeśli dotrze pan dzisiaj do Herr Blocha - dodał - proszę powiedzieć, aby skontaktował się ze mną natychmiast.

Detektyw powiedział, że tak zrobi.

Tuż po godzinie trzeciej tego popołudnia, kiedy dr Bruchner starał się wymyślić najlepszy sposób na przedstawienie dr Schwobowi prośby o przesunięcie terminu, nadszedł telegram od Arnolda Blocha.

OFERTA Z BANKU SCHWOBA POWINNA BYĆ ODRZUCONA JAKO CAŁKOWICIE NIEADEKWATNA. POINFORMOWAĆ ŻE OFERTA W DOLARACH USA WYSOKOŚCI PÓŁ MILIONA BĘDZIE TRAKTOWANA JAKO MINIMALNA PODSTAWA DLA POWAŻNYCH NEGOCJACJI. JAKAKOLWIEK ZWŁOKA UMOŻLIWIAJĄCA KONKURENCYJNE OFERTY NIEWĄTPLIWIE ZWIĘKSZY MOŻLIWĄ DO ZAAKCEPTOWANIA CENĘ. POWIADAMIAĆ O POSTĘPACH TELEGRAFICZNIE POSTE RESTANTE 1065 BRUKSELA. KOPIA DO MONACHIUM.

BLOCH

Telegram został wysłany ze Stuttgartu.

Dr Bruchner przeczytał go dokładnie dwa razy i doszedł do wniosku, że Arnolda Blocha opuściły zmysły i postanowił nie zwracać uwagi na większość jego instrukcji.

Kiedy połączył się z dr Schwobem, powiedział tylko, że Herr Bloch odrzuca ofertę.

- To znaczy, że nie chce sprzedać za żadną cenę? - zapytał dr Schwob.

- Nie, tego nie powiedział. Określił ofertę, jaką pan złożył, jako nieadekwatną.

- Czy podał panu jakieś wskazówki co do tego, jakie warunki uznałby za wystarczająco dobre?

Dr Bruchner zaczął się pocić. Nie chciał przytoczyć astronomicznej ceny wymienionej w telegramie Blocha z obawy, iż zostanie uznany za szalonego i nieodpowiedzialnego. Musiał wziąć pod uwagę tradycyjną reputację swoją i swojej firmy. Z drugiej strony nie miał najmniejszej ochoty okłamać dr Schwoba. Jeśli klient bankiera był gotów zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za udziały o nominalnej wartości dziesięciu tysięcy, niewątpliwie pragnął ich bardzo. Może nawet był zdecydowany je uzyskać. Nie jest wykluczone, że taki

człowiek doznawszy niepowodzenia mógł zdecydować się na bezpośredni kontakt z Arnoldem Blochem. Wszystkie strony dowiedziałyby się, że dr Bruchner nie tylko nie posłuchał pisemnej instrukcji swego klienta, ale także wypaczył jej znaczenie. Zostałby uznany winnym postępowania sprzecznego z etyką zawodową. Na wszelki wypadek postarał się zabezpieczyć.

- Herr Bloch sygnalizuje, iż nie uważa, że pańska obecna oferta może stanowić choćby punkt wyjścia dla poważnych negocjacji - powiedział. - Nie twierdzi, powtarzam, że nie sprzeda pod żadnym warunkiem. Ale wyraźnie nie godzi się na sprzedaż poniżej ceny którą, obawiam się, pański klient uzna za wygórowaną. - Brnął pośpiesznie naprzód, jak najdalej od tej niebezpiecznej strefy. - Jak już powiedziałem panu podczas naszego ostatniego spotkania, Interkom nie ma dla Herr Blocha bezpośredniej wartości handlowej. Posiada wartość pośrednią, odmienną i zupełnie nie związaną z jego pozorną wartością jako działającego przedsiębiorstwa i z pewnością znacznie większą.

Ostatniej części jego przemowy towarzyszyły oznaki zniecierpliwienia dobiegające ze strony dr Schwoba. Teraz przerwał mu.

- Oczywiście - powiedział - nasz klient miał tę, jak ją pan nazywa, pośrednią wartość na myśli, kiedy prosił nas, abyśmy złożyli ofertę w jego imieniu. Liczby mówią za siebie.

Przez moment dr Bruchner poczuł się swobodniej. Jeżeli obaj, bankier i jego klient akceptowali fakt, że to, co chcieli kupić za wygórowaną cenę, nie było chylącym się ku upadkowi małym przedsiębiorstwem wydawniczym, ale wartościowym uzupełnieniem tego przedsiębiorstwa, dodatkiem tak nienaruszalnym i trudnym do wyceny jak, powiedzmy, reputacja i wyrobione stosunki, wtedy cała rozmowa stawała się nagle bardziej realna. Potencjalnym kupcem był prawdopodobnie jeden z handlowych rywali Arnolda Blocha, zdecydował dr Bruchner.

Jego ulga była krótkotrwała. Zaczął opowiadać coś o trudnościach w uzgodnieniu godziwej w takich przypadkach ceny, kiedy dr Schwob przerwał stanowczo.

- Ile? - powiedział.

Dr Bruchner zaczął mówić coś niewyraźnie.

- Ile? - powtórzył ostro dr Schwob.

Dr Bruchner nadal starał się odwlec fatalną chwilę.

- Pół miliona - wymamrotał. Ale dr Schwob był nieubłagany.

- Franków? - zapytał.

Nie mogło być dalszych uników. Dr Bruchner odetchnął głęboko. - Nie, dolarów amerykańskich - powiedział i czekał na niebo, które miało zwalić mu się na głowę.

Ku jego całkowitemu zaskoczeniu nic się nie stało. Nastąpiło dwusekundowe milczenie, a potem dr Schwob powiedział spokojnie.

- Przepraszam na chwilę.

Dłuższe milczenie. Bankier zastanawiał się, po czym odezwał się z powrotem.

- Nie ma wątpliwości co do tej sumy, doktorze Bruchner? Czy nie istnieje możliwość pomyłki?

- Żadna. Otrzymałem od Herr Blocha instrukcje na piśmie.

- Rozumiem.

Nabrawszy odwagi dr Bruchner przekazał resztę swych instrukcji.

- Miałem także zakomunikować panu, że pół miliona jest traktowane jako cena minimalna. Jeśli opóźnienia w negocjacjach dadzą czas innym na wniesienie korzystniejszych ofert, Herr Bloch nie będzie się czuł zobowiązany do przyjęcia pół miliona. Nie jest to w żadnym wypadku jedyna oferta sprzedania po z góry ustalonej cenie.

- Rozumiem, jaka jest sytuacja. - Ton dr Schwoba był spokojny i czysto handlowy. - Oczywiście, porozumiemy się z naszym klientem. Jeśli zdecyduje się poinstruować nas co do dalszych kroków, damy panu znać.

- Dziękuję panu. - Dr Bruchner doszedł już całkiem do siebie. - Czy życzy pan sobie, abym wysłał list potwierdzający kontrpropozycję Herr Blocha?

- Nie wydaje mi się to konieczne. - Bankier urwał, jak gdyby chciał zakończyć rozmowę, ale po chwili ciągnął dalej. - Pański klient to dzielny człowiek, dr Bruchner.

- Wydaje się, że wie, czego chce.

- Ufam, że w parze z tą wiedzą idzie rozważa.

Ponieważ osobiście uważał, że jego klient zwariował, Dr Bruchner nie był pewien, co ma na to odpowiedzieć.

- Chciałbym żywić taką nadzieję - powiedział niezręcznie. Dr Schwob stał się nagle jowialny.

- Ja także chciałbym żywić taką nadzieję - powiedział. - Do widzenia, dr Bruchner.

- Do widzenia, dr Schwob.

Dr Bruchner odłożył słuchawkę, otarł czoło chusteczką i wezwał swoją sekretarkę. Do Herr Blocha w Brukseli wysłał następujący telegram.

BANK SCHWOBA ROZWAŻA PAŃSKIE WARUNKI. BĘDZIEMY INFORMOWAĆ O POSTĘPACH. Z PRZYKROŚCIĄ ZAWIADAMIAM MONACHIJSKA POLICJA MELDUJE DO PAŃSKIEGO BIURA WŁAMALI SIĘ OSTATNIEJ NOCY

NIEZNANI SPRAWCY. POLICJA PROSI O SZYBKIE PRZYBYCIE PANA LUB UPOWAŻNIONEJ OSOBY W CELU OKREŚLENIA STRAT.

BRUCHNER

Następnie pomyślał o rozpaczliwym telefonie Teodora Cartera z początku tygodnia i rozważył przekazanie mu adresu Blocha na poste restante w Brukseli. Zdecydował, że tego nie robi. Minęły dwa dni bez dalszych wiadomości od Cartera, więc można było zakładać, że jego potrzeba porozumienia się z Blochem nie była już pilna. Wiedział, że jest to z jego strony pobożne życzenie, ale mając tak zaprzątniętą uwagę Interkodem nie chciał słyszeć właśnie teraz o kłopotach Cartera. Carter mógł poczekać.

Poprosił o bieżący skoroszyt z Interkodem. Jego sekretarka pozbywała się przysyłanych co tydzień numerów, umieszczając je w skoroszytach. Były takie dla każdego rocznika, przechowywane na półce w jej pokoju. Swego czasu dr Bruchner sięgał niekiedy po nie - zazwyczaj, by przygotować się na spotkanie z Generałem - ale ostatnio nie miał sposobności tego uczynić. Jak powiedział Goodmanowi, to co ukazywało się w Interkocie, nie miało z nim nic wspólnego. Zarządzał interesami przedsiębiorstwa. Reszta była w rękach Cartera.

Teraz jednak rzeczy uległy zmianie. Spokojne przyjęcie przez dr Schwoba nedorzecznej kontrproponcji Blocha zaciekało prawnika. Teraz zastanawiał się też, czy i w jaki sposób jego własna pozycja ulegnie zmianie, jeśli udziały spółki przejdą w inne ręce za dużą sumę pieniędzy. Mówił bez zająknięcia o pośrednim znaczeniu i wartościowym uzupełnieniu, ale dlaczego nikt nie zauważył wcześniej, że one istniały? Za życia Generała nigdy nie miało miejsca zasięganie informacji o udziałach Interkomu ani tym bardziej próba kupna. A jednak w ciągu trzech miesięcy od jego śmierci znalazły się dwie oferty: pierwsza Blocha - który zapłacił za nie więcej, niż wydawały się być warte - i teraz od klienta Banku Schwoba. Co się stało z Interkodem? Dlaczego nagle posiadanie go stało się tak pożądane?

Zaczął czytać.

Dr Bruchner jest nie tylko wykształconym prawnikiem. Jako sprawny fizycznie, dorosły Szwajcar poniżej sześćdziesiątki jest także wyszkolonym żołnierzem. Jest majorem rezerwy i jego coroczne ćwiczenia obejmowały uczestnictwo w kursach sztabowych.

Nie miał trudności z wyszczególnieniem biuletynów SEZAMU jako prawdopodobnego wkładu Blocha. Było oczywiste, że nie zostały napisane przez Cartera. Jednak satysfakcja pochodząca z konstatacji, że mógł wykryć stylistyczne różnice w języku angielskim, była krótkotrwała. Jakkolwiek nie był wystarczająco dobrze poinformowany, by zidentyfikować biuletyny jako przeciek tajnych informacji NATO i Układu Warszawskiego,

wiedział wystarczająco dużo, by uznać je razem za nader niepokojące. Przeglądając je w kontekście niedawnej rozmowy z dr Schwobem, zaczął się niepokoić. Miał podejrzenie, że z Interkomem działy się rzeczy, o których raczej nie miał ochoty się dowiadywać.

Może więc lepiej, zastanawiał się, nie dochodzić niczego więcej? Może lepiej zostawić to w spokoju? W końcu on sam działał w całkowicie dobrej wierze, tak jak bez wątplenia dr Schwob. Byli po prostu zaufanymi pośrednikami pomiędzy potencjalnym kupcem i potencjalnym sprzedawcą części udziałów spółki. Motywy zleceniodawców nie były ich sprawą ani od strony prawnej, ani moralnej.

Niemniej jednak dr Bruchner lubił opuszczać swe biuro z czystym zawodowym sumieniem i tego wieczora postanowił oczyścić je przez zmianę decyzji, którą powziął był wcześniej. Zadzwoił do Teodora Cartera z myślą podania mu adresu poste restante Blocha w Brukseli.

Nikt nie odbierał w biurze Interkomu - było po szóstej - więc połączył się z domowym numerem Cartera. Tam też nikt nie odpowiadał. Dr Bruchner wysłał więc Carterowi telegram z adresem. Miał uczucie, że w tych okolicznościach uczynił wszystko, co mógł zrobić.

Rozdział 6

TEODOR CARTER spisane z taśmy magnetofonowej

Powodem, dla którego dr Bruchner nie był w stanie złapać mnie telefonicznie tamtej piątkowej nocy, był fakt, że w tym czasie właśnie mnie porywano.

Pamiętając o tym, panie L, wiem, że nie będzie pan rozczarowany, kiedy powiem, że pański wstrząsający opis heroicznego targowania się Herr Doktora z wielkim, złym Bankiem Schwoba nie wzrusza mnie do łez. To samo dotyczy dalszych epizodów o roztrzęsionych dłoniach i rozterkach duszy. Gdyby ten tępny idiota posiadał choć trochę zdrowego rozsądku - nie mówiąc o uczciwości - by powiedział mi wtedy o tej szaleńczej licytacji, wyjaśniłbym mu, co dzieje się u mnie. Razem mogliśmy zdać sobie sprawę z tego, o co chodzi, i może powstrzymać te psie figle, zanim komuś stała się krzywda. Ale nie.

„Carter był w stanie silnego wzburzenia i chwilami trudno go było zrozumieć.”

Błąd w obu przypadkach, panie L. Użyłem po prostu jakiegoś angielskiego idiomu, którego on nie rozumiał. Nie byłem w najmniejszym stopniu wzburzony. Jego głupota doprowadziła mnie w końcu do furii, oto co się stało. Widzi pan, kiedy zadzwoniłem do niego rankiem tej środy, otrzymałem właśnie nowe memorandum od pana cholernego Blocha i

następny biuletyn SEZAMU. I byłem chory ze strachu. Gdyby był pan na moim miejscu, też by się pan bał, może mi pan wierzyć.

Wyzywano mnie już w życiu przeróżnie, ale nikt nigdy nie powiedział, że jestem bucem. Przyznaję, że na początku oszukiwałem się trochę co do tych biuletynów. Robiłem to starając się wytłumaczyć je w kategoriach zamiarów zgłoszonych przez Blocha, ale nie trwało to długo. Mam na myśli, że gdyby wierzyło się nadal, że biuletyny SEZAMU były tylko niewinnymi próbami zjednania dla interesów ważniaków z Pentagonu i innych miejsc, oznaczałoby to, że jest się słabym na umyśle. Po tym jak CIA napisała tę egzaltowaną scenkę odegraną przez Goodmana i Richa, nie mogłem nawet udawać, że wierzę.

Więc w co zamiast tego mogłem uwierzyć?

To wszystko bardzo proste dla pana, panie L. Pan wie, co jest grane. Ale ja wtedy nie wiedziałem. I to proste dla Val być tak mądrą. Przy okazji, ona nigdy nie powiedziała by czegoś o mnie tu ten zimnokrwisty, pseudoanalityczny sposób, zanim nie zaczęła chodzić z tym psychiatrą. Nigdy. Niejest już tą samą osobą

Gdzie byłem? Ach, tak. W co mogłem uwierzyć?

To pana rozśmieszy, panie L, naprawdę rozśmieszy.

Zacząłem mieć brzydkie podejrzenia, że interesem, w który zaangażowany był Bloch i jego tajemniczy klienci, nie było kupczenie bronią, ale kupczenie tajemnicami. Czy to nie śmiechu warte? Podejrzywałem, że chcieli zrobić z Interkomu wystawę sklepową. Dlaczego nie? Skalkulowana niedyskrecja. „Chcecie najsoczystszych tajemnic, mamy je. Oto próbka naszych towarów, abyście wiedzieli, że jakość jest w porządku. Zamówcie jeszcze dziś nasz katalog albo skontaktujcie się bezpośrednio z Arnoldem Blochem i Partnerami”. Jest wiele sprytnych typków działających na obrzeżach wywiadowczych machinacji. Wprowadzenie nowoczesnych metod sprzedaży do drugiego najstarszego zawodu świata mogło być od dawna potrzebne.

Skąd mogłem wiedzieć, że to, czym naprawdę kupczyli, było milczenie?

W porządku, nie popadajmy w retorykę. Zapomnijmy o tym, co myślałem. Oto co zrobiłem.

Tej nocy, kiedy Goodman i Rich wyszli, a Val powiedziała mi, czego dowiedziała się o towarzyszu Skriabinie, postanowiłem, że pierwszą sprawą następnego dnia będzie dopadnięcie Arnolda Blocha i spytanie go, w co do cholery gra. Postanowiłem też, że dopóki go nie zobaczę i dopóki nie przekona mnie zarazem, że moje podejrzenia są niesłuszne i że istnieją wystarczające powody dla publikowania tych dziwacznych materiałów, wstrzymam

się z tym. Później, kiedy dotarłem do biura następnego ranka, czekało na mnie drugie memorandum od Blocha.

DO: Teodor Carter, Genewa OD: Arnold Bloch, Monachium TEMAT: Bezpieczeństwo

POUFNE

Publikacja biuletynów SEZAMU W ostatnich tygodniach miała, miło mi o tym donieść, nadzwyczaj zadowalający wpływ na rynki, którymi moi partnerzy są szczególnie zainteresowani. Do pańskiej wiadomości mogę podać, że biuletyny pomogły naszym francuskim przyjaciołom w nawiązaniu ważnych interesów i w otwarciu dróg które uprzednio musieliśmy uważać za zamknięte. Plany na przyszłość wydają się wspaniałe Nie potrzeba dodawać, że pańska współpraca i ściśle trzymanie się litery instrukcji przyczyniły się istotnie do tego pożądanego stanu interesów. Może być pan pewien, że ten wkład nie pozostanie bez wynagrodzenia.

Jednakże, jak było do przewidzenia, konkurenci naszych partnerów chcieli sparować siłę uderzeniową tej nowatorskiej taktyki promocyjnej przez próby jej zdyskredytowania. Zostaliśmy wiarygodnie poinformowani, iż podjęte zostały ostatnio wysiłki mające na celu przekonanie niektórych zachodnich agencji rządowych - min. mówi się o BND (Bundesnachrichtendienst) - by wywrzeć na nas nacisk dla powstrzymania publikacji informacji technicznych, w niezwykle sposób uzasadniając to tym, iż przez otwarte naruszenie środków bezpieczeństwa Układu Warszawskiego zachęcamy władze sowieckie do odwetu.

Stanie się dla pana natychmiast zrozumiałe, że poddanie się takiej presji byłoby całkowicie sprzeczne z tradycyjnie antykomunistyczną, antysowiecką Unią polityczną Interkomu Gdyby czynione panu były jakiegokolwiek sugestie tego typu, to z tytułu pańskich edytorskich uprawnień powinien pan je bezzwłocznie odrzucić dla powyższych przyczyn. Powinien pan też zaznaczyć, że tak czy inaczej nie zależy to od pańskiego uznania. Wywiązuje się pan z polityki prowadzonej przez właścicieli Przedsiębiorstwa Wydawniczego Interkom SA Jeśli będzie pan naciskany, powinien pan natychmiast skierować osobę lub osoby podejmujące takie próby do mnie. Nie muszę panu przypominać, że każde takie mieszanie się w sprawy szwajcarskiego przedsiębiorstwa jakiegokolwiek zagranicznej agencji rządowej wspomnianego wyżej rodzaju nie będzie tolerowane przez szwajcarskie służby bezpieczeństwa Może jednak zaistnieć potrzeba przypomnienia tych faktów innym, jeśli takie próby będą miały miejsce.

Będę wdzięczny za natychmiastowe informacje telegraficzne o każdym z takich przypadków, tak by mogły zostać podjęte kroki w celu zapobieżenia ich ponawianiu Agencje,

których to dotyczy, powinny być określane po prostu za pomocą ich narodowości (np. Niemcy, Amerykanie, Anglicy, eta), a rodzaj użytej argumentacji dyskretnie przytoczony. Okoliczności takiego kontaktu i sposobu, w jaki się odbył, należy także krótko scharakteryzować.

Nie można przecenić wagi utrzymania naszej niezależnej pozycji i bezwzględności prawa do publikacji „bez obaw i stronniczości” naukowych i technicznych informacji interesujących naszych czytelników. Nie możemy okazać słabości, skłonności do kompromisu i zgody na zastraszenie. Trzymana twardo nasza pozycja jest nie do zdobycia i zarówno nasi konkurenci, jak ci wątpliwi sprzymierzeńcy, o których pomoc się ubiegają wkrótce będą musieli to uznać.

Załączam Biuletyn SEZAMU Numer Sześć dla włączenia go do następnego wydania. Biuletyn Numer Siedem, który omawia ze szczegółami obecną politykę zakupów NATO, powinien dotrzeć do pana za kilka dni. Można oczekiwać, iż wzbudzi poważne międzynarodowe zainteresowanie i kontrowersje.

Bloch

Kiedy skończyłem to czytać, miałem chaos w głowie. To memorandum zakręciło mną. Zareagowałem mniej więcej jak dr Bru-chner, kiedy otrzymał telegram od Blocha z jego wstępną ceną za udziały Interkomu. Zacząłem się zastanawiać, czy Arnold Bloch i jego współnicy są całkiem normalni.

Obejrzałem Biuletyn Numer Sześć.

Był zatytułowany „Zastosowanie z powodzeniem elektretów w nowym systemie naprowadzania torped”.

Z samego biuletynu byłem w stanie zrozumieć tylko to, że Królewska Naukowa Służba Morska {sic} Brytyjskiego Ministerstwa Obrony opracowała torpedę na użytek łodzi podwodnych przeznaczonych do zwalczania celów podwodnych, z nowym systemem naprowadzającym, wykorzystującym ceramiczne elek-trety w chronometrażu i elementach przechowywania pamięci. Reszta strony była technicznym szwargotaniem.

Nie wiedziałem nawet, co to jest elektret. Jako że Królewska Marynarka najwyraźniej wiedziała, spróbowałem znaleźć to w trzy-uastotomowym słowniku oxfordzkim. Nie było go tam. Jednak znalazłem w dużym Websterze. Elektret jest to, cytuję, „dielektryk, w którym wytworzony został stan ciągłej elektrycznej polaryzacji”. Jeśli coś to panu mówi panie Latimer, to gratulacje.

Zrozumiałem z tego tyle, iż Bloch był nadal najwyraźniej przekonany, że interesom jego współników najlepiej służyło rozdmuchiwanie tajemnic wojskowych, i nie wydawał się

przejmować czyje tajemnice rozdmuchuje. Chłopcy z NATO byli przyszpilani tak samo często jak łobuzy z Układu Warszawskiego. Nie myślałem, aby to była dobra metoda na zjednywanie sobie przyjaciół na wysokim szczeblu, chyba że wysokie szczeble, które miało się na myśli, znajdowały się w Czerwonych Chinach lub Organizacji Jedności Afrykańskiej. Jeśli Arnold Bloch nie był skończonym tumanem, musiał z pewnością wiedzieć coś, czego ja nie wiedziałem.

Powróciłem do memorandum jeszcze raz i kiedy czytałem je powtórnie, gubiłem się coraz bardziej. Zacząłem być także zły. To ten akapit z napomnieniami tak mnie zirytował.

Wiem, panie L, twierdzi pan, że dlatego tam został umieszczony, aby podbechtać mnie do działania wbrew sobie. Nie zgadzam się. Niech pan nie zapomina, że spotkałem pańskiego „pułkownika Josta” i nie rzucił mi się w oczy ten rodzaj subtelności, jaki mu pan przypisuje. Tak naprawdę zirytowała mnie w tym fragmencie jego brutalna arogancja. „Nie możemy okazać słabości, skłonności do kompromisu i zgody na zastraszenie”. Pompatyczny sukinsyn! Proszę pamiętać, że dla mnie mówił to ciągle Arnold Bloch i to była rzecz, która stanęła mi kością w gardle. Może nie zawsze byłem obrońcą prawdy, ale nie zamierzałem słuchać pouczeń o wolności prasy i obowiązku publikowania bez obaw i stronniczości od jakiegoś cholernego faceta zajmującego się reklamą.

Powtórna lektura tego memorandum nie zmieniła mojego zdania o niczym. Sprawiała tylko, że stałem się bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany spotkać się z Blochem osobiście lub przynajmniej z nim porozmawiać. Były pytania, na które chciałem uzyskać odpowiedź. Chciałem też poznać jego reakcję na wiadomość, że to CIA a nie BND (dla pańskiej wiadomości, panie L: zachodnio-niemiecka służba wywiadowcza) pragnęła naszej krwi i że ja zacznym rozumieć ich punkt widzenia.

Wtedy zacząłem telefonować.

Kiedy przekonałem się, że nie połączę się z Monachium, napisałem telegram.

DZIŚ OTRZYMAŁEM MEMORANDUM. W CZORAJ KONTAKT Z AMERYKANAMI PYTAJĄCYMI O ŹRÓDŁA SEZAMU. TWIERDZĄ ŻE BIULETYN SPRZECZNY Z INTERESAMI USA. SPOSÓB KONTAKTU OBRAŹLIWY TAKA TEŻ MOJA STANOWCZA ODMOWA UJAWNIEŃ

ŹRÓDEŁ JAKKOLWIEK POZOSTAWIAJĄC BEZ ODPOWIEDZI NACISKI TEGO I KAŻDEGO INNEGO RODZAJU MUSZĘ WYRAZIĆ ZANIEPOKOJENIE NIEKTÓRYMI ASPEKTAMI BIULETYNÓW W TYM TAKŻE PRAWDOPODOBIENSTWEM PRZECIWNIEGO ODDZIAŁYWANIA NA WIĘKSZOŚĆ

CZYTELNIKÓW I ODNOWIENIE SUBSKRYPCJI. UWAŻAM SPOTKANIE Z PANEM W CELU OMÓWIENIA DALSZEJ POLITYKI ZA NIEZBĘDNE W TYM TYGODNIU.

CARTER

Grzecznie, ale stanowczo, pomyślałem. Powiedziałem jasno, że (a) jego pobożne napomnienia były nie tylko spóźnione, ale i niepotrzebne i (b) dałem mu do zrozumienia, iż chociaż dotychczas spełniałem jego polecenia bez zadawania zbyt wielu pytań, nie byłem gotów robić tego bez końca.

Kiedy dałem Nicole telegram do wysłania, poczułem się lepiej.

Obiad jest moim głównym posiłkiem i zazwyczaj chodzę do knajpki na rue du Rhône niedaleko biura. Jest tam dobre i niezbyt drogie jedzenie, a wewnątrz nie jest spaskudzone plastikiem czy chromem. W porze obiadowej odwiedzana jest głównie przez ludzi interesu z biur znajdujących się w pobliżu. Nie jest to zestaw Chase Manhattan-Du Pont-Chrysler, ale genewscy kierownicy o średnim dochodzie, z rosnącymi rodzinami i domami na przedmieściach przy południowym brzegu jeziora. Nie jest to spelunka dla dziennikarzy. Zdziwiłem się więc, kiedy zobaczyłem wchodzącego Emila Stryera, a jeszcze bardziej zdumiałem się, kiedy ujrzawszy mnie, podszedł i spytał, czy mógłby się przysiąść.

Stryer miał austriacki paszport, ale podobno urodził się na Pomorzu. Po raz pierwszy przyjechał do Genewy w 1963, by relacjonować przebieg konferencji rozbrojeniowej dla Bułgarskiej Agencji Telegraficznej i Radiowej. Powrócił po pobycie w Moskwie, gdzie obsługiwał podpisanie traktatu o zakazie naziemnych prób jądrowych, by kierować małym biurem tej agencji i od tego czasu uzupełniał swoje dochody działając dodatkowo jako korespondent kilku zachodnioniemieckich, włoskich i austriackich Pism. Interesuje się gorliwie wymianą kulturalną pomiędzy Wschodem i Zachodem i był odpowiedzialny za narzucenie cierplivej szwajcarskiej publiczności zespołu bułgarskich tancerzy ludowych, ukraińskiego lalkarza i wschodnioniemieckiego zespołu smyczkowego. W czasie, o którym mówię, był uważany przez innych członków środowiska dziennikarzy zagranicznych w Genewie za pośmiewisko. Był chudym małym człowieczkiem o ciemnych, brązowych oczach, niezdrowych obwisłych policzkach i zakłopotanym, niepewnym spojrzeniu starego jamnika. Nie traktowałem go jak pośmiewiska. Tym niemniej uważałem go osobiście za bardzo uciążliwego nudziarza i zazwyczaj starałem się go unikać. Jego przekonanie, które zawsze starałem się podsycać, że jestem entuzjastycznym zwolennikiem tej imperialistycznej, amerykańskiej hieny, Novaka, pomagało mi trzymać go na dystans.

Kiedy usiadł, powiedziałem. - Może Generała nie ma już z nami, Stryer, ale jego duch jest ciągle obecny. To niezbyt bezpieczne, aby widziano, jak kumasz się ze mną.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Kumać się?

Przetłumaczyłem mu to na niemiecki. Popatrzył z wyrzutem.

- Kilku naszych kolegów - powiedział - uważa, że od czasu śmierci twojego szefa unikasz ich. Niepokojono się ostatnio o ciebie i pytano, czy można coś dla ciebie zrobić.

- Miło to słyszeć. Jak widzisz, mam jeszcze za co jeść.

- Wyrażano nadzieję i to nie raz, że powrócisz do bardziej konwencjonalnej pracy dziennikarskiej.

- Masz na myśli mniej haniebnej? Bardziej uczciwej?

- Słowa są twoje, ale skoro ich użyłeś, dlaczego nie? Masz wielu dobrych przyjaciół w branży.

- Ale w ten sposób, mimo iż sam nie jestem zbyt uczciwy, jestem faktycznie panem samego siebie.

Jego brwi skoczyły w górę. - Naprawdę jesteś? To ciekawe. Następca twojego zmarłego szefa wzbudził duże zainteresowanie.

W tym momencie podeszła kelnerka, by przyjąć od niego zamówienie. Zastanawiałem się, czy ta przerwa zmieni tok jego myślenia. Tak naprawdę to nie spodziewałem się tego - nudziarze, kiedy zaczną jakiś temat, nigdy nie potrafią skończyć - ale zawsze ma się nadzieję.

Zamówił Bundnerfleisch, choucroute i piwo, po czym powrócił do ataku.

- Wydaje się, że nikt o nim nic nie wie - powiedział.

- O kim? - nie miałem zamiaru mu pomagać.

- Mówię oczywiście o Arnoldzie Blochu.

Nie zaskoczyło mnie, iż zna nazwisko Blocha. Dziennikarze plotkują pomiędzy sobą, a jako że Novak umarł w Genewie i Interkom, pomimo swej fatalnej sławy, wydawany był tamże, zainteresowanie jego następcą było naturalne. Informacje Good mana zaniepokoiły mnie, ponieważ uzyskał je w niełatwy sposób jadąc do Bale i rozmawiając z dr Bruchnerem. Prawdopodobnie nie mniej mógłby dowiedzieć się przy drinku w barze Interconti-nentału.

- Nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Jest specjalistą od reklamy - powiedziałem.

- Od reklamy? To wszystko? - wydawał się rozczarowany.

- Od reklamy i stosunków przemysłowych. Ma biura w Monachium, Paryżu i Rzymie.

- Rozumiem - powiedział i skinął głową w zamyśleniu. Byłem zadowolony, że rozumiał, ponieważ w tym czasie, panie

L, zaczynałem mieć podobne uczucie, jakie przypisał pan dr Bru-chnerowi, kiedy figlował z nim Goodman - niechętnie przyznawałem, że nie wiedziałem nic o człowieku, dla

którego miałem podobno pracować i byłem całkowicie świadomy faktu, że nie rozmawiałem z nim nawet przez telefon. Dr Bruchner uzyskał przynajmniej tyle.

Zastanawiałem się, jak najlepiej zbyć następną porcję pytań, kiedy Stryer zaczął nagle machać jak szalony w kierunku wejścia, jak gdyby dostrzegł właśnie dawno nie widzianego przyjaciela.

Podniosłem wzrok. Do restauracji weszli mężczyzna i kobieta i teraz, widząc Stryera, kierowali się ku nam.

W porządku, panie Latimer, wiem, że było to zaplanowane spotkanie, nagrana robota. Stryer poszedł do knajpki wiedząc, że mnie tam spotka (prawopodobnie śledził mnie po wyjściu z biura, by się upewnić) i dla oczywistej przyczyny przedstawienia mnie tym dwojgu w okolicznościach pozwalających pokazać ich jako nieszkodliwych i niegroźnych.

Zamierzenie udało się tylko częściowo. Stryer popełnił błędy. Na przykład, kiedy przyszedł, zanim usiadł, spytał mnie, czy może się przyłączyć. Jako że siedziałem sam przy stoliku czteroosobowym, niespecjalnie mogłem odmówić. Ale kiedy tych dwoje podeszło do nas, nawet nie pomyślał o tym, by zapytać. Może był zbyt zdenerwowany, zbyt gorąco pragnął mieć tę robotę za sobą. Nagle był to jego stolik i on był gospodarzem. Pamiętam, pomyślałem, że jeśli ma być to jego przyjęcie, to do cholery może równie dobrze zapłacić za mój obiad. Jednak największy problem z jego punktu widzenia stanowiła kobieta. Nic, co mógłby powiedzieć lub zrobić, nie było w stanie, jeśli chodzi o mnie, przedstawić ją jako nieszkodliwą i niegroźną.

Madame Coursaux miała coś około czterdziestki, wygląd Ju nony wagi półciężkiej, czarne, siwiejące włosy, ciemną cerę i gorejące oczy służbistki. Jej uśmiech pozbawiony radości przesyłał wyzwanie, zadarty nos czyhający na zapach strachu i nazbyt rozbudowane mięśnie zuchwy obwieszczwały, że każda próba obrony będzie bezlitośnie ukarana. Ubrana była w niebieski płócienny płaszcz o wojskowym kroju z masywnymi mosiężnymi guzikami i poruszała się jak grenadier. Wyglądała na babę, która może zgnieść ci jaja.

Mężczyzna, który z nią był, Pierre Morin, był tęgim facetem z niechlujną ciemną brodą, okularami i potężnym ładunkiem popiołu z cygar na kamizelce. W jednej dłoni, dużej, pokrytej plamami, trzymał bez trudności wypchaną teczkę ze świńskiej skóry. Kiedy rzucił ją obok mojego krzesła, podłoga zadrżała. Miał krzaczaste brwi, długie zęby ze śladami tytoniu i patrzył z wyrazem pozornie niezmiennego, rozbawionego niedowierzania.

Oboje mówili paryskim francuskim.

- Madame Coursaux - wyjaśnił zdyszany Stryer, kiedy dokonywał prezentacji - jest wybitnym francuskim ekspertem w dziedzinie rzadkich i starych rękopisów.

- Musisz spróbować to zrozumieć, drogi Emilu - zaszczębio-tała do niego zdejmując rękawiczki. - Monsieur Carter, czy tak? Tak więc, panie Carter, Emil podtrzymuje swą sławę dziennikarza. Tylko trzy pomyłki co do faktów w jednym zdaniu.

Zignorowała płaczliwe protesty Stryera. Była teraz skoncentrowana wyłącznie na mnie.

- Niestety - ciągnęła dalej - nie mogę twierdzić, że jestem ekspertem. Ekspertem jest obecny tutaj Pierre Morin. Jestem tylko biednym marszandem. A rękopisy, którymi najczęściej handluję, nie są stare. To jest, oczywiście, jeśli nie uważa pan dziewiętnastego wieku za stary.

Morin włączył się w grę.

- A kiedy mówisz o rzadkości - powiedział - wprowadzasz pomieszanie pojęć. Rzadka może być książka, sztuka pięknej porcelany może być rzadka. Ale rękopis nigdy nie może. Jeśli jest prawdziwy, jest unikatem, czy był napisany wczoraj czy sto lat temu. - Uśmiechnął się nagle. - Proszę nie psuć sobie obiadu z naszego powodu, Monsieur. Emil jest przyzwyczajony do tego, że gadamy głupstwa, co, Emil?

Stryer promieniał, jakby prawili mu komplementy.

- Zawsze pragnę się uczyć. Ale powiedzcie mi - zniżył głos - czy wasza misja była udana? Czy za wcześnie o tym mówić?

Madame Coursaux karcąco zmarszczyła brwi, a jej oczy pobiegły w stronę kelnerki kręcącej się za nimi z kartą dań.

- Mamy pewne nadzieje - powiedziała krótko. Zamówili olbrzymie posiłki i wino z Valais. Poprosiłem o kawę. Z chwilą odejścia kelnerki, Stryer powrócił do tematu misji

Coursaux i Morina.

- Carter jest dziennikarzem jak ja, ale on też potrafi być dyskretny - powiedział. - Czy mogę opowiedzieć mu o waszej misji w Genewie? To fascynujące, jak powieść detektywistyczna.

Jego natarczywość wydała mi się samobójcza, ale nie przyniosła mu nic prócz lekkiego szturchańca.

- Jeśli ty to opowiesz, drogi Emilu, jestem pewna, że żaden z istotnych faktów nie będzie przedstawiony prawidłowo. Żadna dyskrecja ze strony pana Cartera nie jest konieczna.

Zachichotał drażniąco.

- Więc proszę mnie poprawić, kiedy będę się mylił, Madame. Jak rozumiem, kilka miesięcy temu dowiedzieliście się z poufnego źródła, tutaj w Szwajcarii, o istnieniu nieznanego

dotąd korespondencji pomiędzy dziewiętnastowiecznymi anarchistami Aleksandrem Hercenem i Sergiejem Nieczajewem. Taka korespondencja...

- Hercen z całą pewnością nie był anarchistą - przerwał ostro Morin - a określić tak Nieczajewa może tylko ktoś trywialny. Hercen był socjalistą liberałem i założycielem ruchu populistycznego. Nieczajew robił wiele rzeczy - był terrorystą, przestępcą, idealistą i hochsztaplerem - ale nie można go porównać z takimi ludźmi jak Proudhon, Bakunin czy Malatesta.

- Nie miałem zamiaru go porównywać. Chciałem tylko... Nie dano mu skończyć. Madame Coursaux przerwała znowu.

- Znaczenie tej korespondencji, jeżeli jest prawdziwa - powiedziała - polega na tym, że w nowym świetle przedstawia autorstwo programu akcji rewolucyjnej z 1868. To także data tej domniemanej korespondencji. Rozmyślnie mówię „domniemanej”. Morin ma swoje wątpliwości i ja także nie jestem pewna. To prawda, że korespondencja między nimi, która ocalała i o której wiemy, że jest autentyczna, ma zupełnie inny charakter, ale Nieczajew był człowiekiem o wielu twarzach. Dla pana, panie Carter, jest bez wątpienia trudno zrozumieć historyczną wagę kilku starych listów pisanych przez ludzi, o których najprawdopodobniej nigdy pan nie słyszał, ale dla uczonych i...

Nie miałem ochoty dłużej tego znosić. Przerwałem jej.

- A co z pamiętnikami Hercena? - zapytałem. - W 1868 pracował nad nimi tutaj w Genewie. Prowadził także dziennik. Wiem, że nie miał zbyt dobrego zdania o Nieczajewie. Ostrzegł nawet Bakunina, że ten człowiek jest oszustem. Ale jeśli ta korespondencja, którą odnaleźliście, ma takie znaczenie, jak mówicie, nie mogę uwierzyć, że Hercen nie wspomniałby o niej. Sprawdziliście to chyba?

Przesłała mi morderczy uśmiech. - Oczywiście - powiedziała. Ale przyhamowałem ją. Morin przejął pałeczkę.

- Pamiętniki Hercena zostały w znaczny sposób okrojone po jego śmierci - powiedział - zabiegi rodziny wpłynęły na to w dużym stopniu. Były wówczas powody dla opuszczenia wzmianek o Nieczajewie, zwłaszcza wzmianek pisanych z szacunkiem lub przyjaźnią.

- Ponieważ uwiódł córkę Hercena?

- Próbował ją uwieść. - Uśmiechnął się. - Nieczajew rzadko odnosił sukcesy w swej działalności. Jest to na swój sposób zabawne.

Mówił dalej podając szczegóły. Zawsze uważałem to za smutną i raczej paskudną historię, ale jemu wydawała się śmieszna. Oczywiście Stryer śmiał się do rozpuku.

Doszedłem do wniosku, że mam ich dosyć i poprosiłem o mój rachunek. Kiedy podniosłem się, by odejść, Madame Coursaux stała się niespodziewanie wylewna.

- To takie interesujące - powiedziała - spotkać dziennikarza wrażliwego na historię. Będziemy tutaj jeszcze przez kilka dni. Być może spotkamy się jeszcze. Jeśli tak, to mam nadzieję, iż będę mogła opowiedzieć panu o rezultatach naszych badań.

Wymamrotałem coś i odszedłem. W drodze do biura postanowiłem, że na kilka dni dam spokój tej knajpce.

Koperta zawierająca biuletyn i ostatnie memorandum Blocha została wysłana z Brukseli, nie spodziewałem się więc szybkiej odpowiedzi na mój telegram. Jako że nie było nikogo w biurze w Monachium, kto mógłby odebrać mój telefon, zakładałem, że telegram będzie leżał nieotwarty, dopóki Bloch nie wróci. Ale myliłem się. Musiał mieć kogoś, kto codziennie sprawdzał jego pocztę.* Odpowiedź nadeszła następnego ranka z Brukseli:

* Miał. Anglo-Amerykańskie Biuro Stenograficzne, monachijska agencja wynajmująca sekretarki, miało klucz do jego skrzynki pocztowej w foyer budynku, w którym mieściło się biuro. „Bloch” dzwonił codziennie do biura o piątej po południu, kiedy wyjęte wcześniej telegramy i listy mogły być mu odczytane. Te usługi były opła-

INTERCOM DO CARTERA PAŃSKI TELEGRAM OTRZYMAŁEM CAŁA TREŚĆ WZIĘTA POD UWAGĘ ŻALUJĘ SPOTKANIE W TYM TYGODNIU NIEMOŻLIWE. PONIEWAŻ POLITYKA NIE ULEGŁA ZMIANIE UWAŻAM OBECNIE SPOTKANIE ZA NIEPOTRZEBNE. TAKŻE NIEPOTRZEBNIE POZOSTAWIA PAN BEZ ODPOWIEDZI NACISKI O UJAWNIEŃ ŹRÓDEŁ. PAŃSKI AGRESYWNY STOSUNEK ZROZUMIAŁY ALE W TYM PRZYPADKU NIEWŁAŚCIWY. NINIEJSZYM JEST PAN UPOWAŻNIONY DO WYMIENIANIA MNIE NA ZADANIE JAKO ŹRÓDŁA WSZYSTKICH BIULETYNÓW SEZAMU ZARAZEM OFERUJĄC PUBLIKACJĘ SPROSTOWAŃ LUB ODWOŁAŃ JEŚLI DRUGA STRONA GOTOWA PRZEDSTAWIĆ PISEMNE DOWODY. ZEZWALAM NA DODANIE W NAGŁÓWKU WSZYSTKICH PRZYSZŁYCH BIULETYNÓW MOJEGO NAZWISKA JEŻELI UZNA PAN TO ZA STOSOWNE. DECYZJA ZALEŻY OD PAŃSKIEJ OPINII JAKO REDAKTORA. PROSZĘ POTWIERDZIĆ

BLOCH

Nie spodobało mi się to zupełnie. Liczyłem na to, że moja sugestia na temat możliwego spadku liczby prenumeraiorów i nakładu ściągnie go na spotkanie. Większość właścicieli zareagowałaby ostro, podnosząc krzykiem alarm na ten szczególny bodziec. On

zlekceważył go po prostu. Zarazem pozbawił mnie nader przebiegle jedynej dobrej wymówki, jaką miałem na wstrzymanie publikacji biuletynów. Pozostawił mojemu osądowi redaktora nie kwestię zamieszczania lub usuwania biuletynów, a jedynie obecność lub brak nagłówka. Posługiwał się swoją władzą właściciela uwalniając mnie, jeśli chciałem być uwolniony, od części zaciągniętej odpowiedzialności. I dlaczego było „niewłaściwe” podtrzymywanie tradycyjnego prawa redaktora do ochrony źródeł informacji? Próbowałem zredagować odpowiedź, która pokazałaby mu, że jego unik został odczytany jako taki, i wyjaśniła, że odebranie wiadomości nie jest jednoznaczne z bierną zgodą i aprobatą jej treści. Ale nie potrafiłem być zwięzły bez ujawniania zbyt wielkiej dawki złego humoru, co nie jest wskazane ani rozsądne dla redaktora zwracającego się do właściciela. Doszedłem w końcu do wniosku, że tak naprawdę to potrzebowałem szczerzej rozmowy z tym facetem. W międzyczasie chciałem napisać do niego list przedstawiający kłopoty, tak jak je widziałem, powiadomić go w moim telegramie potwierdzającym odbiór memorandum, że list jest w drodze i próbować złapać go telefonicznie. Cane co miesiąc czekiem z monachijskiego banku Blocha. - CL

W nadziei, że do tego czasu wrócił już z Brukseli, spróbowałem raz jeszcze w piątek rano.

Ja także miałem pogawędkę z monachijską policją.

Nie zastanawiałem się wtedy nad tym wiele. Biurom zdarza się czasem, że ktoś się do nich włamie, najczęściej drobni złodzieje szukający maszyn do pisania, kalkulatorów i niewielkiej gotówki. Teraz wiemy, że w biurze Blocha nie było nic, co warto było ukraść, ale powiem panu kto, jak myślę, był tym, który się włamał.

Moim zdaniem odpowiedzialna była BfV.

Nie mylić z BND, panie Latimer. BND jest zachodnioniemiecką CIA i była kiedyś nazywana Biurem Gehlena. BfV {Bundesamt für Verfassungsschutz lub Federalny Urząd Ochrony Konstytucji) w swej funkcji łapania szpiegów jest odpowiednikiem FBI, brytyjskiego MI5 i francuskiej DST. Ten biuletyn o samolocie FG115 musiał nieźle ich nabuzować, chociaż czas, kiedy to się stało, pozwala przypuszczać, że zostali przynaglani do działania przez CIA.

Wygląda to tak. W poniedziałek, 12 grudnia, Goodman i Rich rozmawiają z dr Bruchnerem w Bale i dowiadują się, że Bloch jest właścicielem Interkomu. Mówi im też, że to ja odwalam całą robotę i jestem odpowiedzialny za zawartość pisma. Tak więc we wtorek przesłuchują mnie. Nie chcę gadać, więc myślą znowu o Blochu.

Tę część zgaduję, ale myślę, że w środę udają się do Monachium, by spróbować się z nim zobaczyć. Przypuszczam, że kiedy to się nie udało, Rich obgadał sprawę z ludźmi z CIA w Bonn, którzy doradzili konsultację z BfV. Prawdopodobnie BfV zaczęła już sprawdzać Blocha i odkryła, że nikt, łącznie z policją w Monachium i bankiem, naprawdę nic o nim nie wie. Musiało ich to zaintrygować. Kiedy CIA zaczęło ich naciskać o informacje, poczuli, że muszą zacząć działać. Myślę, że sfingowali włamanie tak, by mogli rzucić okiem na prywatne dokumenty Blocha bez zdradzania, że jest rozpracowywany. Chcieli, by wrócił na przesłuchanie.

Oczywiście nie mieli wtedy powodów, aby przypuszczać, że Arnold Bloch nie istnieje, że posiadał tylko głos i nazwisko. Głos zamawiający rozmowy telefoniczne z nieznanymi miejsc. Nazwisko udające tożsamość w zestawie fałszywych papierów, kilku rachunków bankowych i ciągu rozrzuconych adresów kontaktowych.

Ja też nie miałem powodów do podejrzeń. Spędziłem większość popołudnia tego piątku pisząc do niego.

Było to mistrzowskie dzieło, panie L. Przedstawiłem problemy rozważnie i powściągliwym językiem, przeszedłem do roztrząsania nieodparcie racjonalnych rozwiązań, które proponowałem, i zakończyłem propozycją porządku dziennego dla spotkania na szczycie. Jednakże, skoro cały list oparty był na naiwnym założeniu, że osoba, do której się zwracam, jest człowiekiem, a nie duchem, i na mej wierze, iż jest on bardziej zainteresowany w utrzymaniu się przez nas w interesie niż w uniknięciu odpowiedzialności za morderstwo, nie będę pana nim zanudzał.

Wyszedłem z biura tuż przed szóstą i wstąpiłem na drinka do kawiarni na rogu. Poprzedniego wieczora i dzień wcześniej zrobiłem to samo. Od rozmowy z Goodmanem i Richem stałem się nerwowy i będąc już raz śledzony, chciałem wiedzieć, czy i kiedy zdarzy się to ponownie. Czy był pan kiedyś śledzony, panie L? Chyba nie. Jeśli jednak pan był, będzie pan wiedział. To kosztuje dużo nerwów.

Z tej kawiarni można obserwować trzy ulice. Można także, jeśli się chce, wyjść i wejść różnymi drzwiami. Mówiono mi, że nie ma łatwego sposobu na uniknięcie naprawdę starannej inwigilacji prowadzonej przez wyszkolonych ludzi, ale osobnik, który wie lub podejrzewa, że ma ogon, może, jeśli chce, utrudnić zadanie. Chciałem utrudnić je, jak tylko było to możliwe. Jak mówiłem, kiedy jest się śledzonym, traci się dużo nerwów, ale jeśli przypadkiem nie masz wyjątkowego poczucia winy, doprowadza cię to także do wściekłości.

Nie wiem na pewno, czy byłem śledzony, kiedy tego wieczoru opuściłem kawiarnię, by pójść do mojego samochodu - Fiata z numerami fryburskimi spostrzegłem zupełnie

przypadkowo i o takiej porze nocy, kiedy ulice dzielnicy są kompletnie puste - ale zważywszy na to, co nastąpiło, jestem całkiem pewien, że tak być musiało. Jestem równie pewien, że sprawiłem sukinsynom kłopot. Nie taki oczywiście, jaki sprawili mnie, ale miło wierzyć, że nie jest się zupełnym popychadłem.

Kiedy skończyłem drinka na oszklonym tarasie, zostawiłem pieniądze na stole i wstałem, jak gdybym miał zaraz wychodzić. Następnie, zamiast wyjść, odwróciłem się i wszedłem do środka. Minąłem kontuar i zszedłem w dół do kabin telefonicznych. Nie zatrzymałem się tam, ale przemknąłem obok toalet i poszedłem schodami prowadzącymi do małej części restauracyjnej, znajdującej się po przeciwnej stronie tarasu. Były tam drzwi na ulicę. Na zewnątrz skręciłem w prawo zamiast w lewo, jak bym to zrobił, gdybym skierował się wprost do mego samochodu. Była to wąska jednokierunkowa ulica, a ja szedłem pod prąd, kierując się w stronę skrzyżowania, gdzie właśnie zmieniały się światła. W momencie gdy zapaliło się zielone i samochody ruszyły, przebiegłem szybko przed nimi i przeciąłem aleję prowadzącą do rzeki w pobliżu Pont de la Machine. Wtedy wszedłem do baru i wypłem jeszcze drinka przed ponownym wyjściem na ulicę. Było tuż przed siódmą, gdy dotarłem do samochodu.

Był to Renault Dauphine z silnikiem z tyłu. Przyznaję, nie jest to najbardziej olśniewająca rzecz na kółkach, ale wystarczająco dobra dla potrzeb mojej codziennej pracy czy narciarskich weekendów Val. I zazwyczaj niezawodna.

Otworzyłem go, wsiadłem, wykonałem normalne czynności i okazało się, że nie chce zapalić. Rozrusznik był w porządku, akumulator był w porządku, wskaźnik paliwa pokazywał, że bak jest w połowie pełen, ale pomimo to nie chciał zapalić.

Nie znam się zbyt dobrze na samochodach, ale trochę o nich wiem. Wiem na przykład, że wskaźniki paliwa zacinają się czasem. Wsiadłem, podniosłem maskę, odkręciłem nakrętkę wlewu i kołysałem samochodem, dopóki nie usłyszałem ze środka bulgotu benzyny. Zakręciłem otwór.

Gdyby pozostawiono mnie samego z moimi pomysłami, w następnym nieefektywnym posunięciu wyjąłbym latarkę ze schowka i sprawdził, czy jest coś takiego nie w porządku z silnikiem, co mógłbym dostrzec. Ale w tym momencie oślepiły mnie reflektory skręcającego przy kościele samochodu. Później, kiedy światła się przesunęły i zacząłem iść do drzwi mojego samochodu, Citroen DS zahamował ostro tuż przy mnie i otworzył się drzwi.

- Kłopoty, panie Carter? - Głos należał do Madame Coursaux. Gdy to mówiła, tylne drzwi Citroena otworzyły się. Nawet gdybym pomyślał o ucieczce, byłoby to trudne. Zostałem zablokowany parą drzwi przy boku własnego samochodu.

W Citroenie zapaliło się górne światło. Za kierownicą siedział Morin, Madame Coursaux obok niego i jakiś mężczyzna z tyłu.

- Zauważyliśmy pana, jak skręcał - powiedział Morin. - Potrzebuje pan pomocy?

- Nie mogę go uruchomić - powiedziałem. - Nie wiem, jaka jest przyczyna.

- Akumulator?

- Nie. Mam też pełno benzyny, po prostu nie chce zapalić.

- Potrzebny panu mechanik. Niech pan wsiada, podwieziemy pana. - Mężczyzna z tyłu przesunął się, by zrobić mi miejsce.

- To uprzemie z waszej strony, ale warsztat jest tu na dole, niedaleko stąd. Mogę z łatwością tam dojść.

- Nie ma mowy, niech pan wsiada.

Zrobiłem to. Warsztat był tylko o trzy domy dalej, ale kiedy ktoś proponuje zaoszczędzenie nawet tak krótkiego marszu, łatwiej jest przyjąć niż odmówić. Kiedy usiadłem obok mężczyzny z tyłu, przypomniałem coś sobie.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Zostawiłem kluczyki. Morin niecierpliwie machnął dłonią.

- Jeśli samochód nie chce zapalić, nikt go nie ukradnie - powiedział. - Poza tym mechanik będzie potrzebował kluczyków.

Kiedy mówił, mężczyzna obok mnie przechylił się zrećnie i zatrzasnął drzwi. Następnie wyciągnął mięsistą rękę i przedstawił się.

- Schneider - powiedział.

Wymówił to tak, jakby zrobił to Francuz, ale nie myślę, by był Francuzem. Pachniał zbyt mocno lawendą. Nie mogłem obejrzeć go dobrze, ale sprawiał wrażenie mocno zbudowanego młodego mężczyzny w ciemnym ubraniu z nalaną, wykrzywioną twarzą i gładko zaczesanymi rudawo-blond włosami. Ucisnął moją rękę krótko, bez przesadnej siły.

W trakcie jazdy Morin mówił przez ramię.

- Obok naszego mieszkania jest warsztat Renaulta. Zadzwonimy do nich i poprosimy, aby przysłali mechanika.

Nie lubię, kiedy podejmuje się za mnie decyzje. - Nie ma potrzeby - powiedziałem - wysadźcie mnie po prostu na dole wzgórza, tak będzie dobrze.

Zignorował mnie całkowicie i na następnym rogu skręcił w lewo.

- Posłuchajcie... - zacząłem.

- Ależ nie, panie Carter. - Kobieta odwróciła się by szczebiotać do mnie przez oparcie swojego fotela. - Proszę pozwolić, by Pierre zrobił to, co jest najlepsze w tej sytuacji. Dziś w

nocy wieje zimny wiatr. Dlaczego wystawiać się na niego, kiedy może pan cieszyć się szklaneczką whisky i przyjacielską pogawędką? Nasze spotkanie tamtego dnia było takie krótkie i nie można mówić o poważnych sprawach w obecności tego idioty Stryera.

- To bardzo miłe z waszej strony, ale ktoś czeka na mnie w domu z kolacją.

- Ale nie może pan pojechać do domu, zanim naprawią pański wóz. Jak tylko załatwimy mechanikę, może pan zadzwonić do córki i wyjaśnić, że spóźni się pan trochę. To będzie o wiele prostsze.

Nie odpowiedziałem. Do tej chwili byłem tylko poirytowany tym, co wydało mi się aroganckim zachowaniem Morina. Nagle wydarzenie nabrało innego znaczenia. Kiedy człowiek w moim wieku mówi, że ktoś czeka na niego w domu z kolacją, przypadkowy znajomy zazwyczaj sądzi, że czeka na niego żona, a nie córka. Ci znajomi wiedzieli o mnie zbyt dużo, aby mogli być przypadkowi. To była chwila, od której zacząłem się niepokoić.

Zerknąłem na Schneidera. Na twarzy miał towarzyski uśmiech. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy nasze oczy się spotkały. Zaczął mówić po angielsku.

- Trochę tego, co się lubi, nigdy nie zaszkodzi - powiedział - co panie Carter?

Miał londyński akcent, ale niezbyt przekonujący. Podrobiony u Berlitz'a język z BBC. Popatrzyłem na niego obojętnie.

Uśmiechał się ciągle. - Tak właśnie mawiają Anglicy, nieprawda? - nalegał.

Wydawał się oczekiwać odpowiedzi, więc mu jej udzieliłem.

- Jestem Kanadyjczykiem, panie Schneider. Myślę że w tej sytuacji byłbym bardziej skłonny powiedzieć „gadka-szmatka”.

Roześmiał się serdecznie. Morin zachichotał. Nawet Madame Coursaux zdołała wydać aprobujące parsknięcie.

Przez kilka chwil byliśmy oto najlepszymi przyjaciółmi.

Znałem Chateau Europa, budynek mieszkalny, do którego mnie zawieźli. Jest kilka podobnych w Genewie. Niczym nie wyróżniające się stopy pudełek - mieszkań do wynajęcia. Wszystkie dokładnie tak samo umeblowane i większość z nich wykorzystywana tylko jako peds-d-terre przez uciekających przed podatkami cudzoziemców, formalnie zamieszkałych w kantonie i potrzebujących, z prawnego punktu widzenia, miejsca zamieszkania. Przez wędrownych handlowców, którzy mogą przechować tam zapasowy garnitur i zmianę bielizny, i przez podpory miejscowego towarzystwa, którzy potrzebują miejsca poza domem, w którym mogliby zabawiać swe przyjaciółki. Nieliczni lokatorzy mieszkający na stałe w takich miejscach trzymają się na uboczu. Są intruzami w społeczności nieobecnych okupantów, przejezdnych i czasem kochanków. Pokoje są bezosobowe i niewiele większe od

kabin w publicznym szalecie, chociaż kiedy znajdziesz się wewnątrz za zamkniętymi drzwiami, bardziej jakby odosobnione. W apartamencie w Chateau Europa nie ma babci klozetowej, która usłyszałaby, gdyby ktoś wołał o pomoc.

Zabrali mnie do dwupokojowego apartamentu na czwartym piętrze.

Powiadam „zabrali mnie”, bo tak się to odbyło. Nikt mi nie groził, ani nie celował do mnie pistoletu, ale cała ich postawa, ich zdecydowane ruchy i pewność siebie bez cienia wątpliwości wskazywały, że jakakolwiek dalsza próba z mojej strony odrzucenia ich gościnności będzie uważana za grubiańską i śmieszna i zostanie stanowczo uniemożliwiona.

Kiedy Morin podjechał na parking Chateau Europy wyskoczył z samochodu jak troskliwy szofer i obszedł wóz, by otworzyć drzwi po mojej stronie. Kiedy wysiadałem, Schneider wyslizgnął się także. Od tej chwili do czasu, kiedy weszliśmy do mieszkania, znajdowałem się pomiędzy nimi z Madame Coursaux chroniącą tyły. Nikt z nich mnie nie dotykał, ale trzymali się bardzo blisko. Przechodząc przez wahadłowe drzwi Morin wysunął się do przodu, a Schneider znalazł się za mną. To samo powtórzyło się, kiedy wsiadaliśmy do windy. Było to sprawne jak pokaz musztry. I całą drogę od samochodu do windy Madame Coursaux trajkotała bezustannie, jak przejęta gospodyni na początku nudnego przyjęcia.

- Hotele to takie nieprzyjemne miejsca do mieszkania, nie uważa pan? Zawsze kiedy podróżuję - a podróżuję dużo w związku z moją pracą - staram się unikać mieszkania w hotelu. Niewielkie mieszkanie jest o wiele lepsze, to miejsce gdzie można wygodnie i bez rozgłosu podejmować przyjaciół. Wiem, że niektórzy z moich kolegów po fachu nigdy nie opuszczają swoich gabinetów. Czekają, aż inni, tak zwani zawodowi poszukiwacze, dostarczą im materiały. Nigdy nie zatrudnię takich osób. Niektórzy są nieuczciwi, a większość z nich ma tak małą wiedzę, że są bezużyteczni. Zawsze byłem swoim własnym poszukiwaczem i tak przywykłam do podróży. Ale jak się podróżuje, ach, to najważniejsza rzecz...

Jako kamuflaż było to zadziwiająco skuteczne. Nikt, kogo spotkaliśmy po drodze, nie mógłby podejrzewać, że byłem prowadzony gdzieś bez swej zgody. Sprawialiśmy najwyżej wrażenie trzech pechowców, których nie odstępuje na krok gadająca bez przerwy potężna kobieta.

Mimo wszystko przestała i to nagle, jak tylko znaleźliśmy się w windzie. Jej zadanie było wykonane. Od tej chwili Morin przejął dowodzenie.

Zasunął wewnętrzną kratę i nacisnął guzik czwartego piętra.

- Ale - powiedział - to praca naszego przyjaciela Cartera interesuje Monsieur Schneidera. - Objął nas obu swym niedowierzającym uśmiechem. - Czy wiedział pan, Carter,

że jest on jednym z najwierniejszych pana czytelników? Ależ oczywiście, nie wiedział pan. Skąd mógłby pan wiedzieć.

- Nawet gdyby wiedział, dlaczego miałyby go to obchodzić? - zapytał uprzejmie Schneider. - Jestem jednym z wielu, wielu tysięcy.

- Ośmiu tysięcy, żeby być dokładnym - powiedziałem. Teraz kiedy stał w silnym świetle, mogłem zobaczyć, że nie był tak młody, jak myślałem, i że jego twarz z lewej strony pokryta była prawie całkowicie śladami po przeszczepach skóry i pasemkami blizn. To nadawało mu ten skrzywiony wyraz. Widziałem podobne twarze byłych pilotów wojskowych i członków załóg spalonych czołgów. To skojarzenie sprawiło, że zapach wody lawendowej, który bił od niego, stał się dziwnie nieprzyjemny.

- Jeśli mielibyśmy mierzyć wpływ wydawnictw na podstawie ich nakładu - mówił Morin - doszlibyśmy do dziwnych wniosków.

Winda zatrzymała się w tym momencie, ale on mówił dalej otwierając kratę i prowadząc nas w głąb korytarza. - Niech pan sam pomyśli, która gazeta miała większy wpływ na wydarzenia historyczne, większe znaczenie we Francji podczas okupacji? Wielki Le Matin w rękach kolaborantów czy mała Resistance, którą naziści potrafili w końcu uciszyć tylko zabijając jej redaktora? Aha!

Ten okrzyk wyrażał zadowolenie. Madame Coursaux w swej nowej roli pojętego podwładnego popędziła szybko do przodu, gdy zbliżaliśmy się do apartamentu numer 423 i zdążyła już otworzyć drzwi i zapalić światło. Morin zrzucił z siebie płaszcz i machnął nim jak peleryną, by zaprosić mnie do środka.

W ciasnym korytarzu łączącym dwa pokoje apartamentu Schneider pomógł zdjąć mi płaszcz. Morin był już przy małej, wbudowanej w ścianę lodówce wyjmując butelki i kubek z lodem.

- Zacznijmy od spraw fundamentalnych - zwrócił się do mnie. - Whiski z wodą sodową?

- Poproszę, ale chciałbym też coś zrobić w celu naprawy samochodu.

Strzelił palcami jakby strapiony swoim roztargnieniem.

- Ci mechanicy zwracają większą uwagę na kobiety - Madame

Coursaux wtrąciła szybko. - Jakie są numery pańskiego samochodu?

Podaliśmy jej numer. Powtórzyła go raz, po czym weszła do sypialni zamykając za sobą drzwi.

- Wszystko pod kontrolą - powiedział Schneider znów odświeżając swój angielski. Dał mi znak, bym wszedł przed nim do salonu.

Na całą szerokość podłogi rozciągał się dywan pokryty jednym z tych wzorów stanowiących przemieszanie śluzu z błotem, które mają zapobiegać pojawianiu się plam. Umeblowanie składało się z foteli umieszczonych na wygiętych metalowych rurkach (nie posiadają tylnych nóg, a siedzący w nich ludzie wyglądają, jakby wisieli w powietrzu), stolika wyłożonego płytkami ceramicznymi z podstawą z kutego żelaza, regału na książki i niebieskiej otomany z leżącymi na niej czerwonymi poduszkami. Grzejnik był niezwykle sprawny i atmosfera całego pomieszczenia duszna.

Schneider wskazał mi fotel, a sam usiadł na otomanie. Morin zjawił się z tacą i zaczął przygotowywać drinki.

Przez chwilę panowała cisza i było słycać tylko pobrzękiwanie kostek lodu w szklankach. Potem Schneider pochylił się z uśmiechem.

- Monsieur Carter - spytał łagodnie - czy kiedykolwiek ktoś próbował pana zabić?

Patrzyłem na niego bez wyrazu. Operacja plastyczna musiała uszkodzić mu nerwy po lewej stronie twarzy, ponieważ tylko prawa część się uśmiechała. Kiedy patrzył prosto na ciebie, efekt był niepokojący.

- Myślałem o tym - ciągnął dalej - co powiedział przed chwilą Morin o redaktorze Resistance, który został zabity przez nazistów.

- Nie tylko redaktor - powiedział Morin. - Zamordowali cały personel łącznie z drukarzami. Nic dziwnego, że pismo przestało się ukazywać.

Podał mi solidnego drinka. Schneider potrząsnął smutno głową.

- Świnie - powiedział. Morin wzruszył ramionami.

- O tak, to były świnie. Kto temu zaprzeczy? Ale rozważcie to. - Przyniósł jeszcze dwa drinki i podał jeden Schneiderowi. - Spójrzcie na to z ich punktu widzenia. - Zagłębił się w fotelu naprzeciwko mnie. - Czasopismo drukowało rzeczy, które im się nie podobały, rzeczy, które zagrażały ich bezpieczeństwu. Co mogli zrobić? Jedyńm sposobem jego ocenzurowania było zabicie tych, którzy je produkowali. W tych okolicznościach było to wystarczająco zrozumiałe. Schneider przytaknął.

- Dlatego też spytałem Monsieur Cartera, czy zdarzyły się kiedyś zamachy na jego życie. W końcu drukuje wiele rzeczy, które muszą być niepożądane dla osób z poważnymi interesami. Powiedziałbym, że w pewnych kręgach musi być wysoce niepopularny.

- Tak, wysoce niepopularny - powtórzył Morin. Patrzyli na mnie teraz obaj wyczekująco, jak gdyby spodziewali się ode mnie odpowiedzi na toast. Pociągnąłem łyk i zakrztusiłem się trochę. To była nie rozcieńczona whisky.

- Gdyby każdy, kto jest wysoce niepopularny kwalifikował się do morderstwa - powiedziałem - mielibyśmy mięgiem rozwiązany problem przeludnienia.

Obaj roześmiali się tak szczerze, iż przez chwilę myślałem, że powiedziałem coś zabawnego. Ale oczywiście śmialiby się ze wszystkiego, co powiedziałem w tym momencie. Mówiono mi, że zawsze zgrywają się na wesołych chłopaków, są cali w uśmiechach, zanim zaczną cię naprawdę przyciskać. Pomysł, moim zdaniem błędny, polega na tym, że usypia ofiarę poczuciem fałszywego bezpieczeństwa.

W trakcie tego poklepywania się po plecach weszła Madame Coursaux. Uśmiechając się w odpowiedzi na odgłosy zabawy, przygotowała sobie drinka.

- Mechanik pojechał do pańskiego samochodu - powiedziała, kiedy się podniosłem.

- Jestem niezmiernie wdzięczny, Madame. - Postawiłem szklanekę na stole. - W takim razie będzie lepiej, jeśli pojedę i ja.

- Całkiem niepotrzebnie, Monsieur. Zadzwoń do nas, kiedy będzie gotowy.

Kiedy zawahałem się, Morin wyciągnął swoją nakrapianą łapę i popchnął mnie z powrotem.

- Nie możemy jeszcze pozwolić panu odejść, przyjacielu - powiedział. Niech pan najpierw skończy drinka, niech pan skończy drinka. Wtedy zobaczymy.

Jego uśmiech zwęził się, a głos nabrał ostrzejszych tonów. Przez chwilę rozważałem, czy nie powiedzieć mu, by poszedł do diabła i wyjść. Ale będę z panem szczerzy, panie L. Nie miałem odwagi spróbować. Widzi pan, byłem wtedy całkiem pewien, że w tym pokoju nie jestem już wolnym strzelcem, ale też zbyt wystraszony, aby sprawdzić, czy mam rację. Pomyślałem, że będzie łatwiej grać z nimi dalej i udawać, że się nie boję. Usiadłem ze wzruszeniem ramion.

- To już lepiej. - Pchnął w moją stronę drinka. - A więc Monsieur Carter, niech nam pan opowie o tym niebezpiecznym życiu, które pan prowadzi.

- Co chcecie wiedzieć?

Morin uniósł szyderczo brwi i spojrzał na Schneidera.

- On nas pyta, co chcemy wiedzieć. Czy można być bardziej wielkodusznym?

- Rzeczywiście, czy można! - Schneider wstał z otomany i przysiadł na krawędzi stołu. - Trzymam go za słowo. Jak mówi Morin, jestem wiernym czytelnikiem Interkomu, Monsieur, ale jeszcze kilka tygodni temu nie zdawałem sobie sprawy że pan, Monsieur Carter, jest osobą z przygotowaniem naukowym.

- Nie jestem.

- Z pewnością jest pan zbyt skromny.

- Stwierdzam tylko fakt.

- W takim razie musi pan mieć kogoś takiego w swoim personelu.

- Nie.

- Czy tak? Więc jak pan dokonuje oceny tych naukowych informacji, które zaczął pan ostatnio publikować?

- Pochodzą zazwyczaj z wiarygodnych źródeł. Morin uśmiechnął się szyderczo.

- Ach, ta stara dziennikarska śpiewka! Zazwyczaj wiarygodne źródła. Jak dobrze usłyszeć to z ust samego redaktora. Jakie są inne? Źródła zbliżone do rządowych? Dobrze poinformowane koła? Czy tak? Doradca prezydenta? Poufny raport widziany przez naszego korespondenta?

- To ostatnie byłoby nieco amatorskie.

- Amatorskie? - warknął.

Użyłem tego słowa, ponieważ odgadłem, że go zrani i najwyraźniej tak się stało. Ale nie powinienem był wcierać soli.

- Byłby pan kiepskim wydawcą, Monsieur Morin - powiedziałem. - Myślałem że to jasne. Jeżeli pański korespondent widział Poufny raport, oczywiście nie ujawni pan tego. Mówi pan, że został pan nieoficjalnie, ale wiarygodnie poinformowany lub powołuje się pan na informatora, który nie chce być rozpoznany. W ten sposób unika pan kompromitacji osoby, od której był przeciek, i zarazem zabezpiecza się pan na wypadek, jeśli przeciek był rozmyślny.

Przez trzy sekundy była cisza, po czym zaatakował Schneider.

- Ale pan jest dobrym redaktorem, co, Monsieur?

- Myślę że kompetentnym.

- Więc dlaczego nie praktykuje pan tego, czego naucza?

- Zazwyczaj to robię.

- Chyba pan żartuje. Czy to normalna praktyka publikować nazwisko informatora w celu uchronienia go przed kompromitacją?

- Z pewnością nie.

- Ale tak postępuje Interkom, czyż nie? - Pochylił się do przodu. - Gdybym był członkiem sowieckiej misji handlowej, który rozmawiał z panem na poufne tematy, a później zobaczył opublikowane swoje nazwisko jako pańskiego informatora, jak odpowiedziałby pan na mój zarzut o zdradę?

Zdecydowałem, że jedynym wyjściem jest złapać byka za rogi.

- Rozumiem, że nawiązuje pan do człowieka o nazwisku M.W.Skriabin, - powiedziałem. - Nie składał mi żadnego zażalenia.

- To nie jest odpowiedź - powiedział Morin. - Czy zna pan tego Skriabina? Czy kiedykolwiek go pan spotkał?

- Znam go.

- Więc jeśli go pan zna, musi pan także wiedzieć, że bez względu na okoliczności nigdy nie przekazałby informacji, które mu pan przypisał.

- Dlaczego nie? - Wiedziałem, że tracę przewagę, więc powiedziałem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy. - Jako wysoki oficer KGB prawdopodobnie miałby do niej dostęp.

Dostrzegłem zbliżającą się dłoń Schneidera, ale nie zdążyłem się zasłonić. Trafiła mnie w bok głowy, tuż nad kością policzkową i prawie zrzuciła mnie z fotela. Przez chwilę nie za bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ból dudnił mi w głowie i niczego nie widziałem. Nagle zaczęło mi dzwonić w uszach, a oczy zrobiły się mokre i zorientowałem się, że moje okulary znajdują się na moich kolanach razem z większością mojego drinka.

Odruchowo z powrotem włożyłem okulary i stwierdziłem, że oprawki są zgięte.

Schneider patrzył na mnie z nienawiścią.

- Gdybym był Skriabinem - powiedział - to byłby tylko początek. Ale że nie jestem Skriabinem, a tylko jednym z pańskich czytelników ze specjalnym pragnieniem dowiedzenia się prawdy, może pan to potraktować jako ostrzeżenie, by nie mówić bzdur. Kim była osoba, która przekazała te informacje?

- O sejsmografie?

- Zaczniemy od tego.

Zdecydowałem, że nadszedł czas by przyjąć radę Blocha i pozwolić mu wziąć część odpowiedzialności.

- Nie trafiły bezpośrednio do mnie - zacząłem. - Widzicie... Zobaczyłem, że dłoń Schneidera znowu zaczyna się poruszać, ale Morin powstrzymał go.

- Zaczekaj - powiedział. - Wydaje mi się że nasz przyjaciel Carter nie rozumiał jeszcze sytuacji. - Odwrócił się do mnie. - Musi pan zrozumieć, że nie zadajemy tych pytań, by zaspokoić doraźną, osobistą ciekawość.

- Może to dziwne - powiedziałem - ale ten pomysł ugotował już sobie do mnie drogę. Mogłście przejść do rzeczy o wiele szybciej i bez tych wszystkich czarów marów.

Nie zwrócił na to uwagi.

- Jak powiedział Schneider - kontynuował otwarcie - mamy specjalne powody, by znać prawdę. Lepiej niech pan przyjmie do wiadomości fakt, że zamierzamy ją poznać.

W szklance pozostał łyk whisky, więc dokończyłem ją.

- W porządku - powiedziałem - przyjmuję ten fakt. Ale kiedy mam do czynienia z takimi zbirami jak wy, lubię wiedzieć, kim oni są. W ten sposób to mniej nudne. Wasze przebranie jest francuskie, więc chyba nie jesteście z SDECE. To pozostawia CIA, KGB i BND. Pytam z ciekawości, kim jesteście?

Madame Coursaux westchnęła gniewnie i podeszła z butelką whisky.

- Nasze akta na twój temat, Carter, mówią że jesteś inteligentny - powiedziała napelniając mi szklankę. - Jeśli chcesz dotrzeć do domu na tę wspaniałą kolację, którą przygotowuje twoja córka, w takim stanie, aby ci smakowała, najwyższy czas żebyś zaczął się zachowywać jak człowiek inteligentny.

Morin przytaknął.

- Rozsądna rada, Carter. Rozumiemy twoją potrzebę podtrzymania swojej odwagi przez te dziecinne werbalne gesty i byliśmy dotąd cierpliwi. Być może boli cię teraz głowa, ale niezbyt dotkliwie. Wypij trochę whisky, zacznij odpowiadać z ochotą napytania mojego przyjaciela, a prawdopodobnie poczujesz się lepiej.

- W innym wypadku na pewno poczujesz się gorzej - powiedział ponuro Schneider. - Mówisz, że informacje określone jako pochodzące od M.W.Skriabina nie dotarły do ciebie bezpośrednio. Jak więc je otrzymałeś? Z jakiego źródła?

- Od właściciela Interkomu Arnolda Blocha.

- Który uzyskał je od kogo?

- Nie wiem. - Twarz Schneidera zaczęła tężeć, więc powtórzyłem to głośniej. - Mówię wam, że nie wiem. Otrzymałem całą historię w tej formie, w jakiej ją czytaliście. Żadne słowo nie było zmienione, mimo iż prosiłem o pozwolenie na wprowadzenie zmian.

- Dlaczego? Jakiego typu zmian?

- Chciałem pominąć nazwisko Skriabina. To byłoby zgodne z naszą ustaloną linią niewymieniania źródeł informacji. Zatelegrafowałem do Herr Blocha w Monachium o pozwolenie skreślenia nazwiska. Odpowiedział odmawiając zgody.

- Czy podał jakieś powody?

- Nie. Miałem po prostu opublikować tekst dokładnie tak, jak go dostałem.

- Czy masz na to dowód?

- Tak, mam korespondencję w biurze, chociaż czemu u diabła miałbym wam cokolwiek udowadniać...

Uciszył mnie gestem dłoni.

- Mówisz, że otrzymałeś to. Jak?

- Poczta z Kopenhagi. Ale na monachijskim papierze firmowym Blocha.

- Jakiś adres w Kopenhadze?

- Nie. Znaczki były duńskie i kopenhaski stempel na kopercie.

- Oświadczyłeś przed chwilą, że M.W.Skriabin jest wyższym oficerem KGB. Ta sugestia nie występuje w materiałach, które opublikowałeś. Czy pochodzi ona również od Blocha?

- Nie.

- Ach, więc masz jednak inne źródło. Kto?

- Biblioteka Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Nie żartuj już więcej, Carter.

- Nie żartuję. Jak wam mówiłem, nie chciałem publikować nazwiska Skriabina. Byłem nieszczęśliwy musząc to zrobić. Kazałem komuś go sprawdzić. Poprzez znajomości w bibliotece ONZ ta osoba wygrzebała o nim trochę danych biograficznych, wykształcenie, przebieg kariery zawodowej, odznaczenia. Tego typu rzeczy. Związek z KGB został wydedukowany z faktu, że mianowa nie go członkiem pomniejszej misji handlowej było niewspółmierne do przebiegu jego wcześniejszej służby. Praca w misji handlowej była ewidentną przykrywką.

Popatrzył na mnie nieruchomo przez chwilę, a potem skinął głową.

- Przyjmiemy to na razie. Teraz pozycja, którą opublikowałeś 29 listopada na temat Operacji Trójkąt. Jakie było tutaj twoje źródło?

- To samo. Arnold Bloch.

- Ale wiedziałeś, co to była Operacja Trójkąt?

- Nie, nie miałem najmniejszego pojęcia. Do tej pory nie mam.

- Nie pytałeś?

- To nie był mój interes.

- A kto jest redaktorem? To nie był twój interes?

- Publikowałem techniczne i handlowe biuletyny informacyjne na podstawie instrukcji od właściciela, Herr Blocha.

- A jeśli ci powiedziano, że Operacja Trójkąt jest zakodowaną nazwą pierwszego stopnia systemu radarowego zwalczającego rakiety balistyczne i znajduje się na tajnej liście NATO, czy także opublikowałbyś te informacje?

- Nie potrafię powiedzieć, co bym zrobił. To by zależało od tego, kto by mi to powiedział i czy bym uwierzył, czy nie.

- Mnie możesz wierzyć, Carter.

- Więc NATO powinno zacieśnić swój system bezpieczeństwa - powiedziałem. - Prawdopodobnie napiszę coś na ten temat, choć oczywiście nie będę was cytował. - Sprężył się znowu, więc szybko mówiłem dalej. - Niech pan posłucha, Monsieur Schneider, marnujecie swój czas przyciskając mnie. Właścicielem Inter-komu jest Arnold Bloch. On nim kieruje. Jest także konsultantem od spraw reklamy. Oba te biuletyny informacyjne, o których mówiliście, na równi z innymi, o których nie wspomnieliście, zostały opublikowane na jego polecenie w celu promocji interesów pewnych jego współpracowników.

- Jakich współpracowników?

- Powiedziano mi, że francuskich i zachodnioniemieckich. Nic więcej o nich nie wiem. Zaś co do zawartości biuletynów, w większości przypadków były dla mnie niezrozumiałe. Przyjmowałem je do druku od Herr Blocha zakładając, że będą interesujące przynajmniej dla części naszych czytelników. Najwyraźniej się nie zawiodłem. Wydaje się, iż wzbudziły poważne zainteresowanie i wygląda na to, że wiecie dlaczego. To więcej niż wiem ja.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, po czym Morin pochylił się do przodu.

- Czy naprawdę możesz być tak niewinny jak sugerujesz, Carter?

- Niewinny czego? - odparowałem. - Czy sugerujecie że miało miejsce coś nielegalnego, że wydawcy Interkomu popełnili wykroczenie przeciw prawu?

Potrząsnął za znużeniem głową, nie przecząco, ale jakby w rozpacz nad moim szaleństwem.

- Spytałeś nas, kim jesteśmy, pamiętasz? I to spytałeś w szczególny sposób. Dlaczego, skoro nie masz nic do ukrycia i nie zrobiłeś niczego nierozważnego, mogłeś się spodziewać przesłuchania przez członków obcych wywiadów?

- Ponieważ, jak Madame była łaskawa mi przypomnieć, nie jestem głupcem i ponieważ nie pierwszy raz w tym tygodniu jestem dręczony przez zupełnie obcych ludzi zadających podobne pytania.

Skinął głową. Nie wydawał się zdziwiony. W sąsiednim pokoju zaczął dzwonić telefon; poczekał, aż Madame Coursaux pójdzie go odebrać, nim zaczął pytać dalej.

- To była CIA, czy tak?

- Przypuszczalnie, chociaż ich nie pytałem. Ich metody - dodałem - były mniej szorstkie niż wasze, ale oznajmili, że surowsze metody mogą być użyte, jeśli nadal nie będę chętny do współpracy. To dlatego spytałem, czy wy też jesteście z CIA. Teraz oczywiście wiem, że byłem w błędzie.

- Dlaczego? - zapytał ostro Schneider.

- CIA w najmniejszym stopniu nie obchodziłby towarzysz Skriabin. Byli bardziej zaniepokojeni historią, którą opublikowałem na temat myśliwców zwiadowczych NATO.

- Czy te dane też pochodziły od Arnolda Blocha?

- Tak. Czy to nie znamienne? On także dostarczył historię o wadliwym sowieckim paliwie raketowym. Możecie to także zamieścić w swoim raporcie.

Niedbale chlusnął mi w twarz resztką swego drinka. Kawałek lodu ześlizgnął się po moim krawacie i dołączył do whisky, która już przemiękała przez moje majtki.

- Pomówmy teraz o Blochu - powiedział. - I dosyć bezczelności.

- Nie mam wiele do powiedzenia. Nigdy go nie widziałem na oczy. Nigdy nawet z nim nie rozmawiałem. Cały nasz kontakt był listowny lub telegraficzny. Jeśli chcecie wiedzieć coś więcej, będziecie musieli spytać go osobiście. W rzeczy samej, poinstruowałem mnie wyraźnie dzisiejszym telegramem, że wszelkie zapytania dotyczące tych biuletynów - wszelkie zapytania, z jakiegokolwiek źródła - należy kierować do niego osobiście. Jego adres to...

- Znamy jego adres. Czy gdybyśmy poszli teraz z tobą do twojego biura, moglibyśmy zobaczyć ten telegram z instrukcją, który, jak mówisz, otrzymałeś?

- Moglibyście. - Strzepnąłem kawałek lodu z nogi na ziemię. - Moglibyście także dostać adres dr Bruchnera, szwajcarskiego dyrektora spółki, która jest właścicielem Interkomu. Jest w Bale. Po tym mógłbym pokazać wam memorandum od Herr Blocha przypominające mi, że każde wtrącanie się agentów obcego wywiadu do szwajcarskiego przedsiębiorstwa byłoby postrzegane przez federalne służby bezpieczeństwa jako poważne wykroczenie. Może kiedy to przemyślicie, moglibyśmy wezwać policję?

Schneider rozłożył ręce, jakby wreszcie zawiodły go słowa, i poszedł zrobić sobie kolejnego drinka. Morin roześmiał się.

- Ale co byś powiedział policji Carter? Że zepsuł ci się samochód? Że tak się złożyło, iż przejeżdżaliśmy obok i zaprosiliśmy cię tutaj na drinka, gdy twój samochód był w naprawie? Że kiedy rozmawiałeś z nami przyjaźnie, przypadkowo przewróciłeś na siebie szklankę? Nie sądzę, aby policja była bardzo zainteresowana tymi informacjami, a ty?

Madame Coursaux wróciła do pokoju.

- Jego samochód jest gotowy - powiedziała.

- Dobrze, dobrze - Morin zachichotał drwiąco. - Nie mieli chyba kłopotu w założeniu plastyku, bomby. Czy wybuchnie, kiedy otworzy drzwi czy kiedy przekręci kluczyk w stacyjce? - Uniósł nagle dłoń w kpiącym ostrzeżeniu. - Nie, lepiej nic nie mówić. Niech to będzie niespodzianka.

Podniosłem się. Wstał razem ze mną.

- Idziesz? - powiedział.

- Ile jestem winien? - spytałem Madame Coursaux.

- Za co Monsieur?

- Za zamontowanie z powrotem palca rozdzielacza. Domyślam się, że to właśnie wymontowaliście, czy tak?

Patrzyła na mnie bez wyrazu. Morin wydał dźwięk dezaprobaty.

- Moja droga - powiedział do niej - jego przeżycia w rękach CIA nasuwają mu dziwne pomysły. - Zerknął na Schneidera. - Musimy być wyrozumiali, co?

Schneider przyglądał mi się zimno przez chwilę. Potem powiedział ?

- Nie będzie rachunku, Carter, nie tym razem.

Skinął na znak, że mogę odejść. Wszedłem do przedpokoju z Morinem za sobą. Kiedy pomagał mi wkładać płaszcz, powiedział cicho.

- Dam ci przyjacielską radę, Carter. Być może będzie następny raz. Mamy kolegów, którzy mogą mieć dalsze pytania i propozycje. Proszę, nie narażaj się na dalsze kłopoty idąc na policję lub do szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. Nie mogą ci pomóc. Narazisz tylko na niebezpieczeństwo interesy własne i cudze. Pamiętaj natomiast o tym, o czym mówiliśmy wcześniej, o losie kobiet i mężczyzn, którzy pracowali dla Resistance. Zginął nie tylko wydawca, rozumiesz?

- Rozumiem. - Chciałem tylko wydostać się stamtąd w cholerę.

Uśmiechnął się i otworzył drzwi.

- Bon appetit - powiedział wesoło. Wyszedłem.

Nogi drżały mi bardzo mocno, ale kiedy wyszedłem znów na powietrze, poczułem się troszkę lepiej. Zacząłem iść w stronę samochodu.

Byłem w odległości trzech budynków od Chateau Europa i ból głowy zaczynał ustępować, kiedy zobaczyłem Fiata z fryburską rejestracją, który przemknął obok mnie i zatrzymał się w pobliżu następnego skrzyżowania.

Rozdział 7

VALERI E CARTER wywiad spisany z taśmy magnetofonowej

Kiedy mój ojciec wrócił do domu, wyglądał strasznie. Jego twarz była blada i pokryta plamami. Miał pogięte okulary i zdawał się mieć kłopoty z oddychaniem. Cuchnął whisky.

Przez kilka chwil wydawało mi się, że jest pijany i gdzieś się przewrócił. Wymamrotał coś o tym, że został porwany, a później, nie zdejmując płaszcza, poszedł do salonu wyjrzeć przez okno.

Poszłam za nim i wzięłam od niego płaszcz.

- Co się dzieje? - spytałam. - Znowu byłeś śledzony?

- Tak - powiedział - ale chyba już sobie poszli. Muszę się napić, Val, nie dodawaj zbyt dużo wody, dobrze?

- Kolacja już prawie gotowa.

- Mimo to muszę się napić. Mogę cuchnąć jak gorzelnia, ale głównie z zewnątrz.

Nie dyskutowałam z nim. Zdałam już sobie sprawę, że był wytrącony z równowagi, ale nie pijany.

- Co się stało?

Nie powiedział mi od razu.

- Muszę pomyśleć, Val, muszę pomyśleć. Dałam więc mu drinka i wróciłam do kuchni.

Stał ciągle przy oknie, kiedy przyniosłam tacę i zaczęłam nakładać dania na gorące talerze.

Pamiętam, że tego wieczora były cielęce kotlety w sosie z białego wina, ale nie wydaje mi się, żeby któreś z nas jadło dużo. Przy kolacji powiedział mi, co się z nim działo.

Muszę się do czegoś przyznać, panie Latimer. Nie przepadam za powieściami kryminalnymi i rzadko je czytuję. Niektóre z pańskich oczywiście czytałam - ojciec ma je w wydaniach angielskich - ale zrobiłam to dopiero po tym, jak pana spotkałam, ponieważ wydawało mi się, że tak będzie uprzejmie, i chciałam wiedzieć jak dobrze pan pisze. Oczywiście, podobały mi się. Sądzę, że są wysoce pomysłowe i o wiele lepiej napisane niż większość tego typu książek. Przede wszystkim nikt w nich nie zachowuje się głupio. Mój Boże, to wszystko musi brzmieć strasznie impertynencko i protekcjonalnie, ale jestem pewna, że wie pan, o co mi chodzi. Jedną z rzeczy, której nie mogę znieść w powieściach tego rodzaju, jest bohater, który wpada w tarapaty i musi przejść przez straszliwe niebezpieczeństwa tylko dlatego, że z jakichś kiepsko wymyślonych przyczyn nie poszedł na policję, gdy zaczęły się kłopoty. Autor zakłada, że czytelnik jest kretynem, co doprowadza mnie do pasji.

Więc gdy mój ojciec zaczął tłumaczyć mi, dlaczego nie może iść na policję i powiedzieć im, co się dzieje, zrobiłam się zła. Oczywiście to zezłościło jego. Stał się cierpki.

- Co dokładnie panna Wielkie Serce proponuje, abym powiedział policji?

- Mówiłeś, że zostałeś porwany.

- Pozornie porwany.

- I poturbowany.

- Co sugerujesz, bym przedstawił jako dowód? Pogięte oprawki do okularów?

- Mógłbyś ich zaskarżyć pod przysięgą.

- To by był mój głos przeciwko ich - jeden przeciwko trzem.

- Tak - powiedziałam - ale oni też musieliby przysiąc. Byliby przesłuchiwani przez policję i musieliby złożyć zeznania. Jeśli są tymi, za kogo ich uważasz, ludźmi KGB, to by im się nie podobało. Jak ci się wydaje, dlaczego ostrzegli cię przed zawiadaniem policji?

- Ponieważ sprawiłbym im tym jakieś pomniejsze kłopoty.

- Na pewno to lepsze niż nic. Przynajmniej dowiedzą się, że nie jesteś zastraszony.

- Dowiedzą się też, że moja reakcja na groźby to bezcelowe i nieskuteczne stawianie oporu. Nie chciałbym raczej, by włączyli to do moich akt.

- Więc po prostu nie zrobisz nic?

- Nic nie da się zrobić.

- Mógłbyś przynajmniej zadzwonić do dr Bruchnera i poradzić się.

Nie odpowiedział na to. Nie wydaje mi się nawet, żeby to usłyszał. Jego myśli odbiegły nagle gdzieś daleko. Poszłam zrobić kawę.

Kiedy wróciłam, ciągle wpatrywał się w swój talerz.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedział.

Z trudem powstrzymałam się, by nie powiedzieć „Tylko jednej?”

- Nie spytali mnie, co się będzie działo dalej - kontynuował.

- Gdybym to ja zadawał pytania dziś wieczorem, chciałbym się dowiedzieć, czy opracowywane są jeszcze jakieś biuletyny, a jeśli tak, to czego dotyczą. Oni nie chcieli. Morin wspominał coś niejasno o kolegach, którzy mogą mieć dalsze pytania i sugestie, ale to wszystko. To wygląda jakby ich zadaniem było po prostu poznać źródła biuletynów i zmiękczyć mnie trochę na przyszłość. Ostrzegł mnie przed powiadamianiem policji czy ludzi z federalnej służby bezpieczeństwa i groził konsekwencjami, jeśli to uczynię. Ale nie powiedział „Przestań publikować te historyjki, które przysyła ci Bloch albo...”. Zastanawiam się dlaczego.

- Być może zostawiają to ultimatum osobiście dla Blocha - powiedziałam. - On określa politykę wydawnictwa, nie ty. Powiedziałeś im to. Przy okazji, czy przysłał ci nowe biuletyny?

- Tak, jeden. - Opowiedział mi o tej sprawie z elektretem.

- Przypuszczam - ciągnął dalej - że kiedy to się ukaże, będę miał też na karku Anglików.

- Więc nie drukuj tego.

- Nie bądź niemądra, Val. Oczywiście, że to wydrukuję. - Wstał. - Wszystko jedno, teraz wracam do biura.

- O tej porze w nocy? Dlaczego?

Dopił swoje wino i nalał sobie do kawy sporo brandy.

- Ponieważ - powiedział - właśnie przyszło mi do głowy, że jedyny dowód na to, iż mówiłem prawdę, znajduje się w teczce tkwiącej w szufladzie biurka Nicole - biuletyny, korespondencja z Blochem, wszystko. Osobiście to tam włożyłem przed wyjściem. Ale po tym, co się stało dzisiejszego wieczoru, myślę, że będę lepiej spał podczas weekendu, kiedy tateczka będzie w bezpiecznym miejscu.

- Czy chcesz, żebym cię zawiozła? Potrząsnął głową.

- Wrócę, zanim skończysz zmywać naczynia. Przed wyjściem wypił kawę i brandy.

To było tuż przed dziesiątą. O jedenastej zaczęłam szykować się do łóżka. Fakt, że nie wrócił do tej pory, nie zaniepokoił mnie. Kiedy był w biurze, wiedziałam, że nie zwracał specjalnie uwagi na godzinę. Jednak o jedenastej trzydzieści zaczęłam być zmęczona, więc postanowiłam zadzwonić do biura i powiedzieć mu, że nie będę czekała. Nikt nie odbierał. Myślałam wtedy, że poszedł do kafejki napić się jeszcze brandy. Nie mogłam na to nic poradzić. Położyłam się do łóżka.

O siódmej rano następnego ranka zadzwonił telefon ze szpitala.

TEODOR CARTER spisane z taśmy magnetofonowej

Mówiąc prawdę, nie byłem zupełnie szczerzy z Val. Wróciłem do biura nie tylko po to, by schować w bezpieczne miejsce teczkę Blocha. Chciałem także jeszcze raz rzucić okiem na ostatni biuletyn, zanim zdecyduję się, czy go opublikować.

Pomimo mych dzielnych słów, jakie wypowiedziałem na ten temat, pomysł zaproszenia Anglików, żeby przyłączyli się do szybko rosnącego klubu o nazwie Potrząśnij Carterem, nie wydawał mi się w tym momencie szczególnie pociągający. Nie myślałem, że Anglicy przyślą swoich byczków, którzy dadzą mi kilka szturchańców i wyleją na twarz parę drinków, ale ludzie z ich wywiadu nie zawsze są tak gentlemanscy, jak udają. Potrafią być mściwi. Gdyby chcieli być niemili i zabrali się do tego w odpowiedni sposób, prawdopodobnie potrafiliby napuścić na mnie ambasadę kanadyjską w Bernie.

Z drugiej strony nie miałem zamiaru rzucać ręcznika tylko dlatego, że sprawy zaczynały przybierać trochę nieprzyjemny obrót. Nie lubię, jak mnie ktoś przyciska.

Cholernie mnie to denerwuje. I pomimo, iż nie znałem Blocha, pozostawało faktem, że płacił mi pensję. Więc jeśli chciał, żeby te jego przekłete techniczne biuletyny ukazywały się w wydawnictwie, które należało do niego, kim byłem, aby powiedzieć mu nie? Jako redaktor miałem prawo do sprzeciwu ze względu na politykę wydawniczą i rezygnacji, jeśli moje wątpliwości zostałyby odrzucone i gdybym miał co do nich wystarczające przekonanie. Mogłem także sprzeciwić się z przyczyn prawnych, jeśli materiał przesłany do publikacji był moim zdaniem obsceniczny lub zniesławiający. Gdybym sam nie miał nic przeciwko powoływaniu się na Skriabina, nikt, być może z wyjątkiem pana Schneidera z KGB, nie sugerował, że był to paszkwil. Goodman nie skarżył się, że zniesławiliśmy FG 115.1 jeśli Trzeci Nowy Międzynarodowy Słownik Webstera nic nie pokręcił, nie było niczego obscenicznego w elektretach. Zadanie Interkomu nie polegało na zwyciężaniu w konkursach popularności. Dopóki więc ktoś uprawniony do tego nie wydał polecenia zawieszenia nas, wydawało mi się, iż nie mam prawa, by zaprzestać wypełniania poleceń właściciela.

Mimo to bałem się. Gdy dotarłem do biura, jedno było już postanowione. Jeśli po ponownym przeczytaniu biuletynu zdecyduję się ciągnąć dalej i opublikować go, wykorzystam swoje uprawnienia redaktora i umieszczę nazwisko Blocha w nagłówku. Może wtedy, jeśli Anglicy będą mieli ochotę kogoś przycisnąć, wybiorą raczej jego niż mnie.

O tej porze w nocy nie miałem kłopotu z zaparkowaniem obok budynku. Nie spostrzegłem nigdzie samochodu z fryburską rejestracją.

Nasze biuro było na drugim piętrze. Skrzynki na listy znajdowały się w holu na parterze. Bardziej z przyzwyczajenia niż spodziewając się coś znaleźć zerknąłem przez małe szklane okienko w drzwiczkach naszej skrzynki, gdy naciskałem przycisk zapalający na pewien czas światło na piętrze. Był tam telegram.

Otworzyłem skrzynkę i przeczytałem. To był ten od doktora Bruchnera, podający mi adres Blocha na poste restante w Brukseli. Wydawało się, iż niewiele teraz z niego pożytku poza potwierdzeniem, że dr Bruchner ciągle się stara.

Włożyłem telegram do kieszeni płaszcza i poszedłem na górę.

Otwarcie i przeczytanie telegramu zajęło mi może pół minuty. Światło zgasło, kiedy byłem ciągle na schodach. Zakląłem i zacząłem iść po omacku do przycisku na półpiętrze. Schody nie były wyłożone dywanem i śmiem twierdzić, że narobiłem sporo hałasu, zanim zdążyłem zapalić światło i włożyć klucz w drzwi prowadzące do biura - więcej niż potrzeba, by ostrzec kogoś w środku o moim nadejściu.

Zamek był obrotowy, nie zatraskowy i trzeba było zamykać go na noc na klucz, inaczej każdy mógłby wejść naciskając po prostu klamkę. Wychodziłem ostatni i byłem

pewien, że zamknąłem go jak zazwyczaj. Teraz stwierdziłem, że klucz nie chce się obrócić i że drzwi nie są zamknięte. Moją pierwszą myślą było, iż dozorca był tu z jakiegoś powodu - miał klucz uniwersalny -

I zapomniał zamknąć wychodząc. Pchnąłem drzwi, wszedłem i poszukałem kontaktu z lewej strony.

W tym czasie światło na schodach zgasło na nowo i ciągle szukałem wewnętrznego kontaktu, gdy poczułem, że coś jest nie w porządku. Większość biur ma swoje charakterystyczne zapachy. Nasz był mieszaniną farby powielaczowej, oleju do naświetlarki, materiałów piśmiennych, płynu do wywabiania błędów z matryc i francuskich papierosów Nicole.

To, co czułem teraz, było zapachem lawendy.

Moje serce drgnęło nieprzyjemnie. Odwróciłem się, by wyjść. W tym momencie w odległości dwóch wyciągniętych ramion zapaliła się latarka.

Było to silne światło i podniosłem dłoń, by zasłonić oczy. Wydaje mi się, że zacząłem mówić „Co u diabła się dzieje?”, ale nie dokończyłem. Kiedy otworzyłem usta, usłyszałem trzask jakby ktoś otwierał puszkę piwa, i coś dmuchnęło mi w twarz.

Sekundę po tym, z następnym oddechem nadszedł ból.

Tym świństwem nie był gaz łzawiący. Wiem, jaki jest. Łyknąłem kiedyś porcję, gdy miałem napisać sprawozdanie z zamieszek ulicznych w Paryżu. To było dziesięć razy gorsze - coś w rodzaju maczugi chemicznej lub gazu paraliżującego, nie umiem dokładnie powiedzieć. Nie miało jakiegoś szczególnego zapachu, ale działało prawie natychmiast. Najpierw pojawił się przejmujący ból w zatokach, później w gardle, a potem w piersiach. Do tego szybko dołączyło uczucie, że żołądek podnosi się szybko do gardła, jakby chciał uciec, zanim stanie się coś gorszego. Jakby coś we mnie w środku eksplodowało. Nie sądzę, iż straciłem przytomność, ale następną rzeczą, jaką pamiętam, było wyraźnie to, że nieudolnie posuwam się do przodu z zamkniętymi oczyma, walcząc z nudnościami i próbując w tym samym czasie zaczerpnąć powietrza, a następnie wałę się przez krzesło. Nie starałem się podnieść. Chciałem tylko, aby ból ustał i bym znów mógł oddychać.

Nie wiem, jak długo tam leżałem, nim skurcze żołądka zaczęły ustawać - może dwadzieścia minut - a później bałem się poruszyć, by nie powróciły. Znajdowałem się ciągle w małym pokoju wejściowym. Nie było tu okien, więc siedziałem w kompletnych ciemnościach. Po pewnym czasie spróbowałem, czy nie mógłbym się zorientować za pomocą dotyku. Dotknąłem nogi krzesła, na które upadłem, i to mi dało pewne pojęcie, gdzie się znajduję. Było tylko jedno krzesło w pokoju wejściowym. Odczekałem minutę albo dwie i

popęzłem w kierunku drzwi. Dopiero kiedy znalazłem framugę, spróbowałem wstać. Ciągłe czułem, jakbym miał zatoki wypełnione płynnym ołowiem, ale żołądek wydawał się spokojniejszy. Odnalazłem kontakt i zapaliłem światło. Kiedy znowu przywykłem do postawy pionowej i poczułem, że moje nogi są w stanie się poruszać, ominąłem ślady mej niedyspozycji żołądkowej i wszedłem do swojego gabinetu.

Moje biurko zostało oczywiście przeszukane. Zawartość szuflad leżała na wierzchu starannie poukładana w stosy. Fakt, że sejf był otwarty, nie zaskoczył ranie. Był to pomysł Generała, by mieć sejf na dokumenty, ale używałem go tylko do przechowywania ksiąg rachunkowych, a jako że był to tani model przeznaczony do ochrony zawartości bardziej przed pożarem niż złodziejami, zazwyczaj zostawiałem klucz w zamku.

Przeszedłem do pokoju Nicole. Tam nic nie wydawało się naruszone. Znalazłem teczkę Blocha w szufladzie jej biurka, tam gdzie ją zostawiłem.

Sprawdzenie, że nic nie brakuje, zajęło mi niewiele czasu. Wyjąłem ostatni biuletyn, wkręciłem w maszynę do pisania Nicole i dodałem linijkę do nagłówka - Od naszego monachijskiego korespondenta Arnolda Blocha. Następnie zrobiłem odbitkę w kopiarce i umieściłem duplikat w teczce z napisem DO DRUKU, która zawierała resztę materiałów następnego numeru. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi w poniedziałek rano, to przepisze je, abym mógł przystąpić do końcowej redakcji. Do tego czasu nie musiałem o nich myśleć.

Oryginał biuletynu włożyłem z powrotem do teczki. Zabrałem ją ze sobą do mojego gabinetu. Rozważyłem, czy nie zamknąć jej w sejfie, po czym zdecydowałem, że wolę ją mieć przy sobie. Włożyłem ją do starej aktówki.

Moim następnym posunięciem było wyjęcie butelki whisky, którą trzymałem schowaną za Kto jest kim w Ameryce, i szklaneczki, która stała za Przewodnikiem dyplomatycznym Satowa, oraz próba usunięcia z ust smaku gazu.

O tak, pomyślałem o powiadomieniu policji. Rozważyłem to bardzo starannie. Ale czy mogłem im opowiedzieć coś, w co mogliby uwierzyć? Że było włamanie do mojego biura? Nie było śladów wtargnięcia siłą, obejrzałem drzwi bardzo dokładnie. Że był tu złodziej? Ale nic nie zostało skradzione. Że ktoś psiknął mi czymś w twarz, wskutek czego zwymiotowałem? Tak, był dowód na to, że zwymiotowałem. Niewątpliwie coś, co zjadłem, nie posłużyło mi. Gaz? Może poczuje się pan lepiej rano, Monsieur. Miałbym szczęście, gdyby byli tak uprzejmi.

Posprzątałem nieporządek w zewnętrznym pokoju najlepiej jak umiałem i wywaliłem wszystko do toalety. Później napiłem się jeszcze trochę whisky. Muszę panu powiedzieć, że w tym czasie czułem się ohydnie - byłem zziębnięty, kolana mi drżały. Prawdopodobnie

opóźniona reakcja na szok. Z pewnością nie byłem pijany. Marzyłem tylko o tym, aby położyć się do łóżka.

I z odrobiną szczęścia poszedłbym prosto do łóżka. Odstawiłem to, co zostało z whisky, wziąłem aktówkę i wyłączyłem światła.

Następnie otworzyłem zewnętrzne drzwi i zapaliłem światło na korytarzu. Ceremoniał zamykania wydawał się bezsensowny - było teraz jasne, że kto ma taki zamiar, może otworzyć to pomieszczenie za pomoc;} kawałka papieru - ale postąpiłem jak zwykle. Prawdę mówiąc byłem zadowolony z wymówki pozwalającej odwlec odejście o kilka sekund. Widzi pan, bałem się wyjść na ulicę. Bałem się, że Schneider może czekać tam na mnie z posiłkami. Ale zdecydowałem się podjąć to ryzyko. Dopiero gdy schodząc po schodach zobaczyłem tego sukinsyna z CIA, Richa, idącego w moją stronę z jakimś mężczyzną, którego nie znałem, wpadłem w panikę.

W porządku panie L, wiem. Myśli pan, że zachowałem się jak błazen. Myśli pan, że powinienem dotrzymać pola i powiedzieć stanowczo, ale grzecznie, że przyjmuję tylko zapowiedziane wizyty i to w godzinach pracy. Jeśli myśli pan, że tak by pan postąpił będąc w mojej skórce, to życzę szczęścia. Będzie panu potrzebne, jeśli zamierza pan pchać się pod prąd. Musi pan pamiętać panie L, że ten dzień był dla mnie bardzo męczący. W przeciągu kilku godzin zostałem porwany, poddany ostremu przesłuchaniu, z maltretowany, grożono mi, włamano się do mnie i poczęstowano gazem. Po tego rodzaju potraktowaniu skłonny jesteś do myślenia zbyt pragmatycznego i kiedy widzisz coś, co wygląda na kolejne kłopoty, nie zastanawiasz się. Uciekasz.

Więc uciekłem.

Zbiegłem po schodach prosto na nich, machnąwszy aktówką w kierunku twarzy Richa. Oskoczył do tyłu, by uniknąć uderzenia, i wpadł na mężczyznę idącego za nim. Nie wiem, czy próbowali mnie pochwycić, kiedy przebiegałem. Chyba nie. Byli zupełnie wytrąceni z równowagi i nie dałem im czasu na dośnięcie do siebie. Złapałem za wygiętą poręcz i popędziłem w dół po trzy stopnie na raz.

Rich zawołał coś za mną - coś o tym, że tylko chce porozmawiać - ale nawet nie pomyślałem, żeby się zatrzymać. W Chateau Europa Schneider też chciał tylko porozmawiać. Kiedy dotarłem do drzwi prowadzących na ulicę, usłyszałem goniący mnie tupot.

Fiat z fryburską rejestracją stał na zewnątrz i kiedy przebiegałem, zobaczyłem obracającą się w moim kierunku twarz kierowcy. Mój samochód był po drugiej stronie ulicy, na odcinku jezdni, gdzie dozwolone było parkowanie. Kiedy dobiegłem do niego i

otworzyłem drzwi, obejrzałem się i zobaczyłem Richa z tym drugim, wychodzących z budynku i biegnących przez ulicę w moją stronę. Rich wykrzyknął moje nazwisko.

Mimo, że z trudem łapałem powietrze i trząsałem się cały, udało mi się wepchnąć kluczyk w stacyjkę i ruszyć, zanim mnie dopadli. Wystartowałem jak szalenięc.

Padało wcześniej i ulice były ciągle mokre. Skręcając na Pont de la Coulouvrenière, wpadłem w poślizg, ale zdołałem z niego wyjść. Zbliżyli się jednak do mnie i byli jakieś sto metrów z tyłu, kiedy jechaliśmy przez Boulevard Fazy. Pomyślałem, że spróbuję ich zgubić w ulicach na tyłach stacji Cornavin. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego. Rozumiem teraz, że nawet gdybym ich zgubił w ten sposób, musieliby tylko pojechać pod mój dom i poczekać, aż się tam pojawię. Wtedy po prostu czułem, że muszę uciec. Zdecydowałem, iż nagły skręt w lewo z placu de Montbrillant w poprzek nadjeżdżających pojazdów może załatwić sprawę.

Załatwił. Kłopot polegał na tym, że wybrałem wąską uliczkę z zaparkowaną na rogu ciężarówką i wykonałem skręt zbyt szybko i gwałtownie. Wpadłem w uliczkę pod kątem czterdziestu pięciu stopni ślizgając się wszystkimi czterema kołami. W samochodzie z silnikiem z tyłu nie wychodzi się z poślizgu zdejmując nogę z gazu. Przyśpiesza się, by wyprostować tył. Gdyby ta ciężarówka nie była zaparkowana w tym miejscu, mógłbym to zrobić. A w ten sposób nie miałem miejsca na manewr. Dodałem gazu wchodząc w poślizg, ale tył nie nadążył za przodem. Uderzyłem bokiem w ciężarówkę. Następnie, jak mi opowiedziano, samochód wpadł na krawężnik i uderzył w kamienny pachołek przed wejściem do bramy. Moja głowa uderzyła w przednią szybę i straciłem przytomność.

W ten sposób wszedłem w kontakt z policją.

Rozdział 8

KOMISARZ PAUL - EMIL VAUBAN Policja Kryminalna, Genewa

zredagowany zapis wywiadu*

Wypadek, o którym mowa, miał miejsce około 2325 w piątek 16 grudnia. Dzielnica Cornavin leży w moim rejonie.

Doniesienia na temat wypadków drogowych i innych zdarzeń będących w kompetencji policji zwykle składane są do oficera dyżurnego w komisariacie. Wyciąg z tych doniesień otrzymanych w ciągu nocy przez oficera dyżurnego jest przynoszony rano do biura z chwilą mojego przyjazdu do pracy. W wypadku poważnego przestępstwa lub podejrzenia o możliwości jego zaistnienia jestem oczywiście zawiadamiany telefonicznie w domu, bez

względu na godzinę. Ale z powodu tak pozornie drobnego wydarzenia nie jestem niepokojony.

Jednakże kiedy zobaczyłem nazwisko Teodora Cartera w porannym raporcie z 17 grudnia, natychmiast poprosiłem o dalsze szczegóły w tej sprawie. Jak panu z pewnością wiadomo, spotkałem się niedawno z tym człowiekiem i wydawało mi się, że wskazana będzie szybka wymiana informacji pomiędzy wydziałem kryminalnym a biurem do spraw obcokrajowców.

Najpoważniejszym zarzutem przeciwko niemu w tamtej chwili było prowadzenie pod wpływem alkoholu i niebezpieczna jazda. Jak stwierdzał raport, mieliśmy trzech świadków wypadku. Jeden z nich o mało nie został potrącony, kiedy samochód wypadł z jezdni. Wóz patrolowy znajdował się w tym czasie na pobliskim dworcu kolejowym i przybył na miejsce w półtorej minuty później.

Dowodzący policjant wezwał karetkę ze szpitala, by zajęła się kierowcą Carterem, od którego, jak to opisał, czuć było silnie alkohol i wymioty. Badania krwi i moczu przeprowadzone wkrótce po przyjęciu Cartera do szpitala wykazały stężenie alkoholu w stosunku 320 miligramów na 100 mililitrów krwi i 440 miligramów w moczu. Bez wątpienia wypił dużo. Jego obrażenia, na które składały się stłuczenia i liczne rany cięte twarzy spowodowały

* tłumaczenie CL. wane cząstkami przedniej szyby, wydawały się powierzchowne. Tym niemniej przez pewien czas był nieprzytomny i z tego względu władze szpitalne uważały za wskazane zatrzymać go tam do chwili uzyskania pewności, iż wstrząs nie będzie miał dalszych następstw.

Po odzyskaniu przytomności wygłosił kilka z pozoru irracjonalnych wypowiedzi na temat przyczyn wypadku. Z początku przypisywano je stanowi odurzenia alkoholowego. Gdy obstawał przy nich później i musiał zostać powstrzymany siłą przed opuszczeniem szpitala, powstało podejrzenie, czy nie odniósł czasem poważnych urazów mózgu. Lekarz nadzorujący jego przypadek wezwał na konsultację specjalistę z neuropsychiatrycznego oddziału szpitala. W świetle moich własnych doświadczeń z Monsieur Carterem ta decyzja wydawała mi się wówczas właściwa. Poprosiłem, by informowano mnie o przebiegu tej sprawy.

W tym czasie córka Cartera została zawiadomiona o wypadku i o pobycie ojca w szpitalu. Nie mogła go jednak zobaczyć natychmiast, ponieważ właśnie spał, gdy przyjechała.

Później tego ranka panna Carter odwiedziła mnie w biurze.

Jest ona, z czego bez wątpienia zdaje sobie pan sprawę, niezwykle przystojną młodą kobietą. Z głębokim żalem nie byłem w stanie zadośćuczynić jej prośbie, aby jej ojciec został

postawiony przed sądem tego popołudnia i zwolniony sous caution. Powiedziała, że jest gotowa sama wnieść żądaną sumę.

Przypomniałem jej, iż zarzuty przeciwko jej ojcu są poważne i że sąd nie zbierze się przed poniedziałkiem, oraz że, tak czy inaczej, jej ojciec jest pod opieką szpitala. Powiedziałem, że decyzje policji co do dalszego postępowania muszą poczekać na orzeczenie psychiatryczne.

Oburzyło ją to. Nie była to łatwa rozmowa. Dzisiejsza młodzież nie ma szacunku dla władzy. Próbowałem, najlepiej jak potrafię, wytłumaczyć trudność mojego położenia. Robiąc to wspominałem, może nieco uszczypliwie, iż jej ojciec próbował wytłumaczyć złamanie poprzedniej nocy reguł kodeksu drogowego faktem, że był w tym czasie tropiony i ścigany przez agentów obcego wywiadu.

- A skąd pan wie, że nie był? - spytała obcesowo. Jako że nie uważałem, by to pytanie wymagało odpowiedzi, wzruszyłem ramionami.

To, jak się zdaje, doprowadziło ją do wściekłości.

- Dokładnie. Nie wie pan. A teraz - wskazała palcem na mnie - teraz jest także tropiony przez policję. Wstyd mi.

- Mademoiselle - zacząłem, ale nie była w stanie słuchać głosu rozsądku.

- Tak, wstyd mi - mówiła dalej - wstyd, że bylam na tyle głupia, by doradzać mu zwrócenie się do was o pomoc.

Następnie stwierdziła, że zamierza zasięgnąć porady adwokata, i wyszła.

Patrząc wstecz mogę tylko powiedzieć, że działałem pod każdym względem z pełną odpowiedzialnością i w całkowitej zgodzie z ustaloną praktyką policyjną. Jak pan wie, sprawa była wyjątkowa. Nie posiadając dostatecznych informacji, mogłem tylko dojść do wniosku, że oboje, Carter i jego córka, byli lekko zwariowani. Uważałem, że krytyka mojej osoby, a w jej następstwie nerwowe zachowanie panny Carter były niesprawiedliwe do granic obelgi i całkowicie niezasłużone.

Jakkolwiek atrakcyjna, panna Carter niewątpliwie miała coś z charakteru swego ojca.

DR MICHEL LORIOŁ oświadczenie pisemne*

17 grudnia rano, z powodu nieobecności dr Thomasa, który jest szefem naszego oddziału neuropsychiatrycznego, zostałem poproszony o zbadanie przyjętego w nocy do szpitala pacjenta, który uległ wypadkowi drogowemu.

Pacjentem był Teodor Carter.

Odbyłem wstępne konsultacje z chirurgiem szpitalnym prowadzącym pacjenta i otrzymałem historię choroby. Wstrząs zdawał się być rezultatem obrażeń spowodowanych

uderzeniem. Prześwietlenie wykazało, że nie było złamań. Ciśnienie krwi i tętno były zadowalające. Leczenie ograniczało się do odpoczynku w łóżku i dożylnych zastrzyków witaminy B6 w celu przyspieszenia rozkładu alkoholu we krwi pacjenta. Spał przez sześć godzin i był już odtruty. Jednak ciągle, wedle słów chirurga, mówił w ten sam irracjonalny sposób, w jaki wyrażał się, kiedy został przyjęty do szpitala. Jego zachowanie było agresywne. Dwa razy próbował opuścić szpital i musiał zostać powstrzymany. Jako że formalnie był zatrzymany przez policję, został przeniesiony z oddziału na głych wypadków do pokoju w bocznym pawilonie. Odmówiono mu też prawa dostępu do jego ubrania. Poszedłem go zobaczyć.

Siedział na łóżku - blady, siwy mężczyzna o trupich, nieogolonych policzkach i gniewnych oczach. Miał siniaka na lewym policzku, a cztery rozcięcia na twarzy schowane były pod opatrunkami. Gdy wszedłem, spojrzał na mnie badawczo wzrokiem krótkowidza.

- Aha, jak przypuszczam młody dr Kildare - powiedział po angielsku. Jego głos był wyraźnie wrogi.

Przedstawiłem się i zapytałem, czy woli kontynuować rozmowę po angielsku.

Odpowiedział po francusku, że jeśli jestem gotów mówić z sensem, nie obchodzi go, jakiego języka będziemy używali. W przeciwnym razie wolałby w ogóle nie rozmawiać. Nie był to dobry początek.

Powiedziałem, że mam nadzieję, iż obaj będziemy mogli mówić sensownie.

- Czy jest pan psychiatrą? - zapytał.

- Tak, należę do szpitalnego zespołu neuropsychiatrycznego. - Zacząłem go badać.

- Myślę, że powinienem panu powiedzieć, iż podzielam pogląd André Gide'a na psychiatrię.

- Co to za pogląd?

- Powiedział, że „poznaj samego siebie” było maksymą równie szkodliwą co szpetną, ponieważ osoba, która bada samą siebie, wstrzymuje swój własny rozwój.

Uśmiechnąłem się.

- Znam ten fragment, o którym pan mówi. Następnie stwierdził, że gąsienica, która chciałaby poznać samą siebie, nigdy nie stałaby się motylem. Całkiem nieprawdziwe, nie zgodzi się pan? Gąsienica nie może zrobić nic innego niż stać się motylem. Ten proces nie ma nic wspólnego z poznaniem.

- Mówił to oczywiście w przenośni - powiedział rozczarowany. - W każdym razie chciałem ustalić z panem, że nie jestem ani nieracjonalny, ani obłąkany. Cela dla furiatów i kaftan bezpieczeństwa nie będą potrzebne.

- Przyjmuję to z ulgą, Monsieur - odrzekłem. - Żadna z tych rzeczy nie jest dostępna w tym szpitalu.

* tłumaczenie CL.

Potem w milczeniu pozwolił mi dokończyć badanie. Nie odkryłem żadnych oznak uszkodzeń organicznych.

Gdy się wyprostowałem, spojrzał na mnie z lekkim niepokojem.

- No i jak, doktorze?

- Jak silny jest ból głowy?

- Teraz jest słabszy. Czuję się już gorzej.

- Czy stracił pan okulary w czasie wypadku?

- Przypuszczam, że tak. Prawdopodobnie rozbiły się wtedy kiedy i ja. Próbowałem przesłać wiadomość mojej córce prosząc ją, by przyniosła mi zapasowe. Są zrobione na podstawie starej recepty, ale lepsze to niż nic. Jednak wątpię, czy wiadomość została przekazana - dodał cierpko. - Te półgłówki, pańscy koledzy, najpewniej założyli, że „okulary” są szyfrem i to, o co ją naprawdę proszę, to przeszmuglowanie piły do metalu.

- Była tu wcześniej, ale pan spał. Domyślam się, że jeszcze tu wróci. Czy zechciałby opowiedzieć mi pan o wypadku?

Posłał mi przenikliwe spojrzenie.

- Ma pan na myśli to, co doprowadziło do wypadku, czy tak? To ta historia powoduje całe to zamieszanie, czyż nie? To dlatego pan tu jest. - Ponuro potrząsnął głową. - Powinienem był trzymać język za zębami.

- Zacznijmy od samego wypadku - powiedziałem. - Czy pamięta pan wypadek?

Zmarszczył brwi.

- Chyba nie. Niezbyt wyraźnie. Pamiętam, gwałtowny skręt w lewo, poślizg i uderzenie w ciężarówkę. Po tym... Nie jestem pewien. Czy to źle?

- Częściowa utrata pamięci ze zdarzeń dziejących się tuż przed wstrząsem jest całkiem zwyczajna. Nie ma się czym martwić. Ale musi pan pozostać w łóżku przez parę dni. Z wstrząsem, nawet niewielkim, nigdy za wiele ostrożności.

- Poniedziałek jest dniem przygotowania tygodnika - powiedział. - Czy będę mógł wyjść stąd w poniedziałek?

- Możliwe, ale...

- Tak, oczywiście. Jestem aresztowany.

- Czy dużo pan wypił?

- Przypuszczam że sporo, tego i owego - powiedział niechętnie - ale zwróciłem większość.

- Kiedy to było?

- Po tym jak mnie zagazowano - odparł. Patrzył teraz na mnie wyzywająco.

Skinąłem głową.

- Proszę mi opowiedzieć o tym gazie.

- Wróciłem do biura, by zabrać teczkę z dokumentami, którą tam zostawiłem. Ktoś był w biurze, kto nie powinien tam być. Mam powody przypuszczać, że był to ktoś, kogo znam, człowiek o nazwisku Schneider. Tak czy owak zaświecił mi w twarz latarką, a potem trysnął we mnie jakimś gazem. Na dobrą sprawę znokautowało to mnie i sprawiło, że zwymiotowałem.

- Powiedział pan, że ma powody przypuszczać, iż był to ktoś, kogo pan znał. Nie jest pan pewien?

- Było ciemno. Nie widziałem go. Ale poczułem. Używa wody lawendowej.

- Czy gaz pachniał lawendą? Odetchnął głęboko ze zniecierpliwieniem.

- Doktorze, może zapomnijmy o całej sprawie - powiedział. - Niech pan im powie, że mam lekkie halucynacje z powodu wstrząsu i że będę w porządku za parę dni. Zgoda?

- Nie mógłbym im tego powiedzieć - odpowiedziałem rozsądnie. - Widzi pan, nie wiem, czy ma pan, jak to ujmuję, halucynacje.

- Nie wierzy pan ani jednemu słowu, które wypowiadam, czyż nie?

- To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia. Interesuje mnie to, w co pan wierzy. - Ciągnąłem dalej zanim miał szansę odpowiedzieć. - Czy pan pali, Monsieur?

- Tak, palę, ale zabrali mi wszystkie rzeczy. Nie mam tu żadnych papierosów, dlaczego?

Poczęstowałem go papierosem. Wziął jednego, ale posłał mi rozbawione spojrzenie, gdy to robił.

- Gratyfikacja oralna? - zauważył unosząc brwi. - Symbol piersi dla przywrócenia wiary we własne siły? Czy o to chodzi doktorze?

Pacjenci z powierzchowną wiedzą potrafią być męczący. Sam nie miałem zamiaru palić, ale jego interpretacja zmusiła mnie do tego. Nie mogłem pozwolić, aby poczuł się dominującą stroną w rozmowie. Na szczęście ciągle jeszcze miałem papierosy w ręku. Uśmiechnąłem się sięgając po zapalniczkę.

- Czy trzeba panu przywracać wiarę we własne siły? - spytałem.

- To, czego mi trzeba - odparł natychmiast - to drink. Ale wydaje mi się, że tego typu gratyfikacja oralna nie wchodzi w grę. Zadowolę się papierosem.

Przypaliłem nam papierosy i powiedziałem - Wróćmy do tego Schneidera. Mówił pan, że go zna i że pachnie lawendą.

Machnął zniecierpliwiony ręką. - Zapomnijmy na razie o lawendzie. Jeśli mam panu opowiedzieć całą historię, muszę cofnąć się do początku.

- Bardzo dobrze.

- Jestem redaktorem pisma o nazwie Interkom, doktorze. Czy słyszał pan o nim?

- Widziałem egzemplarz. - Nie powiedziałem mu, że został mi pokazany przez kolegę jako klasyczny przykład paranoi występującej u niektórych Amerykanów. Niemniej wymijający ton mojej odpowiedzi nie uszedł uwadze pacjenta.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nie będę pana pytał doktorze, co pan o nim sądzi. Mogę się domyślić. Ale miesiąc lub dwa temu Interkom zmienił właściciela.

Jego opowieść zajęła ponad godzinę. Kilka razy we wcześniejszej fazie opowiadania przerywałem mu. by spytać o wyjaśnienie czegoś, co powiedział. Chciałem sprawdzić, jaki wywrze to wpływ na ciągłość jego myśli. Ale potem pozwoliłem mu mówić bez przeszkód. Jeśli pacjent ma ochotę mówić swobodnie, należy mu na to pozwolić. Oczywiście w jego sposobie opowiadania występowały cechy maniakalne, ale po pewnym czasie zacząłem podejrzewać, że był to do pewnego stopnia kultywowany manieryzm, część jego dziennikarskiego zasobu frazesów. Nie próbowałem w tym czasie wyrobić sobie zdania, czy opowiadanie jest prawdziwe. Jeśli fantazjował, to wyjątkowo dobrze to sobie skonstruował. Z drugiej strony, opowiadał to człowiek, który, jak sam to przyznawał, z fantazji zrobił swój interes i był skłonny do dumy z sukcesu - osobowość niewątpliwie schizoidalna. Potrzebowałem więcej dowodów, zanim mogłem sformułować opinię.

Kiedy skończył, zadałem dwa pytania.

- Czy mówił pan komuś o tym? Mam na myśli nie kogoś w szpitalu, ale przed wypadkiem.

- Val wie co nieco.

- Val?

- Moja córka Valerie.

Osunął się na łóżko i wyglądał na bardzo zmęczonego. Zdecydowałem się odłożyć dalsze pytania.

- Zajrzę jeszcze do pana później - powiedziałem mu.

- Niech pan to zrobi - powiedział i zamknął oczy. Ale gdy już podchodziłem do drzwi, odezwał się znowu.

- Aktówka, doktorze. Miałem ją ze sobą w samochodzie. Chciałbym wiedzieć, czy jest bezpieczna. I chciałbym, aby pan sprawdził, czy teczka z dokumentami jest w środku. Myślę, że policja ma to, co pozostało z samochodu.

- Zobaczą, co będę mógł zrobić - powiedziałem. Zostałem chirurga pijącego kawę w pokoju personelu. Jest jednym z tych ludzi, którzy wyrażają swą nieznajomość i niewiarę w psychiatrię, żartując z niej. Powitał mnie z uśmiechem oczekiwania.

- Jaki jest więc werdykt eksperta? - zapytał. - Pomyłony czy tylko stuknięty?

- Być może ani jedno ani drugie.

Popatrzył na mnie, jak gdybym to ja był stuknięty.

- Chciałbym porozmawiać z córką - mówiłem dalej - Nie wiesz, czy wróciła?

- Owszem. Ale nawet jeśli jest ciągle tutaj, nie dowiesz się od niej wiele. Jest w paskudnym nastroju. Mówi, że ojczulek został przyskrzyniony przez policję, a my w tym pomagamy i podlegamy. - Jego uśmiech stał się sardoniczny. - Sądzę, że nie ma wysokiego mniemania o twojej specjalizacji. Lepiej uważaj, bo zetnie ci głowę.

Panna Carter niewątpliwie wywarła na nim wrażenie. Czekałem z niecierpliwością, by ją zobaczyć.

Znalazłem ją w końcu w zazwyczaj pustej poczekalni w budynku głównym.

Jest coś, co powinienem tu wyjaśnić. Valerie Carter i ja poznaliśmy się dobrze podczas tych ostatnich kilku miesięcy i mam nadzieję, że wkrótce się pobierzemy. Wspominam o tym, ponieważ każda relacja, jaką mógłbym teraz przedstawić, musi być do pewnego stopnia naznaczona naszym obecnym stosunkiem.

Przedstawiła mi ją pielęgniarka.

Zobaczyłem niezwykle piękną młodą kobietę o bladej, czystej cerze, ciemnych, prawie czarnych włosach i gniewnych oczach jej ojca. Miała na sobie czerwono-czarny wełniany płaszcz. Jej reakcja na mój widok wprowadziła mnie w zakłopotanie.

Skinęła mi głową, po czym powiedziała szorstko. - Powiedziano mi, że mojego ojca bada psychiatra. Chciałabym zobaczyć tego pana.

Ukloniłem się. - Dlatego tu jestem, Mademoiselle.

Spojrzała na mnie z lekkim zdumieniem. - Pan jest psychiatrą?

- Dr 'Tr, OI>ias jes''»t naczelnym lekarzem oddziału neuropsychiatrycznego - p0-
»wiedziałem. - W tej chwili jednak, bierze udział w konfer<,ncjii naukowej w Paryżu. Jestem jego asystentem i badałem pani i,jCa prr»0szę usiąść, Mademoiselle.

Wyglądam t\A młod*szego, niż jestem. Wiedziałem, że chciała mnie zapytać, czy mam wystarczające kwalifikacje do przeprowadzenia badań Psychiatrycznych. Ale powstrzymała się. Chciała wysłuchać najpierw co mam do powiedzenia. Jeśli nie spodobałoby się jej to, co usłyszała wtedy dopiero zakwestionowałaby moje kompetencje.

Usiadła. - J^ Się c2zuje mój ojciec, doktorze?

- Jego f)stan f)ZyCzny - wydaje się dobry, ale z obrażeniami głowy zawsze trzeba ostępować ostrożnie. Będziemy wiedzieć więcej do poniedziałku!

- Więc mój j;e jego fiZyCzna kondycja wydaje się dobra. Czy ma part na ^y^ij ze - jego stan umysłowy nie wydaje się dobry? - Zarumieniła się z j^kka, a jej oczy zwięziły się. Stąpałem po niebezpiecznym terenie.

- To chciałaby j^ z j?>anią omówić.

Zastanowiła prz(e;Z chwilę, po czym skinęła krótko głową.

- Bardzo d(^rze ^ e mogę panu powiedzieć, doktorze Lorient, że byłam już u,ego iaj)oty komisarza. Wydaje mu się, że oświadczenie, które złożył ojciec po wypadku, należy potraktować jako żart. Jeżeli j pańskie podejście jest takie, każda rozmowa pomiędzy nami będzie stratą czasu.

- Mój? P)ejście, ^Mademoiselle, jest czysto medyczne. Nie wiem dokładnie co mówił pani ojciec po wypadku, nie było mnie tam. Wiem, że J^J Sp0n>» przed wypadkiem. Być może po tym nie był w stanie wyrazić się logicznie.

- Mój ojciec jest zawsze w stanie wyrazić się logicznie.

- Musi pan, pamiętać, że ucierpiał na skutek wstrząsu i został znaleziony nieprzytomny. Przez pewien czas zamęt umysłowy jest w pełni zrozumiałym, j^akże nie musimy teraz zajmować się jego wcześniejszymi oświadczeniami. Obecnie interesuje mnie to, co powiedział przef) Cnwił.

- Tak? - (iągle miała się na baczności.

- Wedle rt)jej Opjr)ii wymaga to dochodzenia.

- Ma pan t,a myS) dochodzenie policyjne?

- Na razie prQwa4zone przez panią i mnie, Mademoiselle, jeśli się pani zgodzi. Pański ojciec opowiedział mi o serii zdarzeń, o dziwnych rzeczach, które, jak mówi, przydarzyły się mu.

- Nie wierzy mu pan?

- Wierzę, iż on wierzy, że te rzeczy wydarzyły się i są ze sobą powiązane, ale nie o to chodzi. Spytałem go, czy mówił komuś innemu o tej dziwnej historii - mam na myśli okres przed wypadkiem - a on stwierdził, iż opowiedział o niej pani. Tak było?

- Oczywiście. - Popatrzyła na mnie z lekkim współczuciem. - Ale w czym to panu pomoże? Jeśli mój ojciec wierzy w to, co mówi, fakt, że powiedział mnie to samo, co panu, nie jest dowodem, że było tak w rzeczywistości.

- Nie, ale wydaje mi się, że pani była istotnie zamieszana w jedno ze zdarzeń. Rozumiem, że była tam pani, kiedy dwaj Amerykanie przyszli do mieszkania i wypytywali go.

Po raz pierwszy podejrzliwy, obronny wyraz zniknął z jej twarzy. - Tak, zgadza się, byłam tam.

- Pani ojciec mówi, że byli to ludzie z CIA.

- Powiedział, że jeden z nich był. Oni mówili, iż są z jakiegoś czasopisma, ale z pewnością zachowywali się dziwnie. Było to bardzo nieprzyjemne.

- Czy mogłaby mi pani o tym opowiedzieć?

Opowiedziała. Powiedziała mi też o dochodzeniu, jakie przeprowadziła w sprawie tego Skriabina, i o tym, czego dowiedziała się od przyjaciela z biblioteki ONZ. To było coś, co jej ojciec opuścił w swojej relacji. Ale pasowało. Wtedy właśnie zacząłem akceptować fakt, że historia, opowiedziana mi przez niego, jakkolwiek byłaby fantastyczna, może być prawdziwa.

Jednak nie od razu to powiedziałem, czego żałowałem później z kilku przyczyn. Ale byłem w trudnym położeniu. Ciężka na mnie w tym przypadku odpowiedzialność prawna na równi z medyczną i wskazana była niezwykła ostrożność. Jeśli doszedłbym do wniosku, że relacja pacjenta oparta jest na faktach, a nie na fantazji, musiałbym udowodnić swoje konkluzje policji i prawdopodobnie także innym służbom ochrony prawa - z oczywistych przyczyn miałem już wtedy na myśli federalną służbę bezpieczeństwa. Powszechnie wiadomo, że policja sprzeciwia się świadectwom psychiatrii, kiedy zagraża to ich z góry upatrzonym wnioskom. Nie miałem powodu, by wierzyć, iż ze służbą bezpieczeństwa sprawa będzie łatwiejsza. Chciałem mieć pewność, że stoję na trwałym gruncie, zanim będę mógł wyrazić swą opinię. Musiałem mieć na względzie reputację nie tylko swoją, ale i dr Thomasa, i całego oddziału.

Valerie obserwowała mnie przymrużonymi oczyma, czekając jak zareaguję na to, co mi przekazała. Odpowiedziałem tak niezobowiązująco, jak tylko potrafiłem.

- Dziękuję, Mademoiselle. Bardzo mi pani pomogła.

- Widziałam też samochód, który go śledził - powiedziała - samochód z fryburskimi tablicami rejestracyjnymi.

- Czy rzeczywiście widziała pani, jak go śledził?

- No nie, ale był tam na ulicy przed naszym mieszkaniem.

- Widziała pani samochód z tryburską rejestracją, - powiedziałam ostrożnie. - To nie jest rzadki widok w Genewie, czyż nie?

Westchnęła. - Nie. Rozumiem, to nie jest dowód.

Podniosłem się. - Domyślam się, że chciałaby pani teraz zobaczyć ojca. Powiedział, że przesłał pani wiadomość z prośbą o dostarczenie zapasowych okularów. Dostała pani tę wiadomość?

- Tak, i przyniosłam okulary. - Także i ona wstała. Odwróciła się do mnie. - Doktorze Loriol, nie wierz pan chyba, że mój ojciec jest niespełna rozumu?

Pytanie było zarazem stwierdzeniem jej własnego przekonania i wezwaniem, bym dzielił je wraz z nią. Z przykrością muszę powiedzieć, że odpowiedziałem wymijająco.

- Zapewniam panią Mademoiselle, że chciałbym być jak najdalszy tej myśli. Jego pokój znajduje się w pawilonie. Jeśli pójdzie pani ze mną, wskażę pani drogę.

Nie odezwała się więcej, ale wiedziałem, że rozczarowałam ją. W pawilonie przekazałam ją przełożonej pielęgniarek i wróciłem do swojego gabinetu.

Stamtąd zatelefonowałem na policję i poprosiłem komisarza Vaubana. Nie było go, więc w zastępstwie rozmawiałem z oficerem dyżurnym. Nie mówiłem o pacjencie. Chciałem dowiedzieć się o aktówkę zawierającą dokumenty Blocha, która - jak powiedział Carter - była w jego samochodzie. Oficer dyżurny chciał pomóc, ale niewiele mógł zrobić. Rozbity samochód został odholowany do garaży policyjnych. Był tam nadal. Nic nie zostało z niego wyjęte i być nie mogło bez odpowiedniego zezwolenia. Oficer dyżurny obiecał, że wspomni o tym komisarzowi Vaubanowi, jak tylko będzie mógł.

Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, zanim pozwolono mi zbadać zawartość aktówki.

Do tego czasu szkoda została już wyrządzona.

VALERIE CARTER spisane z taśmy magnetofonowej

Dzień zaczął się od strachu. W miarę upływu czasu strach stawał się szalony.

To w szpitalu, gdzie poszłam po telefonie z policji, dowiedziałam się, że mój ojciec będzie oskarżony o prowadzenie po pijanemu. Później spotkałam się z tym skretyniałym policjantem Vauba-nem. Z komisariatu poszłam do biura mecenasa Perriota. Był notariuszem, z którym ojciec załatwiał formalności związane z wynajęciem mieszkania i u którego sporządził testament.

W całym tym zamieszaniu zapomniałam, że była sobota. Oczywiście biuro Perriota było nieczynne. Jednak odszukałam numer jego domowego telefonu i zadzwoniłam do niego.

Chciał mi pomóc, dopóki nie powiedziałam mu o zarzucie prowadzenia pod wpływem alkoholu. Wtedy chciał się wycofać. Nie pozwoliłam mu, ale uzyskałam tylko obietnicę, że zobaczy się z moim ojcem w poniedziałek w szpitalu. Upierał się, że wcześniej nie może nic zrobić. Może miał rację, ale wtedy tak nie myślałam.

Zjadłam kanapkę w barze i wróciłam do szpitala. Nadal nie pozwolono mi zobaczyć się z ojcem. Zamiast niego rozmawiałam z nadętym głupcem, chirurgiem szpitalnym, który powiedział mi o tej psychiatrycznej bzdurze i przekazał prośbę o zapasowe okulary. Poszłam i zabrałam je z mieszkania. Kiedy wróciłam do szpitala po raz trzeci, powiedzieli, że mam poczekać.

Nie byłam rozczarowana Michele, byłam na niego wściekła. Przyznaję, całkiem nedorzecznie. Miał całkowitą rację że był ostrożny. Nie, to niesprawiedliwe. Byłam wściekła na niego, ponieważ bardzo starałam się go przekonać i to mi się nie udało. Nie byłam w zbyt dobrej formie psychicznej tamtego popołudnia.

Gdybym była, nie pomogłabym ojcu zrobić tego, co uczynił.

Kiedy weszłam, na początku zachowywał się przepraszająco i był zawstydzony, ale to nie trwało długo - powiedziałabym, że jakieś dwie minuty. Następnie opowiedział mi, co wydarzyło się poprzedniej nocy, kiedy wrócił do swego biura.

Oczywiście byłam przerażona i równie zła jak on. Mieliśmy mnóstwo powodów do złości. Powiedziałam mu o niechęci Perriota - trochę przeze mnie umniejszonej - do mieszania się w sprawę i o mojej śmiechu wartej rozmowie z komisarzem Vauba-nem.

Pamiętał go.

- Ta kukła z rybimi oczyma - powiedział. - Mogłem się domyślić. - Powiedział jeszcze kilka niepochebnych zdań o komisarzu, których nie powtórzę.

Wydaje mi się, że oboje poczuliśmy się bardzo zmęczeni czy przygnębieni i pozbawieni nadziei lub odczuwaliśmy to wszystko naraz, jeżeli to możliwe. Widzi pan, wszystko wyglądało tak czarno tego dnia. Były te upiory, jak mój ojciec ich nazywał, zachowujące się jak gangsterzy, a wszystkim, co zrobiła policja, gdy powiedział im, co się dzieje, było oskarżenie go o kierowanie po pijanemu i stwierdzenie, że jest niespełna rozumu. Sprawy były beznadziejnie poplątane i wydawało się, że nie ma takiej osoby, do której możemy się zwrócić. Nawet nie brałam pod uwagę Michela. Wtedy myślałam o nim jako o wrogu. Łatwo jest teraz mówić, że gdybyśmy byli cierpliwi i rozsądni i poczekali, aż atmosfera się oczyści i prawda weźmie górę, wszystko byłoby w porządku. Jest to również proste - i tak samo praktyczne - jak powiedzieć komuś, kto właśnie spadł z dachu wysokiego

budynku, że gdyby był na tyle przytomny i rozluźnił mięśnie, zanim uderzył o ziemię, nie połamałby sobie tylu kości.

Nie próbuję się usprawiedliwiać. Wyjaśniam tylko, dlaczego, kiedy zobaczyliśmy coś, co wyglądało na przepływającą słomkę, oboje się tego uchwyciliśmy.

Ojciec zastanawiał się na głos, czy zdałoby się na coś powiadomienie o sytuacji dr Bruchnera, czy też może jego reakcja byłaby taka sama jak mecenasa Perriota.

- Może zna kogoś w Zgromadzeniu Federalnym - powiedziałam - albo nawet w Radzie.

Mój ojciec potrząsnął głową. - To by nie zdało się na nic. Tutejsza policja nie przyjęłaby żadnych uwag z Berna. Musimy dostać się nad głowę tego idioty Vaubana do kogoś, kto będzie słuchał. - Urwał, po czym dodał - Albo kogo można skłonić do słuchania.

- Jak możesz spowodować, by ktoś cię wysłuchał? - zapytałam zmęczona.

- Robiąc piekło - powiedział i nagle strzelił palcami. - Tak, to jest to. Rozdmuchać sprawę. Poszczuć ich. Załatwić ich. Przestraszyć.

Musiałam wysłuchać więcej wojowniczych słów i strzelania palcami, zanim przekonałam go, by wyjaśnił mi, o co mu chodzi, ale kiedy to zrobił, zapaliłam się do tego prawie tak samo jak on.

Plan był następujący. Miał wykorzystać Interkom dla rozpowszechnienia historii nękania i prześladowania jego osoby, powiadamiając o tym wcześniej agencje informacyjne. W ten sposób zarówno artykuł, który zamierzał napisać w najbardziej sensacyjnej formie, jak i sam Interkom zyskałyby maksymalny rozgłos. Przełożeni komisarza Vaubana musieliby to zauważyć. Pytania zostałyby zadane. Władze znalazłyby się w defensywie.

Mnie w tym planie przypadła rola pośredniczki. Najpierw miałam mu dostarczyć przybory do pisania, a potem, kiedy napisałby go już, wynieść artykuł ze szpitala. Po zrobieniu kopii miałam dostarczyć jedną Nicole Deladoey z poleceniem, by umieściła to jako wiodący materiał we wtorkowym wydaniu. To wszystko, aby zabezpieczyć się przed ewentualnym zakazem policji lub szpitala uniemożliwiającym pójście w poniedziałek do biura. Następnie miałam sporządzić francuskie i niemieckie tłumaczenie. Na koniec miałam zatelefonować do tych korespondentów zagranicznych agencji prasowych, których mój ojciec znał osobiście, oraz do człowieka z Tribune de Genève i zaoferować im kopie artykułu. Miałam zacząć od Amerykanów z powodu sześciu godzin różnicy czasu pomiędzy Genewą a ich nowojorską centralą.

Zdobycie przyborów do pisania nie przedstawiało trudności. Dałam mu długopis, który miałam w torebce. Zanim wyszłam, spytałam pielęgniarkę, czy może dostać kilka

czasopism do czytania. Kiedy poszła po nie, ukradłam paczkę papierowych ręczników z magazynu znajdującego się w korytarzu.

Ojciec ukrył ręczniki pod poduszką.

- Będzie gotowe z samego rana - powiedział. - Pokażemy im, co jest grane.

Wychodząc spotkałam Michela.

- W jakiej formie zastała pani ojca?

- Ze zrozumiałych powodów jest bardzo zirytowany - powiedziałam sucho - i równie zdrowy, doktorze, jak pan.

Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, był oficjalny i raczej nudny. Teraz zaskoczył mnie uśmiechem. Był rozbrajający. Nagle przyłapałam się na tym, że go lubię.

- Przepraszam za irytację - powiedział - zrobię, co będę mógł, aby jej nie powiększać.

Czy przyjdzie pani go odwiedzić jutro?

- Rano, jeśli to możliwe.

- Około dziesiątej będzie dobrze. - Zawahał się. - Czy mogę coś zasugerować?

- Co takiego doktorze?

- Jestem pewien, że ma pani wielu przyjaciół, ale myślę, że na razie byłoby niewskazane rozważać z nimi wypowiedzi pani ojca.

- Czy dlatego, że brzmią niedorzecznie, czy dlatego, że mogą być prawdziwe?

Uśmiechnął się znowu. - Powiedziałbym, że oba te powody są dobre, aby być dyskretnym, czy mam rację?

Widzi pan, zrobił, co mógł, by mnie ostrzec, ale byłam ciągle pod wpływem ojca i nie zrozumiałam. Myślałam, że chce posiać we mnie wątpliwości i przez moment byłam bliska powiedzenia mu, co naprawdę planuję zrobić. Ale przypomniałam sobie, że miał możliwość zniweczyć ten plan, jeśli chciał, i zmieniłam zdanie. Powiedziałam tylko, że jestem mu bardzo wdzięczna za radę. Wyszłam nie dając do zrozumienia, czy zastosuję się do niej, czy nie.

Mój ojciec wyglądał o wiele lepiej, kiedy zobaczyłam go następnego ranka. Był ciągle nieogolony, a siniak wyglądał strasznie, ale wróciły mu kolory, a oczy były ożywione. Pielęgniarka powiedziała, że miał dobrą noc.

Jak tylko wyszła z pokoju, wyciągnął spod pościeli zwinięty rulon papierowego ręcznika i wcisnął mi do ręki.

- Weź - powiedział - przeczytaj. Powiedz mi, co o tym myślisz.

Rozwinęłam ręcznik i przeczytałam.

Artykuł zatytułowany był „Diabelskie Przymierze.” Był też podtytuł „Nowy partner w zbrodniach CIA”. Dalej wyglądało to tak:

Głębokie przywiązanie Centralnej Agencji Wywiadowczej do ducha pokojowego współistnienia i międzynarodowego braterstwa jest dobrze znane. Być może było nie do uniknięcia, by takie oddanie prowadziło ich czasem w dziwne i cuchnące zaułki. Mimo tego, Kongres i lud Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o sojusznikach z NATO, mogą zdziwić się, jak pokrętnie i cuchnące mogą być niektóre z tych zaułków.

Bez wątpienia będą przerażeni.

W neutralnej Szwajcarii CIA zawarła sojusz z osławionym sowieckim Komitetem Bezpieczeństwa Państwowego, bardziej znanym jako KGB, w celu wspólnego siania terroru i zniewolenia

Niewiarygodne? Ktoś mógłby tak pomyśleć. Niemożliwe? Ktoś mógłby mieć taką nadzieję. Niestety, taka jest plugawa prawda i mamy świadectwa, by to udowodnić.

Nie ma pogłosek w naszych dowodach. Są bezlitosne i nie do podważenia, a to z prostej przyczyny. Pochodzą z pierwszej ręki. Ostatnią ofiarą niktzemnej współpracy gangsterów ze Wschodu i Zachodu był nie kto inny jak redaktor naczelny Interkomu - piszący te słowa - a jego świadectwo otrzymujecie bezpośrednio ze szpitalnego łóżka

Oto ohydne fakty.

Mój ojciec potrafi zożyć prawie każdy „fakt”, jeśli się o to postara, a te zożył z takim zapalem, że miałam kłopoty z rozpoznanem niektórych z nich. Opis rozmowy z Goodmanem i Richem w naszym mieszkaniu czytało się jak relację z morderstwa dokonanego za pomocą siekiery. Mimo iż nie napisał wprost, że na końcu leżeliśmy oboje na podłodze w kałużach krwi, takie przekazał wrażenie. Jego opis sesji z Morinem i Schneiderem w Chateau Europa był oczywiście straszliwy. Atak i ucieczka z biura były jak sceny koszmaru wyjęte ze starego niemieckiego filmu niemego. Wypadek samochodowy stał się próbą uciszenia głosu Interkomu przez zamordowanie jego redaktora. Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

Nie obraził się, ale odpowiedział cytując Szekspira.

- Lecz skoro jestem psem, strzeżcie się mych kłów - powiedział z ponurym uśmiechem. - To nimi wstrząśnie, co?

- Tak będzie. Ale czy nie sądzisz, że wstrząśnie ze złym skutkiem? Czy nie myślisz, że powinienes to trochę stonować?

- To nie jest czas na łagodzenie ciosów.

- Ale chcesz, aby ci uwierzono. Pomyślał chwilę i skinął głową.

- Może masz rację. Daj mi to.

Zaczął to poprawiać. Po dziesięciu minutach oddał mi z powrotem. Pierwsza część była taka sama, ale ohydne fakty zmieniły się znacznie. Były nadal ohydne, ale nie tak niewiarygodnie. Usunął wszystkie oszalamiające przymiotniki i przysłówki.

Włożyłam papierowe ręczniki do torby, a on dał mi jeszcze leden ze spisana listą osób, do których miałam zadzwonić. Obiecałam wrócić wieczorem i powiedzieć mu, jakie były reakcje.

Muszę przyznać, że Nicole tego dnia była bardzo miła. Oczywiście nie słyszała o wypadku, ale jak tylko jej wyjaśniłam co się stało, i powiedziałam o nowym artykule wstępnym, z własnej woli zaproponowała pójście do biura i pomoc w przepisywaniu na maszynie. W rezultacie mogłam zacząć telefonować wczesnym popołudniem.

Reakcja Amerykanina, który był pierwszy na liście, była całkowicie typowa. Po tym, jak przeczytałam mu artykuł, zapanowała cisza. Później powiedział:

- Ted musi żartować.

- On nie żartuje.

- On naprawdę to wydrukuje?

- Ukaże się we wtorek. Westchnął.

- W porządku panno Carter. Może tam w domu trochę śmiechu dobrze im zrobi.

Wyślę kogoś z biura po kopię. - Zaczął się żegnać, ale zatrzymał się. - Przy okazji, panno Carter, w którym szpitalu leży ojciec?

Powiedziałam mu.

Nie ze wszystkimi jednak poszło tak łatwo.

Niektóre nazwiska w ohydnych faktach ojciec opuścił. Na przykład Goodman został „zbirem podającym się za amerykańskiego reportera”, o Madame Coursaux wyrażał się „mówiąca po francusku kobieta-agent twierdząca, iż jest marszandem starych rękopisów”, a Morin był „byczkiem numer dwa”. Francuz, z którym rozmawiałam, chciał nazwisk i nie wierzył, kiedy powiedziałam, że ich nie znam.

Z Niemcem było jeszcze trudniej. Wziął mnie w krzyżowy ogień pytań. Twierdzenie mego ojca, że był ostatnią ofiarą spisku CIA-KGB, powiedział, jasno wskazywało, że wie o wcześniejszych ofiarach. Czy dawał do zrozumienia, że generał-major Horst Wendland, zastępca szefa zachodnioniemieckiego wywiadu i kontradmirał Hermann Luedke, szef sztabu logistycznego NATO w Belgii, byli wśród tych wcześniejszych ofiar?

Kiedy powiedziałem, że nigdy nie słyszałam o tych osobach, stał się sarkastyczny. Poinformował mnie, że tak zwane samobójstwo generała Wendlanda i morderstwo admirała

Luedke były głośnymi wydarzeniami. Jak mogłam o nich nie słyszeć? On także chciał wiedzieć, w którym szpitalu był mój ojciec.

Tak samo człowiek z Tribune de Genève.

Była szósta po południu, kiedy wróciłam do szpitala.

Powiedziano mi, że nie mogę widzieć się z ojcem. Muszę zobaczyć się z dr Loriolem.

Zapytałam dlaczego. Okazało się, że jest to zarządzenie dr Loriola. Nie, nie zaszły zmiany w stanie zdrowia mojego ojca.

Powiedziałam, że chcę widzieć się z dr Loriolem. Nie można go było znaleźć.

DR MICHEL LORLOL oświadczenie pisemne*

Moje polecenia dotyczące Valerie były zrozumiane opacznie. Powód, dla którego nie można mnie było znaleźć, był taki, że byłem u komisarza Vaubana w jego biurze.

Wcześniej tego popołudnia zostałem powiadomiony przez oficera dyżurnego z policji, że aktówka z samochodu Monsieur Cartera była już w komisariacie i mogę tam obejrzeć jej zawartość, jeśli nadal mam na to ochotę.

Pojechałem do komisariatu. Po przeczytaniu teczek z korespondencją od Arnolda Blocha zatelefonowałem do domu komisarza Vaubana i poinformowałem go, iż moim zdaniem oświadczenie złożone poprzedniego dnia przez Monsieur Cartera policji, chirurgowi, a później mnie, ma oparcie w faktach. Sugerowałem, iż powinno zostać potraktowane poważnie.

Powiedział, że natychmiast jedzie do biura i bym na niego poczekał. Ponieważ miałem dyżur w szpitalu, zadzwoniłem tam, by powiadomić, że się spóźnię. Przekazano mi, że byli tam dwaj dziennikarze, domagając się przeprowadzenia wywiadu z Monsieur Carterem.

Wydałem polecenie, że nikomu z odwiedzających, z wyjątkiem panny Carter, nie wolno widzieć się z jej ojcem. Dodałem jednak, że jeśli panna Carter przyjdzie odwiedzić go dziś wieczorem, chciałbym najpierw się z nią zobaczyć. Mówiąc szczerze, niecierpliwilem się, by przekazać jej osobiście to, co wydawało mi się wtedy pełną otuchy nowiną. Niestety, jakieś nadgorliwe osoby w szpitalu mylnie zrozumiały moje życzenie, czyniąc z niego zakaz.

Kiedy przybył komisarz Vauban, zrelacjonowałem mu w szczetłumaczenie CL. gólach swoją rozmowę z Monsieur Carterem i pokazałem teczkę Blocha. Przeczytawszy ją zdecydował, że sam odbierze pisemne zeznanie od pacjenta. Spytał mnie, czy można to zrobić w szpitalu jeszcze tej nocy.

Przyznaję, że byłoby dużo lepiej, gdybym zgodził się natychmiast. Służba bezpieczeństwa została by powiadomiona wcześniej i pomimo, iż agencje prasowe miały już wersję Monsieur Cartera, mógłby przynajmniej zdążyć wycofać swoją publikację. Jednak nie

zgodziłem się na natychmiastowe przesłuchanie. Grałem na zwłokę. Oczywiście myślałem o zarzutach ciężących już na ojcu Valerie. Wydawało mi się, że przez lekkie wyolbrzymienie powagi jego stanu i przypomnienie napięcia psychicznego, jakiemu był poddany, mogę skłonić komisarza do oddalenia oskarżeń. Powiedziałem, że jeśli zachodzi absolutna konieczność, by złożył te zeznania jeszcze dziś, nie będę się sprzeciwiał, ale wolałbym poczekać. Mówiłem o opóźnionych reakcjach. Jeśli stan pacjenta nie zmieni się do następnego dnia, dodałem, prawdopodobnie będzie mógł opuścić szpital i zakończyć rekonwalescencję w domu. Może byłoby lepiej, powiedziałem, tam spisać zeznania.

Valerie i jej ojciec surowo ocenili komisarza Vaubana. Myślę, że byli trochę niesprawiedliwi. Był szczerze przejęty zbyt pośpiesznym odrzuceniem wcześniejszych oświadczeń i palił się, by naprawić swój błąd. Był także wystarczająco delikatny, by pomimo swej niecierpliwości zgodzić się poczekać do następnego ranka ze spisaniem zeznań. Jednakże nalegał, aby zostało to zrobione, nim pacjent opuści szpital. Ze względu na okoliczności nie było to, moim zdaniem, nierozsądne. Błąd w tym momencie popełniłem ja. Powinienem zgodzić się na przesłuchanie tej nocy i mieć na tyle rozumu, by powiedzieć mu o dwóch dziennikarzach, którzy byli w szpitalu w sprawie wywiadu. Gdybym tak postąpił, ojcu Valerie mogło zostać zaoszczędzonych wiele kłopotów.

TEODOR CARTER wypowiedź ustna

„Kłopoty”, na miłość Boską!

Grożono mi dwoma latami więzienia i grzywną pięćdziesięciu-tysięcy franków. On nazywa to kłopotami?

Nazywam to inaczej, panie L. Jednakże powiedziałem panu na początku, że są rzeczy, mówię to poważnie, o których ciągle nie mogę rozmawiać. Nawet prywatnie, nawet w pełnym zaufaniu.

Wie pan, była taka tabliczka na jedrej z klatek w paryskim ZOO. Stała się sławna. Wie pan, o jaką chodzi?

„To zwierzę jest niebezpieczne. Kiedy zostanie zaatakowane, broni się.”

To mniej więcej podsumowuje podejście chłopców ze szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. Kiedy zostałem zaatakowany, broniłem się jedyną bronią, jaką umiem się posługiwać - słowami - a ich reakcją było skucie mnie i założenie kagańca.

Tak, łańcuch może jest już zdjęty, ale kaganiec nie. Jak długo chcę żyć i pracować w Szwajcarii, tak ma pozostać.

To, co do tej pory otrzymał pan ode mnie, jest szczegółową, osobistą relacją z wydarzeń, które są, że się tak wyrażę, publiczną własnością. Nie znaczy to, że mógłby je pan

zdobyć od kogokolwiek innego. Tylko mój głos jest miarodajny. Znaczy to, że jeśli chodzi o poufne informacje, tutaj kończy się opowieść. Jeśli chce pan nadebrać na palce kilku upiorom, niech mnie pan nie prosi o pomoc.

Nie, do cholery, nie jestem nazbyt ostrożny. Jeśli chce pan usłyszeć, co powiedzieli moi starzy kumple z Wydziału H, major X i kapitan Y, niech pan ich sam zapyta.

Gdybym jednak był na pańskim miejscu, sam bym zgadywał, albo, jak to pan to nazywa, dokonywał rekonstrukcji fabularnych. Tak jest bezpieczniej.

W porządku. Pańska sprawa, panie L. Aie niech pan nie mówi, że pana nie ostrzegałem.

Rozdział 9

REKONSTRUKCJA FABULARNA Od 19 do 23 grudnia.

Odmowa Teodora Cartera, by ponownie ryzykować narażenie się szwajcarskiemu kontrwywiadowi, nie była zaskoczeniem. Trudniej natomiast zrozumieć jego oburzenie, że w ogóle się naraził. Nieliczni cudzoziemcy, którzy mieszkali i pracowali w Szwajcarii, a już z pewnością żaden zagraniczny dziennikarz, nie mogli nie zdawać sobie sprawy z wyjątkowego uczulenia Federacji na działalność szpiegowską w jej granicach, ani z przyczyn tego uczulenia. Działalność szpiegowska, nawet kiedy nie jest zagrożone bezpieczeństwo Szwajcarii ani nie jest w nią zamieszany żaden obywatel szwajcarski, jest traktowana jak wykroczenie, ponieważ gwałci neutralność Republiki.

Jest pewne, że przez jakiś czas groziło Carterowi oskarżenie z paragrafu 301 szwajcarskiego kodeksu karnego. Ten paragraf mówi, że każda osoba „która gdziekolwiek w granicach Federalnej Republiki Szwajcarii przekazuje informacje przynoszące pożytek jednemu obcemu państwu, a uszczerbek innemu, lub prowadzi nabór do takiej działalności czy współpracuje w niej w jakikolwiek sposób”, może zostać ukarana więzieniem lub wysoką grzywną. To na podstawie paragrafu 301 był sądzony w 1953 Rudolf Rossler, znakomity szpieg z czasów II Wojny Światowej, używający pseudonimu „Lucy”. Oskarżenie twierdziło, iż działając na szkodę interesów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Zachodnich Niemiec, Francji i Danii poprzez pracę w Lucernie na rzecz wywiadu czechosłowackiego, pogwałcił neutralność Szwajcarii.

Carter rzecz jasna nigdy nie był zaangażowany w tego typu działalność szpiegowską, ale z pewnością w rozumieniu paragrafu 301 przekazywał informację. I pomimo, że obce państwa nie czerpały z tego pożytku, to na pewno poniosły uszczerbek. Twierdził oczywiście,

że działał nieumyślnie i mimowolnie, że nie był świadomy wykroczenia, które popełnia. A skoro nie postawiono go przed sądem, znaczy to, że w końcu mu uwierzono, co nie było proste. Sam przyznaje, że kiedy otrzymał czwarty biuletyn, podejrzewał już, iż Interkom jest wykorzystywany do kolportażu taje mnie. W świetle tego stwierdzenia jego oburzenie wydaje się nieusprawiedliwione i nieszczerze. Prawdziwym powodem była najprawdopodobniej złość na swoją własną głupotę. Kiedy został wciągnięty w grę, której nie rozumiał, stracił głowę, a następnie popełnił coś, o czym wiedział, że było kolosalną niedyskrecją.

Szwajcarzy nie lubią, kiedy im się przypomina, że ich kraj jest jednym z najbardziej nawiedzanych przez szpiegów państw na świecie i jeżeli jego bezpieczeństwo nie wchodzi bezpośrednio w grę, afery szpiegowskie rzadko są opisywane ze szczegółami. Skandale, którym w innych zachodnich krajach poświęcone byłyby pierwsze strony gazet, wspominane są, jeśli w ogóle, krótko w środku numeru. Ten temat jest w Szwajcarii traktowany jako niesmaczny. Nie można było wymyślić nic lepszego, by nastawić policję i kontrwywiad nieprzychylnie do Cartera, niż poruszenie, jakie spowodował on w międzynarodowej prasie. Funkcjonariusze przyzwyczajeni do spokojnej i tajnej pracy w cieniu tych reguł zostali nagle wystawieni na dokuczliwy rozgłos i natręctwo zagranicznych dziennikarzy.

Mieli też inne trudności. Szalone twierdzenie Cartera o terrorystycznym spisku CIA-KGB zostało poważnie potraktowane przez kilka francuskich i niemieckich czasopism, rozchodzących się także w Szwajcarii. Wkrótce ogłoszono dyplomatyczne protesty i noty. W konsekwencji prowadzący śledztwo byli także zobowiązani do poważnego potraktowania oskarżeń.

Łatwo jest niekiedy odrzucić jakąś historię na podstawie jej całkowitej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, za to trudno udowodnić, że jest bzdurą. Nawet kiedy dowód się znajdzie, zawsze będzie kilku naiwnych, którzy go nie zaakceptują. Oczywiście, kłopoty z opowieścią Cartera polegały na tym, że jej fragmenty były prawdziwe. Rzeczywiście miał niepokojące spotkania z przedstawicielami zarówno CIA i KGB i to z tych samych powodów - biuletynów SEZAMU, które publikował. Być może, w chwili stresu, człowiek z jego rodzajem wyobraźni nieuchronnie musiał zacząć podejrzewać, iż CIA i KGB mogą ze sobą współpracować. Jednak postąpił nierozważnie przedstawiając swe podejrzania w taki sposób, jakby były niekwestionowaną prawdą. Ludzie z kontrwywiadu, którzy go przesłuchiwali, zakładali oczywiście, że wiedział więcej, niż mówił. W rezultacie oddzielenie faktów od upiększeń zajęło im sporo czasu.

Jego współpraca w tych poczynaniach była daleka od doskonałości. Według urzędnika konsulatu kanadyjskiego, któremu pozwo lono na rozmowę z Carterem w komisariacie policji

sześć dni po wypadku, we wtorek do późnego wieczora nie powiedział jeszcze prowadzącym śledztwo o swych tajnych przygotowaniach do publikacji w Interkomie zarzutów na temat spisku CIA-KGB. Oczywiście numer z 20 grudnia był już rozesłany i poza zasięgiem.* Nie powiedział nic na temat biuletynu z elektretem, który także ukazał się w tym numerze, a gdy spytano go o to, stwierdził beztrząsco, że zapomniał go usunąć.

Jak się przekonaliśmy, jego brak rozwagi w kontaktach z prasą zraził funkcjonariuszy. Kolejna manifestacja nieprzejednania i lekkomyślnej gotowości do wprowadzania w błąd, z pewnością zaostrzyła ich stosunek względem niego. Jednak decyzja, by go aresztować, wynikała prawdopodobnie zarówno z ich determinacji trzymania go z dala od zagranicznych dziennikarzy, jak i z chęci dania mu nauki.

Został aresztowany w środę rano i postawiony po południu w stan oskarżenia. Sędzia zarządził osadzenie go w areszcie na czas przesłuchań. Kaucja została odrzucona. Sędzia wydał także nakaz przeszukania biur Interkomu i mieszkania Cartera.

Mimo że Carter nie wiedział wtedy o tym, środa 21 grudnia była jego ostatnim dniem jako redaktora Interkomu.

Także dr Bruchner musi uważać na to, co mówi o skandalu z Interkomem. Jednakże niektóre z zasadniczych faktów dotyczących wydarzeń tamtego tygodnia są znane publicznie, a inne można wydedukować.

W poniedziałek 19 grudnia dr Bruchner otrzymał kolejną ofertę z Banku Schwoba na udziały Przedsiębiorstwa Wydawniczego Interkom SA. Tę ofertę przekazał telegraficznie Arnoldowi Blochowi na adres poste restante w Brukseli, który otrzymał trzy dni wcześniej. Następnego dnia Bloch odpowiedział, także depeszą, przyjmując ofertę i podając instrukcje dla realizacji płatności. Instrukcje mówiły, że pieniądze powinny zostać wpłacone na konto w oddziale banku libańskiego w Bale.

Dr Bruchner natychmiast poinformował Bank Schwoba o przyjęciu oferty.

Tego ranka żadna gazeta w Bale nie wspominała o pogmatwa-

* Przepuszczenie dr Loriola, poczynione w najlepszej intencji, że wcześniejszy kontakt z kontrwywiadem mógłby zmienić zamiary jego przyszłego teścia co do tej publikacji, przynosi większą chlubę jego sercu niż rozumowi. nej sytuacji Cartera ani o wydarzeniach w Genewie, ale późnym popołudniem jeden z partnerów dr Bruchnera zwrócił mu uwagę na kolumnę w amerykańskiej gazecie wydawanej w Paryżu. Akurat ta gazeta postanowiła wyśmiać doniesienia Cartera i zadanie to powierzyła redakcyjnemu satyrykowi. Wykonał swoją pracę z zapalem. Kontrowersyjna kariera generała Novaka została przypomniana w komicznych słowach. Interkom został opisany jako „Batman od czubków” a

jego redaktor jako „Samotny Strażnik obłąkanego pogranicza”. Doniesienia zostały obalone przez przytoczenie wcześniejszych wycieczek do „krain fantazji”. Był to kawałek zabawnej i zabójczej roboty.

Reakcja dr Bruchnera na ten artykuł była dziwna.

Trzeba pamiętać, że spędził nerwowe dwa dni. Druga oferta Banku Schwoba zdumiała go, a jej przyjęcie wzburzyło. Udało mu się omówić z dr Schwobem przygotowania do zapłaty i przekazania udziałów, jak gdyby transakcja była zupełnie zwyczajna, ale kosztowało go to wiele wysiłku i zakończył rozmowę z uczuciem, że cała ta historia tylko mu się przyśniła.

Cena, która została wyznaczona na udziały Interkomu, wynosiła dwa miliony franków, to jest prawie pół miliona dolarów. To przyprawiło dr Bruchnera o zawrót głowy. Kiedy zobaczył notatkę z Paryża, poczuł się, jakby karuzela zaczęła kręcić się w drugą stronę. Człowiek mogący z trudnością zaufać świadectwu swych zmysłów, zmienił się nagle w człowieka, któremu wymyka się z rąk transakcja, w człowieka sprzedającego towar o wartości dwóch milionów franków, podczas gdy towar ten został właśnie publicznie nazwany bezwartościowym.

Dr Bruchner zadzwonił do biura Interkomu, porozmawiał z panną Deladoey i dowiedział się, że Carter opuścił szpital i najwyraźniej przeżycia w niczym go nie zmieniły. Od tego momentu dr Bruchner nie myślał o Carterze i jego oświadczeniach. Poświęcił resztę dnia na przygotowanie dokumentów potrzebnych do przekazania udziałów, modląc się, aby dr Schwob i jego klient nie przeczytali tej anglojęzycznej gazety. Dokumenty wysłał do Brukseli tego samego wieczoru. Jeśli transakcja była ciągle aktualna, był zdecydowany nie tracić ani chwili na jej przeprowadzenie.

Dr Bruchner przeżył niezbyt miłe chwile następnego ranka. Zarówno gazety niezależne, jak i pisma Radykalnych Demokratów przynosiły artykuły na temat Interkomu. Pisały prawie to samo. Genewska policja i biuro federalnego prokuratora generalnego prowadziły dochodzenie w sprawie skargi złożonej przez Teodora

Cartera, redaktora tygodnika Interkom, który został napadnięty przez przedstawicieli pewnych obcych wywiadów. Wywiady te współpracowały wzajemnie w celu likwidacji tygodnika. Jeden z dzienników dodawał z rezerwą, że Carter, obywatel kanadyjski, był niedawno ofiarą wypadku drogowego, w którym odniósł obrażenia głowy.

Dr Bruchner był przekonany, że nawet jeśli dr Schwob nie czytał osobiście tych artykułów, ktoś w banku zwrócił mu na nie uwagę. Ale podczas ich spotkania tego dnia ani dr Schwob, ani jego zastępca nie wspominali o Carterze. Spotkanie miało charakter rzeczowy i

było krótkie. Na koniec dr Bruchner z dużą ulgą wyszedł z czekiem na dwa miliony franków, który natychmiast zdeponował na specjalnym koncie. Zaraz po otrzymaniu od Blocha podpisanego dokumentu potwierdzającego przekazanie akcji miał wpłacić pieniądze do libańskiego banku, zarejestrować transakcję w Zug i poinformować o tym dr Schwoba. Spodziewał się, że pozna wtedy tożsamość klienta, w imieniu którego występował Bank Schwoba, i jako że nadal był jedynym dyrektorem spółki, otrzyma nowe instrukcje od właściciela. Oczekiwał na ten moment z niecierpliwością.

Dokumenty podpisane przez Blocha wróciły do jego biura w czwartek. Osobiście dostarczył je dr Schwobowi razem z certyfikatem akcji. Transakcja została zakończona.

- Kiedy - zapytał dr Bruchner - mogę spodziewać się wiadomości od nowych właścicieli?

- Będę nadal działał w ich imieniu - powiedział dr Schwob. - Moje obecne instrukcje mówią, że planują oni reorganizację przedsiębiorstwa. Życzą sobie, aby pierwszym krokiem w kierunku reorganizacji było zaprzestanie publikacji tygodnika Interkom. Chcieliby, aby ta decyzja miała skutek natychmiastowy.

Dr Bruchner był przez chwilę zbyt oszołomiony, by powiedzieć cokolwiek. Dr Schwob kontynuował.

- Personel, włączając w to Cartera, może otrzymać dwumiesięczną odprawę w związku z wypowiedzeniem. Powinien pan odstąpić dzierżawę genewskiego biura na najlepszych warunkach i sprzedać sprzęty. Jednakże powinien pan zaopiekować się całym archiwum Interkomu łącznie z listą prenumeratorów - to bardzo ważne - i matrycami adresografu. Instrukcję na temat dalszego losu tych przedmiotów otrzyma pan później.

Jedynie instrukcje, jakie otrzymał dr Bruchner, nadeszły po trzech tygodniach. Stwierdzały, że Przedsiębiorstwo Wydawnicze

Interkom SA powinno zostać postawione w stan likwidacji. Nie podano żadnych wyjaśnień. Jednak wtedy dr Bruchner nie potrzebował już wyjaśnień. Do tego czasu został już przesłuchany przez kontrwywiad.

Wiele niedorzecznych rzeczy pisze się i mówi na temat szwajcarskiej tajemnicy bankowej. To prawda, że ujawnienie przez pracownika banku interesów klienta jest karane grzywną lub więzieniem. Pracownik może zostać ukarany nawet za ujawnienie istnienia konta bez zgody właściciela. Ale tajemnica nie jest bynajmniej nienaruszalna. Kiedy istnieją powody, by sądzić, że może ona ochraniać osobę, która popełniła przestępstwo podlegające karze według szwajcarskiego kodeksu karnego, sąd może wydać nakaz bankierowi, by ujawnił informacje.

Jest właściwie pewne, że w ciągu tygodnia po dokonaniu transferu akcji, funkcjonariusze kontrwywiadu poprosili o taki nakaz i otrzymali go. Nie mniej pewne jest, że dr Schwob ujawnił im nazwisko nabywcy udziałów Interkomu.

Kim był nabywca?

Niewątpliwie ktoś będący przykrywką zagranicznej służby wywiadowczej. Ale jakiej służby? I kogo użyto jako osłony?

Oczywiście usta dr Schwoba są znowu zapieczętowane, ale można wyciągnąć kilka wniosków. Żaden bankier z pozycją i reputacją dr Schwoba nie występowałby w imieniu klienta w podobnych negocjacjach, bez jego dobrej znajomości i zaufania do jego interesów. Nie występowałby też w imieniu klienta znanego z powiązań z obcym wywiadem. Musiał zatem wierzyć, że istnieją uzasadnione handlowe przyczyny dla kosztownej determinacji zlikwidowania Interkomu przez jego klienta. Tylko przedstawiciel firmy zajmującej się podobnymi interesami co wyimaginowani francuscy i zachodnioniemieccy wspólnicy Blocha mógł udawać przekonująco, że ma takie powody. Argument pozwalający na wniosek, że duża firma została użyta jako osłona do przeprowadzenia tej transakcji jest wzmocniony uwagą na temat „rozwagi”, jaką poczynił bankier, kiedy dowiedział się o cenie Blocha. Jest w tym zawołowana groźba. Ludzie pokroju dr Schwoba nie grożą gwałtem. Jednak zdarza im się ostrzegać ludzi ambitnych przed zbyt wielką chciwością i przypominać poszukiwaczom przygód, że potężne korporacje posiadają środki do ukarania złej woli. Instrukcje przekazane dr Bruchnerowi nakazujące zachować listę prenumeratorów Interkomu i matryce adresografu pokazują, o jakiej złej woli myślał klient dr Schwoba. Kiedy Interkom umarł, miał pozostać martwy. Nie mógł narodzić się powtórnie pod inną nazwą.

Istnieje kilka korporacji mających za siedzibę Szwajcarię i prowadzących interesy w dziedzinie militarnej, których właścicielami są w przeważającej mierze udziałowcy zagraniczni. Niektóre z nich utrzymują związki przede wszystkim z krajami NATO, ale inne handlują (głównie chemikaliami i narzędziami mechanicznymi) ze Związkiem Radzieckim, Niemcami Wschodnimi, Rumunią i Węgrami. Każda z nich mogła być użyta jako przykrywka. Odmowa ujawnienia przez szwajcarski kontrwywiad jakichkolwiek informacji na ten temat została surowo potępiona przez lewicową prasę zachodnioniemiecką.

Szwajcarów krytykowano też w kręgach dowódczych NATO. Mówiono, że gdyby prowadzący śledztwo działali w sposób bardziej energiczny, można było powstrzymać sprzedaż Interkomu i ustalić prawdziwą tożsamość Arnolda Blocha. Teodor Carter był po raz pierwszy przesłuchiwany przez kontrwywiad we wtorek 20 grudnia, a aresztowany w środę. Biura Interkomu zostały przeszukane tego samego dnia. Dlaczego, pytali niezadowoleni, nie

powiadomiono natychmiast dr Bruchnera, że w sprawie Interkomu prowadzone jest śledztwo? W tym czasie kontaktował się listownie i telegraficznie z Blochem na poste restante w Brukseli. Dlaczego ten adres nie został wcześniej odkryty i przekazany władzom belgijskim odpowiednio szybko dla ustalenia tożsamości osoby, która go używała?

Zarzuty są niesprawiedliwe i świadczą o słabej znajomości rzeczy. Trzeba pamiętać, że kontrwywiad prowadził śledztwo w sprawie o domniemane naruszenie na szwajcarskim terytorium szwajcarskiego prawa, ustanowionego w celu ochrony szwajcarskiej neutralności. Głównie obchodził ich Carter i te nieuchwytnie osoby, które oskarżał o to, że go nękają. Miejscem wydarzeń była Genewa. Bloch był poza ich jurysdykcją. Doktorzy Schwob i Bruchner nie robili niczego niezgodnego z prawem i żaden sąd nie powstrzymałby sprzedaży akcji. To prawda, że Carter miał brukselski adres, ale w zamieszaniu zupełnie o nim zapomniał.

Tamtej nocy, kiedy został zaatakowany w swoim biurze, wsadził telegram z adresem nadesłanym przez dr Bruchnera do kieszeni swojego płaszcza. Kilka minut później zwymiotował brudząc sobie płaszcz. W poniedziałek w szpitalu zwrócono mu jego ubranie, aby mógł udać się do domu, ale jak tylko dotarł do mieszkania, jego córka wysłała garnitur i płaszcz do czyszczenia. Telegram powędrował razem z ubraniami i został razem z nimi zwrócony w piątek. Panna Carter natychmiast pokazała go prowadzącym śledztwo, ale w tym czasie był już bezużyteczny. Bloch zdążył rozpląnąć się w powietrzu, a dwa miliony franków było w drodze do Libanu.

Trzeba przyznać, że pułkownik Jost i pułkownik Brand mieli szczęście. Jeśli Carter przełożyłby telegram z kieszeni płaszcza do teczki zawierającej korespondencję z Blochem wydarzenia mogłyby się potoczyć inaczej - ale tylko trochę. Jak zobaczymy, Jost i Brand zaplanowali wszystko bardzo starannie i pomysłowo. Po środzie 21 grudnia, dniu kiedy dwa miliony franków zostało zdeponowane przez dr Bruchnera, nie istniało ryzyko niepowodzenia. Ich gwiazdkowy prezent leżał bezpieczny pod choinką.

Kto więc był Świętym Mikołajem?

Jest czterech głównych podejrzanych.

TEODOR CARTER

W tym miejscu kończy się rękopis Latimera.

Według Nicole Deladoey, pracował na podstawie fiszek, które trzymał w małym pudełku. Prawdopodobnie znajdowały się tam nazwy podejrzanych przedsiębiorstw. Jednak w czasie śledztwa, które przeprowadzono po jego zniknięciu, wszystkie fiszki zostały usunięte z jego pokoju. One także zniknęły.

Interkom został uciszony.

Charles Latimer został uciszony.

Ci, którzy ich uciszeli, są teraz niemi.

Pozostał tylko mój głos.

TEODOR CARTER Nekrolog i epilog

Ostatnią osobą, o której z pewnością wiadomo, że widziała żywego Charlesa Latimera, był urzędnik firmy Avis, któremu na lotnisku oddał kluczyki od swego wypożyczonego samochodu. Było to tuż przed południem.

Francuski strażnik z pobliskiego przejścia granicznego na drodze do Ferney-Voltaire zameldował, że widział starszego mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Latimera. Podróżował samochodem razem z dwoma innymi mężczyznami. Było to około 12.30 po południu. Jednak strażnik nie jest pewien, jaki był to dzień. Zapamiętał tego mężczyznę, posługującego się paszportem Zjednoczonego Królestwa, głównie dlatego, że nosił bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne. Strażnik poprosił go o zdjęcie okularów, tak aby mógł porównać fotografię w paszporcie z twarzą jego właściciela. Nie pamiętał za bardzo dwóch pozostałych pasażerów.

Ustalono, że ten strażnik wyjątkowo denerwował się z powodu okularów przeciwsłonecznych i często prosił podróżnych, aby je zdejmowali. Jego zeznania zostały w końcu odrzucone jako nieprzekonywające. Ale utwierdziło to policję kantonálną w już dobrze umotywowanym przekonaniu, że Latimer opuścił Szwajcarię żywy i zdrowy oraz z własnej woli. W związku z czym ich zainteresowanie jego dalszym losem mogło być tylko akademickie, a zupełny brak jakichkolwiek świadectw na temat jego losów po 31 maja sprawił, że zmalało także zainteresowanie publiczne. Kiedy nie można poinformować o nowych wydarzeniach w śledztwie, nierozwiązane zagadki rzadko utrzymują się dłużej w centrum uwagi.

Valerie powiedziała przy jakiejś okazji, że podziwiałem Latimera i zazdrościłem mu. W rzeczy samej, podziwiam jego pracę. Dostarczyła mi wielu przyjemnych godzin. Być może także mu zazdrościłem. Z pewnością żałuję, że nie poznałem go lepiej. Ciągłe trudno mi o nim myśleć jak o zmarłym. O sposobie jego śmierci staram się nie myśleć w ogóle. Bardzo żałuję, że w czasie bezpośrednio poprzedzającym jego zniknięcie nasze stosunki, które wcześniej były mniej lub bardziej przyjazne, pogorszyły się. Moja odmowa opowiedzenia o śledztwie kontrwywiadu zirytowała go, a ja z kolei poczułem się urażony jego próbami wyciągnięcia czegoś od Valerie. Ona i dr Loriol jedli z nim kilka razy kolację, ale ja, mimo że też byłem zaproszony, nie poszedłem. Na dystans trzymała mnie nie tylko uraza, choć on

prawdopodobnie tak myślał. W tym czasie zaczynałem organizować moją firmę przekładową. Mieszkanie wykorzystywane na biuro i Nicole Deladoey jako sekretarka na pół etatu było dobre na początek, ale gdy pracy zaczęło przybywać, stały się konieczne inne posunięcia. Odejście Nicole do pracy dla Latimera przyspieszyło te kroki. Na jej miejsce zatrudniłem dziewczynę w pełnym wymiarze godzin i zainstalowałem kopiarkę. Ludzie mieszkający pod nami zaczęli wkrótce skarżyć się na hałasy, tak więc prawdziwe biuro okazało się niezbędne. Nie miałem zbyt dużo wolnego czasu dla Latimera w ciągu tych tygodni.

Wiadomość o jego zniknięciu zburzyła wszystko. Pomimo prób nienadawania sprawie rozgłosu, o co starali się ludzie z kontrwywiadu, nie dało się ukryć związków Latimera z aferą Interkomu i faktu, że pracował nad powieścią. Wzmianki o jego mającej się niedługo ukazać książce pojawiły się wcześniej w amerykańskich i brytyjskich czasopismach poświęconych nowościom wydawniczym.

O tych wzmiankach dowiemy się więcej później. Prawie na pewno jedna z nich spowodowała jego zniknięcie. Ale wprawdzie muszę wyjaśnić swoje położenie.

Zaginienie Latimera natychmiast spowodowało, że przez kilka dni znowu byłem rozchwytywany przez dziennikarzy. Z braku solidnych wskazówek węszyli dookoła za jakimś tropem, a byłem nim ja. Nie tylko szkodziło to mojemu nowemu interesowi, ale natychmiast ściągnęło na mnie uwagę moich upiorów i policji. Ja jednak zmadrzałem. Byłem szalenie ostrożny w tym, co mówiłem, a najczęściej nie mówiłem nic. Zgodnie z moim oczekiwaniem dziennikarze wkrótce znudzili się mną, a policji nie zajęło wiele czasu, by zorientować się, że nie będę w stanie im pomóc w ich wysiłkach odnalezienia Latimera. Nicole Deladoey wiedziała oczywiście, że Latimer wysyłał mi do skomentowania kopie pierwszej wersji rękopisu, rozdział po rozdziale. Ale jeśli nawet przyszło jej do głowy wspomnieć o tym fackie policji, wątpię, czy mogła zmusić się do zbrukania swych ust moim nazwiskiem. W chwili, kiedy dowiedziałem się od wydawców, że w jej posiadaniu znajduje się poprawiona pierwsza wersja, nie byłem już interesujący dla policji jako źródło dalszych informacji.

Kiedy więc dostałem poprawioną wersję i zacząłem czytać pomiędzy wierszami, mogłem zachować dla siebie to, co tam zobaczyłem.

Używam wyrażenia „czytać pomiędzy wierszami” w niezbyt ścisłym znaczeniu. W rzeczywistości zmiany, które wprowadził Latimer w swojej pierwszej wersji rękopisu, pozwoliły mi poznać prawdę. Dwie z tych zmian miały podstawowe znaczenie.

Rozdział pierwszy, który pierwotnie składał się z naszych listów, został przepisany jako „rekonstrukcja fabularna”. Cytował tam kilka fragmentów korespondencji dla osiągnięcia wrażenia, iż chodzi o rozmowę. Jednak w tych urywkach nastąpił znamieny

skrót. W liście do mnie napisał: „Poprzez przyjaciela z kraju, gdzie spędzam jesień swego życia, poznałem człowieka nazwanego przeze mnie w książce pułkownikiem Jostem”.

Słowa, które napisałem kursywą, zostały wykreślone z drugiej wersji.

Dlaczego?

Oczywiście mógł wchodzić w grę jego literacki smak..Jesień mojego życia” jest okropnym eufemizmem i pomimo, iż miał słabość do ozdób jak mandaryn, nie był aż tak okropnym pisarzem. Ale jeśli cięcie zostało podyktowane dobrym smakiem, dlaczego nie zastąpił eufemizmu zawartą w nim informacją? Żadne odniesienia do jego wieku, skromności czy czegoś takiego nie były zupełnie potrzebne. Dlaczego nie napisał „Poprzez przyjaciela na Majorce poznałem...” i tak dalej?

Pułkownik Jost - odpowiedziałem sobie - musi obecnie mieszkać na Majorce i Latimer zrozumiał, że w tym fragmencie nawet niewyraźna aluzja do tego miejsca ujawni wszystko.

Drugie skreślenie, które szczególnie mnie zainteresowało, było bardziej istotne. Podałem mu dokładną relację ze spotkania, które odbyłem w biurze Interkomu z człowiekiem przedstawiającym się jako Werner Siepen. Sugerowałem, że ten człowiek to naprawdę pułkownik Jost i opisałem go starannie. Zgodził się, że mój opis pasował do znanego mu pułkownika Josta.

Cała moja relacja ze spotkania i dalsze uwagi zostały wycięte. Nie tylko wykreślone. Osiem stron maszynopisu zostało rzeczywiście usuniętych. Zdania łączące dwa fragmenty zostały dopisane ołówkiem na stronach poprzedzających i kończących cięcie.

Moja reakcja na te zmiany była mieszana. Początkowo byłem zirytowany. Myślałem, że usunął te strony, ponieważ w ich świetle wyglądał na gorzej poinformowanego, niż twierdził, że jest. Następnie irytację zastąpiła ulga. Przez około pół minuty byłem Latimerowi bardzo wdzięczny. Dostrzegł, czego ja nie zrobiłem, że każdy, kto jest w stanie zidentyfikować pułkownika Josta, może mieć ciężkie przejścia z upiorami, kiedy książka zostanie wydana. To właśnie wtedy, po ponownym rozważeniu przedstawionego mi obrazu, zaczęło mi świtać w głowie.

Z pozoru wyglądało to tak, jak gdyby Latimer dokonał cięcia, aby mnie chronić. Ale jak zamierzał chronić siebie? Zniknąć i pozostawić nieukończoną książkę? Jasne że nie. Więc jak?

Jako wybitny uczony i znany pisarz był prawdopodobnie w stanie zagrać na nosie zjawom i upiorom. Co więcej, mieszkał na hiszpańskiej wyspie, a Hiszpania nie jest członkiem NATO. Wszystkie rewelacje, jakie mógł ogłosić na temat nominalnego nabywcy Interkomu, spotkałyby się z uprzejmym zaprzeczeniem, a wszelkie spekulacje na temat służby

wywiadowczej, która finansowała transakcję, byłyby zimno zignorowane. Zakładając, że jego przypuszczenie co do przedsiębiorstwa, które dokonało zakupu, nie było błędne i że nie zostałby oskarżony o zniesławienie, z tej strony nie miał się czego specjalnie obawiać.

Jednak z Jostem i Brandem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Gdyby ich zidentyfikowano, zostaliby zdemaskowani we własnych krajach jako zdrajcy, a w państwie lub państwach, w których się schronili, uznano by ich za politycznie niepożądanych przestępców. W najlepszym razie konsekwencje byłyby nadzwyczaj nieprzyjemne. Latimer ze swoją książką stanowił dla nich przerażające niebezpieczeństwo. Nie próbował ukryć faktu, że potrafi rozpoznać Josta. Było także więcej niż prawdopodobne, że poznał prawdziwe obywatelstwo Josta, a najpewniej i Branda. Bez wątpienia pisał swoją pierwszą rekonstrukcję fabularną wierząc, że uczynił ją bezwartościową jako środek do ustalenia ich prawdziwej tożsamości. Większość zawartych w niej drobnych, ubocznych wzmianek - na przykład zdawkowe przytoczenie faktu, że Jost pochodził z kraju, którego wybrzeże wystawione było na sztormy Morza Północnego - miały na celu zmylenie śladu. Jednak jako ochrona przed profesjonalnymi metodami śledczymi takie pisarskie sztuczki były całkowicie nieodpowiednie. Jest tylko piętnaście krajów członkowskich NATO i tylko osiem z nich było pod okupacją niemiecką w czasie wojny z Hitlerem. Dla kogoś z wewnątrz, z dostępem do tajnych materiałów i sprzętu pozwalającego na analizę danych, zadanie zidentyfikowania tych dwóch osób nie byłoby trudne. Z chwilą, kiedy odkryli do czego zmierza Latimer, Jost i Brand, musieli zrobić lub przynajmniej spróbować zrobić coś, by go powstrzymać.

Wydawało się, że sam Latimer nie dostrzega tego aspektu sytuacji. Co prawda w liście do mnie mówił o podejmowaniu ryzyka, ale nigdy nie wspomniał o tym w czasie naszych rozmów. Jego stosunek do własnego pomysłu był podobny do tego, jaki przypisał dwóm pułkownikom na progu ich spisku. Bawił się w dość zajmującą intelektualną grę „przypuścimy że”. Zakładałem - chyba rozsądnie - że ukazanie się książki będzie wielką i niemiłą niespodzianką dla Josta i Branda, a pamiętając o tym, co przeszedłem, cieszyłem się na tę chwilę. Jeśli chodziło o mnie, im większa i bardziej nieprzyjemna miała być niespodzianka, tym lepiej. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że Latimer mógł zaniedbać środki ostrożności przeciwko przedwczesnemu ujawnieniu treści książki.

Stosunek gracza, jaki przejawiał wobec posiadanych materiałów, zaowocował dziwnymi niekonsekwencjami. W jednym miejscu opisuje Josta i Branda jako praktycznych, polegających na sobie samych, pomysłowych ludzi „z tą specjalną zręcznością wymaganą dla udanego prowadzenia tajnych operacji” i nawykiem dyskrecji, który był już instynktowny. Mimo to, w innym miejscu w celu uprawdopodobnienia swojej rekonstrukcji fabularnej

wyjaśnia, że Jost „lubił rozmawiać”. Gdyby Jost rozmawiał tak swobodnie, jak sugeruje to rekonstrukcja, byłby jednym z największych gadułów wszystkich czasów i mniej więcej tak odpowiedni do udanego przeprowadzania tajnych operacji jak pijaczyna z przedmieścia. Gdybym nie posiadał dowodów z pierwszej ręki na istnienie spisku Arnolda Blocha, byłbym skłonny w całości odrzucić rekonstrukcję fabularną i dojść do wniosku, że zdolności Latimera w dziedzinie operowania faktami przegrały z jego talentem dostawcy fantazji. Ale tak jak sprawy się miały, mogłem tylko traktować ją z rezerwą i pamiętać, że jej autor w niewytłumaczony sposób zniknął w dość dziwnych okolicznościach.

Latimer określił mnie kiedyś jako niewinnego przechodnia zamieszanego w napad na bank lub ofiarę psikusa spletanego przez zupełnie obcych ludzi. Czy było możliwe, zastanawiałem się, że sam bezwiednie znalazł się w jednej z takich sytuacji?

Dwa miesiące po zniknięciu Latimera odwiedził mnie jego londyński wydawca. Przedyskutowałem z nim kilka wątpliwości, o których tutaj wspominałem. W rezultacie naszej rozmowy otrzymałem zlecenie, by działać w czasie nieobecności Latimera (teraz zakładaliśmy, iż była ona wymuszona) jako ktoś w rodzaju edytorskiego ratownika, mającego zgromadzić ile się da dalszego materiału i spróbować powiązać to w całość. Moje pierwsze zadanie miało polegać na tym, że udam się na Majorcę i spróbuję odnaleźć pułkownika Josta. W przypadku (mało prawdopodobnym) powodzenia, miałem ostrożnie skontaktować się z nim i dowiedzieć, czy jest gotów na rozmowę ze mną, a jeżeli nie, to czy zechce złożyć oświadczenie, które będzie można opublikować.

Poleciałem na Majorcę pod koniec pierwszego tygodnia sierpnia.

Dom Latimera położony był na zboczu wzgórza nad niewielkim, leżącym nad małą zatoką miasteczkiem na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy. Miasteczko było zawieszane na urwistym, pokrytym sosnami wzniesieniu wyrastającym z miękkiego piasku plaży i było przytłaczająco malownicze. W tym okresie było tam też bardzo gorąco. Na szczęście udało mi się zdobyć pokój w gospodzie z przyjemnym tarasem jadalnym, znajdującym się na powietrzu.

Pokój wynająłem na tydzień. Jeśli Jost mieszkał w miasteczku albo gdzieś w pobliżu - pomyślałem - starczy mi czasu na odnalezienie go. Gdyby mi się nie udało odszukać go w tym terminie, musiałbym dojść do logicznego wniosku, że go tutaj nie ma. Następnie chciałem sprawdzić pobliskie miasteczka i wioski - były dwie wioski i jeszcze jedno miasteczko w promieniu dziesięciu kilometrów - a gdybym nadal nic nie osiągnął, byłoby to wszystko. Wróciłbym do domu.

Jeśli chodzi o moje szanse, to nie byłem ani pesymistą ani optymistą. Jako młody dziennikarz nauczyłem się, że aby odnaleźć i przeprowadzić wywiad z osobą, która nie chce zostać odnaleziona i nie ma ochoty na wywiad, często na równi z pomysłowością i wytrwałością potrzebne jest szczęście. Na szczęście można tylko czekać. Ja liczyłem na coś innego. To prawda, że nie znałem nazwiska, jakim posługiwał się Jost, ani jego narodowości, i mogłem się tego co najwyżej domyślać. Ale wiedziałem, jak wyglądał i że był cudzoziemcem mieszkającym tu na stałe. Człowiek z Londynu powiedział mi, że gosposia i ogrodnik, małżeństwo z Majorcki zatrudnione przez Latimera, byli ciągle u niego w domu, a ponieważ Latimer nie był uważany za zmarłego, nadal otrzymywali pobory wypłacane im przez jego księgowego z Palmy. Miałem zamiar porozmawiać z tą parą i dowiedzieć się, kto z sąsiedztwa był przyjacielem i znajomym Latimera. Jeśli Jost był wśród nich, byłem pewien, że odszukanie go nie zajmie mi dużo czasu. Postanowiłem pójść do domu Latimera od razu następnego ranka.

Nie poszedłem tam nigdy. Nie było potrzeby.

Kolację jadłem o dziewiątej trzydzieści. To wcześniej jak na hiszpańskie zwyczaje, a jako że anglo-amerykańska inwazja turystyczna nie dotarła jeszcze to tego miasteczka, miałem przez pewien czas taras tylko dla siebie. Była piękna śródziemnomorska noc. Powietrze było nieruchome, ale ochłodziło się trochę, a odgłosy świerszczy i fal w dole na plaży działały kojąco. Zjadłem górską paellę i wypilem butelkę białego wina. Około dziesiątej trzydzieści taras począł się zapelniać i pomyślałem o pójściu spać. Jednak niczego nie uczyniłem w tym kierunku. Było mi dobrze tam, gdzie byłem, i wiedziałem, że mój pokój jest ciągle gorący i duszny. Zamówiłem brandy.

I wtedy wszedł Jost.

Wyglądał mniej, więcej o dziesięć lat młodziej, niż kiedy widziałem go ostatnio. Jego twarz i ramiona pokrywała ciemna opalenizna, a słońce i morze wybieliły mu włosy. Nie nosił okularów. Ubrany był w niebieską, lnianą plażową koszulę, drelichowe spodnie marynarskie i espadryle. Biło od niego zdrowie i mimo że nadal miał ten przeprasający uśmiezek, było w tym coś, co przypominało mię grubego kocura. Była z nim dziewczyna wystarczająco młoda, aby mogła być jego córką, ale naj-oczywiściej nią nie będąca. Miała długie, jasnokasztanowate włosy, twarz jak z obrazów Modiglianiego i szczupłe, uwodzicielskie, drobne ciało. W tym że byli razem, nie było nic niestosownego. Jeśli była dziewczyną, która lubiła chodzić do łóżka ze starszymi panami, on był z rodzaju tych męskich starszych panów, jacy są zazwyczaj w guście owych dziewczyn. Niewątpliwie pułkownik Jost znalazł lepsze lekarstwo na nudę emerytury niż rozmowy i powieści sensacyjne.

Byli szanowanymi gośćmi. Żona właściciela gospody osobiście zaprowadziła ich do stolika, nadskakując i trajkocząc kiedy przyjmowała zamówienie. Słyszałem, jak przekazała je do kuchni.

- I Augusta - powiedziała - duże porcje dla Se?ora Siepena i Se?ory.

To nazwisko naprawdę mnie zaskoczyło. Bez wątplenia zaskoczyło też Latimera, kiedy wymieniałem je opowiadając mu o wizycie Josta w Interkomie. To także coś wyjaśniało. Duży skrót w rękopisie został zrobiony, aby chronić nie mnie, ale pułkownika Josta.

Nie dostrzegł mnie i byłem z tego zadowolony. Potrzebowałem czasu do namysłu.

Werner Siepen z Hamburga to z pewnością dobrze podbudowana i dobrze udokumentowana tożsamość. Jost prawdopodobnie konstruował tę postać latami. Pasowała do niego. Zachodnio-niemiecki paszport, który łączył się z postacią, był bez wątpienia nieskazitelny, a na Majorce tylko nieliczni mogli zauważyć, że jego niemiecki akcent nie był całkiem z Hamburga, a jeszcze mniej było takich, których to obchodziło.

Ale popełnił błąd używając nazwiska Siepen w Genewie. Jeśli chodziło o mnie, był spalony. Wystarczyło mu teraz o tym powiedzieć, ale w taki sposób, by zarazem wiedział, że jeśli zgodzi się odpowiedzieć na kilka pytań, nie będzie musiał się niczego obawiać z mojej strony.

Ciągle mnie nie dostrzegał. Sączyłem swoją brandy i zastanawiałem się, jaki sposób byłby najlepszy, aby zbliżyć się do niego. Mógł być spalony, ale miał silną pozycję. Moja słabość polegała na tym, że ciągle nie wiedziałem, kim był naprawdę. Ci którzy to wiedzieli, jego byli zwierzchnicy, prawie na pewno doszli już do wniosku, że ich były szef wywiadu był połową spółki znanej pod nazwą Arnold Bloch. Rzecz jasna, nie zamierzali rozgłaszać swego wniosku, jeśli nie zostaliby do tego zmuszeni. Polityczne skutki takiej rewelacji byłyby strasznie kłopotliwe. Kiedy wybuchł skandal z Interkodem, pułkownik Jost miał do wyboru dwa wyjścia. Wyjście pierwsze to pozostać na stanowisku, a jeśli pojawiłyby się podejrzenia i padłyby niewygodne pytania, trzymać się twardo, zaprzeczać wszystkiemu i liczyć na to, że mu uwierzą. Wyjście drugie oznaczało uprzedzenie pytań, pozosta wieniec za sobą ludzi z purpurowymi twarzami, by sami wyciągnęli swoje wnioski, i przeobrażenie się w Wernera Siepena.

Mądrze lub nie, wybrał wyjście drugie. Utracił co prawda swą emeryturę i dobre imię, ale kto potrzebuje emerytury pułkownika, kiedy posiada w banku milion franków szwajcarskich, i kto przejmuje się utratą dobrego imienia, gdy strata pozostaje tajemnicą? Nie pozostało zbyt wiele do ujawnienia na temat Josta. Z mojej strony mogły mu grozić tylko

niewygody - niewygody z ponowną zmianą tożsamości i znalezieniem innego miejsca zamieszkania.

Nalewał dziewczynie wino do kieliszka, kiedy zobaczył mnie i rozpoznał. Nasze oczy spotkały się na moment, po czym dalej nalewał wino. Nie rozlał ani kropli. Miał mocne nerwy.

Pomyślałem, czy nie podejść do ich stolika, ale zdecydowałem się poczekać, aż on to zrobi. Musiał się dowiedzieć, czy moja obecność tutaj była przypadkowa czy nie, i było lepiej pozwolić mu na pierwszy ruch. Jednak kiedy to uczyni, będę musiał złapać go na haczyk. Dopóki nie zrozumie, że najlepiej uwolni się od niego przyjmując moje warunki, może wsiąść rano do pierwszego samolotu odlatującego na kontynent, po prostu unikając mnie - i nic nie mogło go od tego powstrzymać. Nawet jeżeli potrafiłbym nie zgubić jego śladu - a było to pytanie bez odpowiedzi - nie miałem możliwości ścigania go po całej Hiszpanii. Pieniądze od wydawcy nie wystarczyłyby na to. Zamówiłem jeszcze jedną brandy i obserwowałem ich, jak jedzą langusty. Oboje mieli dobry apetyt. Dla zabicia czasu spróbowałem wściec się na nich, a przynajmniej na niego. W końcu Jost-Siepen przyczynił się do tego, że przeżyłem ciężkie chwile - jedne z najgorszych, przez jakie przeszedłem - i zrobił to po prostu dla pieniędzy, możliwości siedzenia na tarasie z seksowną przyjaciółką i napychania swojego żołądka langustą. I nie byłem już jedyną ofiarą tej gry dla dwóch. Latimera też zniesiono z pola. Rodzaj i rozmiary jego obrażeń pozostawały do ustalenia, ale wątpiłem, aby były powierzchowne. A oto siedział tutaj Jost-Siepen, jeden ze zwycięzców, zabawiający się jak jakiś cholerny władca i...

Ale nie zdało się to na nic. Nie mogłem się rozzłościć. Jedynym uczuciem, do jakiego byłem wtedy zdolny - jeżeli jest to uczucie - była ciekawość. Bardzo chciałem wiedzieć.

W końcu Siepen poprosił o rachunek i wstali, aby wyjść. Kiedy to robili, zobaczyłem, że mówi coś do dziewczyny i kiwa głową w moją stronę. Uśmiechnęła się, a potem spojrzała na mnie zdawkowo i opuściła taras. Pułkownik Jost, jak będę go dalej nazywał, podszedł do mego stolika. Wstałem.

- Wydaje mi się, że spotkaliśmy się już kiedyś - powiedział po hiszpańsku. - Seftor Carter, czy tak?

Nie znam hiszpańskiego. Wiedziałem, że mówi po angielsku, więc odpowiedziałem w tym języku.

- Tak. Spotkaliśmy się w Genewie, pułkowniku.

Jego oczy błysnęły na słowo „pułkownik”, ale uśmiechał się ciągle.

- Nazywam się Siepen.

- Tak - powiedziałem - pamiętam. Ale mamy wspólnych znajomych, pułkownika, którzy znają pana lepiej niż ja.

- Czy tak? - jego oczy były teraz bardzo czujne.

- Charlesa Latimera, który jest pańskim sąsiadem tutaj.

- Ach tak. A pan był jego przyjacielem?

- Lepiej znałem Arnolda Blocha z Monachium, pułkownika. W rzeczywistości to on zaproponował, abym przyjechał tutaj i zobaczył się z panem.

Przyjął to bezczelne kłamstwo spokojnie. - Czy przypadkiem nie w sprawie finansowej?

- W sprawie informacji. Mówił, że ma pan ich trochę na zbyciu.

- Jaką cenę miał pan na myśli, panie Carter? - Mówił teraz bardzo cicho.

- Anonimowość pułkownika - powiedziałem. - Pańskie tutaj odosobnienie.

Zacisnął wargi, a potem skinął głową.

- Nie widzę powodów, dlaczego nie mielibyśmy o tym przynajmniej porozmawiać. Może jutro? Albo pojutrze?

- Wszystko jedno kiedy. - Zrobił ruch jakby chciał wyjść, więc mówiłem dalej szybko.

- Pułkownika, kiedy spotkaliśmy się ostatnio, dał mi pan pewną radę. Powiedział pan, że człowiek rozumny poddaje się chętnie naciskom. Jeśli z jakiś powodów nie będzie pan dostępny jutro albo pojutrze, jeżeli na przykład wezwą pana pilne interesy, musiałbym przyjąć, że anonimowość i prywatność nie mają dla pana znaczenia.

Wzruszył ramionami. - Prywatność jest cenna dla każdego rozsądnego człowieka. Mój samochód jest na zewnątrz i czeka na mnie dama. Niech pan do nas dołączy, jeśli pan chce.

Jego spokój był niepokojący.

- Teraz?

- Dlaczego nie, jeśli pański interes jest tak pilny? - Odwrócił się i zaczął wychodzić. Dogoniłem go przy drzwiach prowadzących do kuchni.

- Chwileczkę, pułkownika - powiedziałem. - Dokąd dokładnie jedziemy?

Zatrzymał się i spojrzał rozbawiony.

- Proszę się nie obawiać, panie Carter. Wróci pan bezpiecznie. - Wsunął głowę do kuchni i zawołał do żony właściciela gospody. - Se?or Carter to mój stary przyjaciel. Jedzie ze mną na szklaneczkę do mojego domu. Niech pani nie zamyka drzwi na noc, Se?ora.

Wyszła rozpromieniona, by zapewnić go, że tego nie zrobi. Otrzymałem aprobowane spojrzenie. Jako przyjaciel Se?or Sie-pena niewątpliwie zyskałem w jej ocenie.

Samochód był marki BMW. Dziewczyna siedziała za kierownicą. Jost przedstawił mnie jej, sadowiac się obok.

- To jest, mein Schatz, Herr Carter. Jest przyjacielem Herr Lewisona i mamy mały interes do obgadania. Nie potrwa to długo. - Poklepał ją po udzie. Nie powiedział mi, jak nazywa się jego „skarb”. Kiedy ulokowałem się na tylnym siedzeniu, posłała mi szybki uśmiech i uruchomiła silnik.

Dom Josta był po przeciwnej stronie zatoki na końcu drogi biegnącej z boczem wzgórza, poprzecinanej biegnącymi nad nią przewodami trakcji elektrycznej niskiego napięcia. W trakcie jazdy odezwał się tylko raz. Mijaliśmy ciężką drewnianą bramę u wylotu podjazdu.

- Dom Lewisona - powiedział. - Czy był pan tutaj?

- Nie.

- Bardzo ładna posiadłość. Ma cytrynowy gaj.

Jego własny dom otoczony był drzewami figowymi i wyglądał jak przerobiony dom farmera. Living room - jedyny pokój, który widziałem - był umeblowany w hiszpańskim prowincjonalnym stylu, z wyściełanymi krzesłami i sofami dodanymi dla wygody. Był tam duży kominek. Od strony wychodzącej na morze dobudowany został kamienny taras, a na wiejskiej pergoli hodowana była winorośl, by dać schronienie przed słońcem. Z tarasu urwista ścieżka prowadziła w dół na znajdującą się w pewnej odległości plażę.

Kiedy wyszliśmy na taras, Jost zapalił świece zamocowane w kinkietach z kutego żelaza, po czym odwrócił się do mnie.

- Brandy czy szkocką whisky? - zapytał.

- Brandy, poproszę.

Dziewczyna wróciła do wnętrza domu i niebawem stara służąca przyniosła nam butelkę i kieliszki na tacy.

Jost wskazał mi krzesło, ale nie rozpoczął banalnej rozmowy. Ja też nie. Zapalił jedną ze swoich cygaretek i siedzieliśmy w milczeniu, dopóki stara kobieta nie odeszła. Potem nalał dwa drinki i pchnął jeden w moją stronę.

- Spróbujmy się zrozumieć - powiedział. - Spotkaliśmy się kiedyś na krótko, kiedy wykupiłem prenumeratę redagowanego przez pana pisma. Mamy wspólnego znajomego, pisarza o nazwisku Lewison lub Latimer, który chyba zapadł się pod ziemię. Taki jest stopień naszej znajomości. Nie wiem nic o tym Arnoldzie Blochu, o którym pan wspomniał. Jeżeli chce pan zadawać hipotetyczne pytania, moje odpowiedzi będą również takie. Jeśli chce pan w nie wierzyć, to pańska sprawa. Czy wyrażam się jasno?

- Całkiem jasno pułkownikowi. Nic pan nie wie, nie przyznaje się pan do niczego.

Wydmuchnął kłęb dymu i przyjrzał mi się przezeń.

- Nie osiągnie pan nic, panie Carter, nazywając mnie pułkownikiem - powiedział. - A jeżeli myśli pan, że w ten sposób pokaże mi, jak dobrze jest poinformowany, i że zrobi to na mnie wrażenie, to bardzo się pan myli.

- Nie było moim zamiarem wywierać na pana wrażenie - powiedziałem nieszczerze. - Jako że jest to hipotetyczna dyskusja, pomyślałem, że hipotetyczna grzeczność będzie na miejscu. W swojej ostatniej książce, książce, którą mam teraz na zlecenie jego wydawców ukończyć, Latimer pisze, że był pan pułkownikiem. Przyjąłem to. Oczywiście, jeśli się mylił...

Strząsnął problem wraz z popiołem cygara.

- To nieistotne.

- Napisał także, iż lubi pan rozmawiać.

Jego rysy stwardniały. - Wiem aż za dobrze, co napisał.

- Czytał więc pan jego rękopis?

- Tak, częściowo.

- Dał panu do przeczytania?

- Nie, panie Carter, nie zrobił tego. Kiedy dowiedziano się, że pisze książkę na temat tego, co prasa nazwała „ aferą Interko-mu”, zainteresowana strona zdecydowała się przejrzeć zawartość.

- Bez wiedzy Latimera?

- Oczywiście.

- Czy zainteresowaną stroną był pan lub pułkownik Brand?

- Nie znam nikogo o tym nazwisku. - Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że był to Brand.

- I przekazał to dalej. Rozumiem. Musiało być to dla was obu nieprzyjemnym wstrząsem.

Wypił łyżeczek brandy i spojrział na mnie ponuro.

- Pan Latimer był bardzo mądrym człowiekiem - powiedział - był także, przykro mi to mówić, zupełnie nieodpowiedzialny. Z powodu tych rzeczy, które napisał, zostałem oskarżony o zdradę drogiego przyjaciela.

- To znaczy, że nie powiedział pan Latimerowi tego, o czym - jak twierdzi - dowiedział się od pana?

- Oczywiście, że nie. Za kogo mnie pan uważa? - Był teraz oburzony i dźgał powietrze swoim cygarem, kiedy ciągnął dalej.

- Ponieważ wydawało mi się, że go lubię, opowiedziałem mu kilka historii, anegdot na temat pracy wywiadu. Wiedziałem, że był w wywiadzie brytyjskim podczas wojny, doradcą w SOE lub czymś takim. Czasami - jak wy to mówicie? - wymienialiśmy się kawałami. Aż pewnego dnia opowiedziałem mu o meksykańskim fałszerzu. To był jedyny błąd, który popełniłem.

- Ale w tej historii nie ma nic tajnego - powiedziałem. - Informowano o tym. Są na ten temat opublikowane sprawozdania. Wszyscy o tym wiedzą.

- Teraz tak. Ale on nie słyszał o tym, a ja mu opowiedziałem używając określenia „korzystać ze sprawiania kłopotów”. Pewnego popołudnia kilka dni później przyszedł do mnie i zaczął mówić o aferze Interkomu.

- Ma pan na myśli, że złożył wszystko w całość?

Jost upuścił cygaro na kamienną posadzkę tarasu i zdusił je obcasem. - Poczynił kilka trafnych przypuszczeń - powiedział cierpko. - Jak pokątny wróżbita. Oczywiście opowiedział mi to jako historię, którą wymyślił. Uważał to za wspaniałą żart. Chwilami prawie nie mogłem wykrztusić słowa ze śmiechu. Odszukał nawet datę, kiedy kupiłem tę posiadłość, i dołączył to do aktu oskarżenia.

W rozmowie nie było teraz nic hipotetycznego. Powtórnie przeżywał to popołudnie.

- Co pan zrobił, pułkowniku?

- Co mogłem zrobić? Ja także potraktowałem to jako żart. Co innego mogłem zrobić?

- Nie zaprzeczył pan?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałem panu, to musiało być traktowane jak żart i to wspólny. Większość z tego była żartem - czyste bzdury.

- Za wyjątkiem niebezpiecznych fragmentów, które odgadł dobrze. Rozumiem.

Zmarszczył brwi.

- Widzi pan, nie mogłem być pewien, w co naprawdę wierzył. Czy naprawdę wierzył w samą tę historię czy tylko w to, że ją wymyślił? Myślałem, że jeśli włączę się do zabawy, znudzi się nią.

- Ale tak się nie stało. Dlaczego nazwał go pan nieodpowiedzialnym, pułkowniku?

Zjeżył się.

- Zniekształcić czyjeś błahе zwierzenia, a później wykorzystać te zniekształcenia przeciwko niemu bez jego wiedzy - czy nazwie pan takie postępowanie odpowiedzialnym? Lub honorowym?

Chciałem powiedzieć, że na to pytanie mógłby lepiej odpowiedzieć Arnold Bloch niż ja, ale powstrzymałem się. Byłem tu, by słuchać, nie by zaliczać punkty w debacie.

- Kiedy wyjechał - ciągnął Jost - na początku poczułem ulgę. To oznaczało, że nie musiałem już dłużej widywać go i wysłuchiwać jego idiotyzmów. Później usłyszałem, że pracuje w Szwajcarii i zaniepokoiłem się. Nie tak bardzo ze względu na siebie, co na Branda. Wie pan, on jest chorym człowiekiem i ciągle mieszka w swoim kraju. Ma tam też rodzinę.

- Skąd Latimer wiedział, że Brand choruje na nerki? - zapytałem. - Musiał mu pan to powiedzieć.

Potrząsnął niecierpliwie głową.

- Opowiedziałem mu kiedyś o tajnym spotkaniu z kolegą, który był w Evian na konsultacji ze specjalistą od chorób nerek. To wszystko. Nie utożsamilem go z nikim, ale Latimer to zrobił.

- Pchnął butelkę z brandy w moją stronę i gestem wskazał, abym sobie nalał. - To był jeden z jego najbardziej niebezpiecznych domysłów.

- Być może nie zdawał pan sobie sprawy, że powiedział mu pan więcej - odparłem. - Mimo wszystko trzymał pan to w sobie zamknięte przez długi czas. Mówią, że podświadomość potrafi płatać ludziom figle.

Popatrzył na mnie z niesmakiem.

- Psychologiczne banialuki nigdy nie robiły na mnie wrażenia, panie Carter. Latimer był bystry, zapewniam pana, i powinienem mieć więcej rozumu, kiedy opowiedziałem mu o tym meksykańskim fałszerzu. Przyznaję to. To mu podsunęło pomysł, ale całą resztą oparł jedynie na domysłach. - Wyjął nowe cygaro i wycelował je we mnie. - Zwykle domysły.

- Niech pan nie zapomina - powiedziałem - że przeczytał o aferze Interkomu w czasopiśmie. Kiedy widzi pan dwie części układanki, które mogą pasować do siebie, składa je pan razem. Jeśli pasują, zaczyna się pan rozglądać w pobliżu za innymi częściami. To nie są puste domysły.

- Niech pan to nazywa, jak pan chce. Ta jego bajeczka była niebezpieczna, przynajmniej dla Branda.

- Co pan zrobił w tej sprawie?

- Napisałem do niego ostrzegając go.

- Używając banknotu dziesięciofrankowego? Zignorował to.

- Odpisał, przysyłając mi wycinek z periodyku, jakiegoś przewodnika księgarza. Był na temat książki, którą pisał Latimer. Brand chciał wiedzieć, czy znałem Latimera. Odpisałem mu, że tak. - Zamilkł - A później napisał ten list oskarżając mnie, że go zdradziłem.

Oczywiście uwzględniłem, że to chory człowiek... - Urwał ze wzruszeniem ramion i sięgnął po zapalki.

- Co się stało z Latimerem? Nie śpieszył się zapalając cygaro.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Mogę tylko przypuszczać. Jak powiedziałem, Brand był chory i nie był w stanie jasno myśleć. Uwierzył, że można uciszyć Latimera przez - wykonał kilka okrągłych ruchów zużytą zapalką - przez pozbycie się go. Ostrzegłem go, że nie tędy droga, że zawsze pozostaną niedostępne dla nas notatki, dokumenty oraz inne zamieszane w to osoby. Miałem rację, inaczej nie byłoby tutaj pana. Proponowałem w zamian, aby z nim porozmawiać, razem lub oddzielnie, przekonać go, wyperswadować, przekupić, jeśli będzie trzeba.

- Nie udałoby się go wam przekupić.

- Być może nie. Ale możliwe, że mogliśmy go przekonać, aby wyeliminował niebezpieczny materiał. Jednak Brand już mi nie ufał. Nie chciał słuchać. Powiedział, że jest bardziej narażony na atak niż ja i zadecyduje po swoim. Próbowałem wyperswadować mu to, ale wtedy było już za późno.

- Co się stało z Latimerem? - zapytałem ponownie. Nalał sobie następnego drinka.

- Mogę zgadywać, że Brand napisał do Latimera do Genewy informując go, iż pragnie się z nim spotkać, jeśli interesują go dalsze materiały do książki. Ale spotkanie musiałyby odbyć się w miejscu wybranym przez Branda i w warunkach najściślej tajemnicy. Prawdopodobnie razem z innymi instrukcjami podsunął mu tę historię o wywiadzie z oficerem NATO w Evere, aby użył jej za pretekst do podróży. - Uśmiechnął się ponuro. - Jestem pewien, że Latimer cieszył się, iż może wziąć przynajmniej raz udział w odrobinie tego, co nazywał „głupstwami z kręgu płaszcza i szpady.”

- Jakiego rodzaju inne instrukcje?

- Zna pan lotnisko Cointrin. Nowy budynek przylotów i odlotów to duża przestrzeń. Dopóki nie poda pan swojego biletu i nie przejdzie przez kontrolę paszportową, nikt nie sprawdza ani nie kontroluje pańskich ruchów. Kiedy tylko Latimer oddał kluczyki od samochodu i odszedł od punktu Avisu, zupełnie jakby zginął. Brand prawdopodobnie powiedział mu, aby przeszedł przez budynek i wyszedł do innego samochodu tam zaparkowanego, gdzie będzie ktoś na niego czekał, aby zawieźć go na miejsce spotkania we Francji.

- Myśli pan że zabrali go przez Ferney-Voltaire? Jak może pan wie, są pewne dowody, że tam był.

- Myślę, że to prawdopodobne.

- A co później?

- Nie wiem.

- Ale może pan przypuszczać. Westchnął.

- Poczyłem już wiele przypuszczeń. Powiem panu, w co wierzę. Nie zrobi to już teraz różnicy, Brand jest bardzo chory. Do czasu kiedy ukaże się książka Latimera i pana, nie będzie już żył.

Milczał przez chwilę. Czekałem.

- Kiedy przychodzi do zabójstwa - mówił dalej powoli - każdy człowiek jest specjalistą. Ten, kto potrafi posługiwać się nożem, będzie zawsze wolał go od pistoletu. Truciciel nigdy nie dusi, a dusiciel nie nosi maczugi. W czasie wojny, kiedy jest większy wybór broni, a zabijanie jest legalne, jest identycznie. Żołnierz w walce preferuje broń, która najlepiej odpowiada jego naturze. Dowódca działający na polu walki dąży do zastosowania taktyki i broni, które najlepiej mu odpowiadają, z reguły tych, które wcześniej przyniosły sukces. Brand nie był wyjątkiem od tej reguły. Zawsze myślał taktycznie w kategoriach zasadzki i pochówku.

- Pochówku?

- Brand - mówił - był wyszkolonym saperem. Wiedział bardzo dużo na temat wykorzystania dynamitu i kruszących materiałów wybuchowych. Dość wcześnie podczas okupacji niemieckiej udało mu się pogrzebać kilka nieprzyjacielskich ciężarówek zaopatrzeniowych, wysadzając zbocze wzgórza ponad nimi. Teren, w którym walczył, nadawał się do tego rodzaju operacji i był w stanie powtórzyć kilka razy swój pierwszy sukces. Pewnego razu wykoleił i częściowo pogrzebał pociąg wysadzając w powietrze nawis. Kiedy mówił o potrzebie załatwienia przeciwnika, nigdy nie myślał o pokonaniu go, ale zawsze o wykopaniu mu grobu.

- To dosyć powszechna figura retoryczna. Potrząsnął głową.

- U Branda to nie była tylko figura retoryczna. W ten sposób myślał. Coś o tym wiem. Pewnego razu, kilka lat temu, kiedy jechaliśmy razem z Brukseli do Kolonii, zatrzymały nas w drodze jakieś roboty budowlane. Robili wiadukt dla nowej autostrady i widzieliśmy, jak wylewają beton, aby zrobić jedną z podpór. Keson wszedł głęboko w ziemię i była tam duża klatka ze wzmocnionych stalowych prętów. Widok lejącego się betonu sprawiał imponujące wrażenie. Były tego tony. Brand był zafascynowany. Kiedy ruszyliśmy dalej, powiedział coś, co później sobie przypomniałem. „Gdybym chciał się kiedyś pozbyć niechcianej osoby, zabrałbym ją na miejsce budowy.” - Posłał mi znaczące spojrzenie. - Myślałem o tym nieraz,

odkąd zniknął Latimer. Powiedziałbym, że pomiędzy Ferney-Voltaire a Strasburgiem musi być dużo budów i wiele głębokich grobów czekających na wypełnienie.

Nie powiedziałem nic. Poczułem się niedobrze. Musiałem tak też wyglądać. Cmoknął kilka razy.

- Proszę się tym nie przejmować, panie Carter. Brand nigdy nie był barbarzyńcą. Użyłby do tego doświadczonych współpracowników. Jakkolwiek się to odbyło, jestem pewien, że było to zrobione szybko i że Latimer nie cierpiał.

Z domu wyszła dziewczyna ubrana w płaszcz kąpielowy. Miała ze sobą latarkę. Oznajmiła nam, że idzie popływać.

Gdy przechodziła, Jost wyciągnął rękę i złapał ją za rękaw płaszcza. Ze sposobu, w jaki przytrzymała go z przodu, domyśliłem się, że było to wszystko, co miała na sobie.

- Będę na dole za kilka minut, skarbie - powiedział. - Jestem pewien, że w tak piękną noc Herr Carter nie będzie miał nic przeciwko spacerowi do gospody.

- Nic a nic - powiedziałem i naprawdę tak myślałem. Nie wytrzymałbym dłuższego towarzystwa pułkownika Josta. Ale były jeszcze pytania, które musiałem zadać.

Kiedy dziewczyna odeszła, powiedziałem.

- Dlaczego wmieszaliście Skriabina w ten biuletyn o sejsmografii? Czy to Brand kopał mu grób?

Zaśmiał się cicho.

- To był mój pomysł. Skriabin był rezydentem KGB w Oslo i stał się powodem wielkiej irytacji naszych norweskich przyjaciół. Przyszło mi na myśl, że publiczne kłopoty mogą go trochę uspokoić. Jego władcy przenieśli go do Syrii. Musieli być bardzo zirytowani.

- Byli - powiedziałem. - Wiem coś o tym. Wyładowali trochę tej irytacji na mnie.

Otworzył szeroko oczy.

- Panie Carter, chyba się pan nie skarży? - Rozłożył ręce w geście błogosławieństwa, który widziałem już dawniej. - Niech pan pomyśli, ile pan zyskał na naszej współpracy.

- Zyskałem! - Miałem resztkę brandy w gardle i zakrztusiłem się.

- Oczywiście. - Pochylił się i klepnął mnie w kolano. - Jest pan innym człowiekiem niż ten, którego spotkałem rok temu. Wtedy był pan zmęczony i gardził pan pracą, którą wykonywał. Nie lubił pan samego siebie. Teraz wyczuwam w panu pewność siebie. Niech pan pomyśli. Jest pan zajęty wykończeniem książki za świętej i nieodżałowanej pamięci pana Latimera. Czy jego wydawcy zatrudniliby człowieka, jakim pan był rok temu? Wątpię w to. Doszedł pan do ładu ze sobą. Jeżeli będzie pan mądry i zadba o swoje zdrowie, szczęśliwe lata mogą być dopiero przed panem, cała nowa przyszłość.

- Lub ujmując to w inny sposób - powiedziałem z goryczą - strzeż się Carter i nie próbuj mnie wykiwać. Jeśli moja anonimowość i prywatność będą zagrożone przez cokolwiek, co napiszesz, ty i twoja przyszłość znajdziecie podobny grób jak Latimer. Czy takie jest przesłanie, pułkowniku?

Podniósł się z niezmiennym uśmiechem.

- Miło mi, że zrozumieliśmy się wzajemnie. Zanim pan odej-
dzie, może zaspokoi pan moją ciekawość w jednej kwestii. Czy Latimer odkrył, kto odkupił nasze udziały?

- Miał listę czterech firm, które podejrzewał o działanie w imieniu prawdziwych nabywców... Jednak szwajcarski kontrwywiad skonfiskował jego zapiski, więc nie znam nazw. Kto w rzeczywistości był kupcem?

Uśmiech stał się bolesny.

- Drogi panie Carter, miałem nadzieję, że pan będzie potrafił mi powiedzieć. Brandowi wydawało się, że musiało to być KGB. W moim przekonaniu była to BfV posługująca się funduszami CIA. Ale nie wiem na pewno. Jest to nadzwyczaj irytujące.

- Dlaczego? - zapytałem. - Ma pan pieniądze. Co to ma teraz za znaczenie, skąd pochodzą?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Operacja była nasza, Branda i moja. Zaplanowaliśmy ją i wykonaliśmy. Zakończyła się wspaniałym sukcesem. Nie wiedzieć dokładnie, jak osiągnęło się sukces, nie mieć wszystkich informacji w swym ręku, jest nie do zniesienia. Oczywiście w końcu się dowiem. Te sprawy nie mogą zostać wyciszone na zawsze. Prędzej czy później ktoś zaczyna mówić.

Gdy przechodziliśmy do frontowych drzwi, wydał nagle z siebie radosne parsknięcie.

- Wie pan - powiedział - mimo całej przenikliwości Latimer miał swoje słabe punkty. Mylił się całkowicie co do jednej rzeczy - całkowicie i bezwzględnie się mylił. Ani Brand ani ja nie byliśmy w najmniejszej mierze aroganccy. Ambitni tak, ale nigdy aroganccy.

Kiedy minąłem już bramę wjazdową do willi Latimera, zacząłem cieszyć się spacerem do gospody.